

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/315**

**1973**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

**TEMAT : KONFLIKTY**

W. WIRPSZA :

**TOUR D'HORIZON Z POLSKĄ POŚRODKU**

**LIST « KULTURY » DO LITERATÓW W KRAJU**

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW « KULTURY »  
ZA ROK 1973**

## SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	Temat: <i>Konflikty</i> .....	3
Aleksander Litwin:	„Przodująca rola klasy robotniczej” ..	15
Jan Darowski:	Z <i>notatnika</i> .....	27

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	31
L.:	<i>Notatka informacyjna</i> .....	40

### DWUGŁOS W SPRAWIE NIEMIECKIEJ

Witold Wirpsza:	<i>Tour d'horizon z Polską pośrodku</i> ....	41
Andrzej Chilecki:	<i>Na linii Warszawa-Bonn</i> .....	51

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	60
E. Zagiell:	<i>Litwa</i> .....	67
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i> .....	73

### K R A J

Redaktor „Kultury”:	<i>List do literatów w Kraju</i> .....	75
Józef Lewandowski:	<i>Glossy do historii współczesnej</i> .....	76

### SPRAWY I TROSKI

Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i> .....	81
----------------	-----------------------------	----

### KRONIKA KULTURALNA

W. A. Zbyszewski:	<i>Kajetan Morawski</i> .....	91
Karol Szwedowicz:	<i>30-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego</i> <i>w New Yorku</i> .....	96
—	<i>40-lecie torontońskiego „Związkowca”</i> ..	103
—	<i>Wystawa Teresy Lewandowskiej</i> .....	104

### SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg:	<i>Catch-as-catch-can i laskotanie czytelnika</i>	105
----------------	---	-----

### Z TEKI INFORMACYJNEJ

Jerzy P. Horzelski:	<i>Przedwczesność, serendypizm a twórczość</i> <i>naukowa</i> .....	112
---------------------	--	-----

### KSIĄŻKI

Karel Klatovsky:	<i>Czeskie i słowackie nowości wydawnicze</i>	120
Janina Katz:	„Świat beze mnie się spełnia...” .....	125
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i> .....	130



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	133
---	----------------------------------	-----



St. L. Andrzejewski, A. Litwin, B. Szubska:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	146
---	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1973</i> .....	149
---	--	-----


MR. JAN DABROWSKI  
80 ORANGE ST.  
HARTFORD, CONN. 06106 U. S. A.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Grudzień - Décembre 1973

MR. JAN DABROWSKI  
80 ORANGE ST.  
HARTFORD, CONN. 06106 U. S. A.

INSTYTUT  LITERACKI

SPIS RZECZY

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM  
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE  
I NOWOROCZNE**

**WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”**

Dr Jan Bąkowski, Miami Beach, Flo. (USA), po raz czwarty	F. 22,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 21-szy . . . .	F. 220,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz ósmy	F. 300,00
C. P. Czuchwicki, Largs Bay, S.A. (Australia) . . . . .	F. 30,50
Inż. Ryszard Głodkowski, 54-St. Max (Francja), po raz dziewiąty	F. 35,00
K. A. Jeleński, Paryż — zamiast kwiatów na grób Kajetana Morawskiego . . . . .	F. 100,00
Dr Stanisław N. Korzeniowski, River Forest, Ill. (USA) celem uczczenia 55-tej Rocznicy Odzyskania Niepodległości przez Rzeczpospolitą Polską, po raz dwudziesty drugi . . . . .	F. 220,00
Iza Maybach, Heilbronn (NRF), po raz dziesiąty . . . . .	F. 170,50
Pozostawione po śp. Ks. Kazimierzu Mikuckim z Ribeirao Bonito (Brazylia) . . . . .	F. 35,00
Anna Sabbatówna, Londyn . . . . .	F. 100,00
Nina Sereda, Montreal — zamiast kwiatów w Zaduszki na znane i nieznanne groby moich najbliższych, pomordowanych przez NKWD i Gestapo — po raz 37-my . . . . .	F. 100,00
S. W. River Head, N.Y. (USA) . . . . .	F. 44,00
Bezimiennie z Toronto, Ontario (Kanada) . . . . .	F. 22,00

**DZIĘKUJEMY!**

**Temat : Konflikty**

Przeciętny mieszkaniec Wielkiej Brytanii nie zdaje sobie sprawy, że na tych Wyspach istnieje przeszło 200 komun. Z braku innego zbiorczego określenia tego zjawiska — używam semantycznie logicznie brzmiącego terminu „komunizm”, choć w tym wypadku słowo „komunizm” nie ma nic wspólnego z ustrojem sowieckim czy chińskim. Lecz jak inaczej nazwać ruch oparty na komunach (po angielsku *communes*)?

W Ameryce istnieją nie setki lecz tysiące komun. „Komunizm” rozrasta się również na kontynencie Europy.

W pięknym parku o powierzchni 25 akrów w Dumfrieshire — mieści się siedziba tybetańskiej komuny Samey-Ling. Dziwnie wygląda duża statua Buddy siedzącego na skrzyżowanych nogach na tle typowego angielskiego parku.

Nie wszystkie komuny są buddyjskie. Są komuny praktykujące powrót do „pierwotnego” chrześcijaństwa. Nie brak komun w których element religijny nie odgrywa w ogóle żadnej roli. Wymyślono nawet systemy medytacji ateistycznej. W tych systemach zakłada się, że medytacja nawet bez założeń metafizycznych jest zbawienna dla zdrowia fizycznego i psychicznego.

W niniejszym artykule interesuje mnie tylko jeden aspekt tego zagadnienia. Komunę stanowią zbiorową formę ucieczki. Przed czym ci ludzie uciekają? Warto może jeszcze dodać, że komunę nie składają się wyłącznie z brodatych i kudłatych młodzieńców. „Komunistami” bywają również ludzie w średnim wieku obojga płci, często ze stopniami uniwersyteckimi, którzy porzucili kariery i stanowiska w naszym świecie by uciekać. Uciekać przed czym?

Jeżeli ktoś jest anarchistą zwalczając konserwatystów. Jeżeli ktoś jest konserwatystą — zwalczając anarchistów. Człowiek religijny w miarę swych możliwości zwalczając ateizm, a ateści — jak wiadomo — zwalczając religię.

W naszym świecie być za czymś jest równoznaczne z faktem, że się jest przeciwko czemuś. Innymi słowy tzw. normalne ży-

cie jest zawsze sytuacją konfliktową. Banalne określenie, że życie jest walką — implikuje istnienie permanentnego konfliktu — ponieważ nie walczymy z wiatrakami tylko z ludźmi o odmiennych przekonaniach i poglądach.

Oczywiście walka nie odbywa się wyłącznie w płaszczyźnie idej politycznych. Ludzie walczą o władzę, o stanowiska o pieniądze. Walcząc o coś walczą równocześnie przeciwko komuś.

Komuny — o których wspominałem powyżej — stawiają sobie za cel stworzenie form życia zbiorowego uwolnionego od sytuacji konfliktowej.

Bezkonfliktowość jest możliwa tylko za cenę rezygnacji z jakiegokolwiek zaangażowania. Z tej przyczyny komuny nie mogą być porównane z klasztorami chrześcijańskimi. Zakonnik — nawet w czysto kontemplacyjnym zakonie — jest zaangażowany w walce ze złem, któremu przeciwstawia modlitwę i świątobliwe życie.

Jest rzeczą zdumiewającą, że są pisarze operujący socjologiczną terminologią, którzy w komunach dopatrują się projekcji alternatywnej cywilizacji.

W moim przekonaniu bezkonfliktowość byłaby nie alternatywą lecz grobem cywilizacji. Bezkonfliktowe życie można sobie wyobrazić tylko w innym wymiarze, poza grobem lecz nie na tej ziemi.

Z konfliktowością trzeba nie tylko współżyć lecz oceniać ów stan rzeczy jako zjawisko pozytywne. Przychodzi to nie łatwo, bo w każdym człowieku, zwłaszcza starszym — budzi się tęsknota do syntezy i spokoju. W każdym socjaliście tkwi konserwatysta, który szepcze, że za cenę zdławienia kolejnych konfliktów można osiągnąć upragniony spokój.

Ojczyzną konserwatysty jest *status quo*. To jest twarda ziemia pod nogami — inaczej mówiąc sytuacja o minimalnej ilości niewiadomych. Natomiast reformy — zwłaszcza reformy radykalne — usuwają twarde grunto pod stopy konserwatysty. Każda reforma, choćby najszlachetniejsza — niesie z sobą znaczny procent niewiadomych, co określamy mianem ryzyka. Konserwatysta mieszkający w każdym z nas nie lubi ryzyka i z nieufnością odnosi się do każdej zmiany — ponieważ długie doświadczenie życiowe mówi mu, że jest niewielka szansa by jakkolwiek zmiana okazała się zmianą na lepsze.

Ludzie starsi wiekiem źle adaptują się do zmienionych warunków i dlatego instynkt biologiczny dyktuje im postawę konserwatywną. Oczywiście są wyjątki.

Przez uczciwe życie należy rozumieć postawę jednostki opartą na przekonaniu — a nie na zmianach biologicznych, nie na zainwestowanych pieniądzach, nie na subiektywnym pragnieniu „świętego spokoju”, choćby kupionego krzywdą innych.

Powinniśmy patrzeć z największą nieufnością na naszego „sobowtóra” konserwatystę, ponieważ on jest rzecznikiem egoizmu i wszelkiej moralnej brzydoty z egoizmem związanej.

Konserwatysty zdają się posiadać wyłączny monopol na rea-

lizm. Polityka zachowawcza jest zawsze realna — natomiast dążenie do reform, zwłaszcza radykalnych, piętnowane jest jako utopizm.

W rzeczywistości jednak gdy do władzy, po socjalistach, przechodzą konserwatyści, akceptują większość wprowadzonych zmian i reform. Z chwilą gdy nowe instytucje — jak państwowa służba zdrowia — stają się częścią aparatu rządowego konserwatystów — nabierają *respectability* i z utopii przekształcają się w powszechnie uznawany składnik „realnego stanu rzeczy”.

Nie mówimy o ustrojach utopijnych, do których zaliczyć należy również i komunizm. Chciałem tylko uwypuklić fakt, że realizm nie może stanowić kategorii moralnej. Konserwatyści wszystkich krajów mają tendencję do interpretacji życia według schematu: słuszne może być tylko to co jest realne. Jeżeli coś jest nierealne, jest tym samym głupie, a rzecz głupia nie może być słuszną.

Dla człowieka o przekonaniach lewicowych powyższy schemat jest nie do przyjęcia. Dana sprawa, jeżeli jest naprawdę słuszną, nie przestaje być słuszną nawet jeżeli jest nierealna. Musimy również pamiętać, że wykładnik moralny — tzw. obiektywna słuszość danej sprawy — stanowi czynnik stały. Natomiast kwalifikacja realizmu jest oceną płynną i zmienną. Równouprawienie kobiet było sprawą moralnie słuszną tak sto lat temu jak i dziś. Natomiast sto lat temu ów problem, choć moralnie słuszny, był nierealny. Dziś jednak równouprawienie kobiet jest zarówno moralnie słuszne jak i całkowicie realne. Walczyć obecnie o równouprawienie kobiet nie jest bohaterstwem — ponieważ bitwa jest wygrana. Lecz choć rezultaty zwycięstwa oglądamy dopiero dziś — bitwa została stoczona i wygrana przez pokolenie, które działało w epoce, która temu problemowi odmawiała realizmu.

Podobnie było ze związkami zawodowymi, z powszechnym głosowaniem — ze wszystkim co określamy mianem postępu.

Postęp staje się realny dopiero w chwili gdy jest wywalczony. Lecz postępu nie byłoby w ogóle — gdyby zabrakło ludzi gotowych walczyć o sprawy słuszne, choć w danym okresie nierealne.

Wszystkie biurokracje są konserwatywne. Im dana biurokracja posiada większą władzę tym jest bardziej konserwatywna. O ile jednak konflikt pomiędzy socjalistami a konserwatystami w systemie demokratycznym jest zjawiskiem stałym o wypracowanych regułach gry — o tyle coraz częstsze konflikty w ramach samej biurokracji są nowym fenomenem. Strajkują urzędnicy niskiego stopnia przynależni do tej samej biurokracji co urzędnicy średnich i wysokich stopni. Obserwujemy również nieustanny konflikt w związkach zawodowych. Przywódcy lokalni, bezpośrednio wybrani przez robotników — popadają często w konflikt z centralną biurokracją związkową.

Jest naiwnością twierdzić, że wszystkie nieoficjalne strajki, pikietowania, strajki okupacyjne itp. są organizowane wyłącznie przez komunistów. Wpływ komunistycznych nie należy lekce-

ważyc. Lecz gdyby jutro wszystkich komunistów brytyjskich wywieziono na Syberię — mielibyśmy nadal strajki, pikietowania i wszystko to, co Anglicy określają terminem *militancy*.

Jedną z niebezpiecznych wad antykomunizmu jest jego intelektualne prostacko. Każdy trudny czy niepożądany fenomen społeczny jest daleko łatwiej napiętnować jako machinację komunistów niż przeanalizować i wyjaśnić jego przyczyny.

Lecz wróćmy do rzeczy. Strajk oficjalny jest akcją legalną — to znaczy system demokratyczny wypracował w tym względzie obowiązujące reguły gry. Przełom technologiczny powoduje zasadnicze zmiany w procesie produkcji przemysłowej, co pociąga za sobą głębokie przemiany gospodarcze, społeczne i polityczne. W rezultacie powstają nie tylko wielonarodowe koncerny przemysłowe lecz i E.W.G.

Lecz to są zmiany w pewnej mierze zewnętrzne. Nie docenia się przemian na samym dole, tzn. w ludziach.

Symboliczną postacią w panteonie nowoczesnego przemysłu jest Henry Ford — twórca przenośnika taśmowego (*conveyer belt*) i autor słynnego powiedzenia, że „robotnik jest szczęśliwy do póki przy swojej pracy nie musi myśleć”.

Brytyjski przemysł samochodowy może się poszczycić największą ilością strajków i zatargów z robotnikami. Badania ustaliły, że praca przy przenośniku taśmowym jest zabójczo nudna i monotonna. Badania ustaliły również, że praca tego typu prowadzi do frustracji, do zniecierpliwienia, a często do gwałtownych wybuchów. Robotnicy w fabrykach samochodowych często strajkują z najbardziej błahych powodów, szukając upustu dla nudy, monotonii i zniecierpliwienia.

Niektóre fabryki samochodów w Niemczech zarzuciły całkowicie system przenośnika taśmowego. W tych fabrykach samochód buduje sześciu mechaników. Samochód, który budują, stanowi ich indywidualne dzieło i osiągnięcie którym są zainteresowani i z którego są dumni. W takich fabrykach jak Volkswagen strajki są zjawiskiem nieznanym.

Powyżej przytoczony przykład ilustruje rozległy i różnorodny konflikt pomiędzy technologią a robotnikami. Ów konflikt nie ma nic wspólnego z płacą. Robotnicy w angielskich fabrykach samochodowych są jednymi z najlepiej płatnych robotników w Europie. Lecz jak wyraził się jeden z rzeczoznawców w dyskusji na ten temat w BBC — żadnymi pieniędzmi nie można zapłacić za nudę, monotonię i frustrację pracy przy przenośniku taśmowym.

Z jednej strony technologia w wielu dziedzinach de-humanizuje pracę robotników — z drugiej strony radio, prasa, oświata a w szczególności szeroko rozbudowany system oświaty dla dorosłych — podnoszą systematycznie poziom intelektualny i kulturalny robotników. Od czasów gdy Henry Ford wypuścił na świat swój słynny „T” Model — poziom klasy robotniczej, zwłaszcza w Zachodniej Europie, uległ wielkiej przemianie.

Oczywiście przy systemie przenośnika taśmowego można pro-

dukować więcej i taniej niż przy systemie indywidualnym, w którym sześciu robotników buduje jeden samochód. Lecz fabryka produkująca w oparciu o system taśmowy — w której robotnicy strajkują przez 150 dni w roku — na pewno nie produkuje ani taniej ani więcej.

Główną motywacją kapitalizmu jest zysk. Metoda, która obniża kosztą produkcji tym samym zwiększa zysk. Można więc argumentować tak, jak pewni przywódcy amerykańskich związków zawodowych — że zwiększenie rentowności danego zakładu przemysłowego leży w interesie robotników, ponieważ tylko fabryka, która wykazuje wielkie zyski może płacić wysokie stawki.

W jednym z moich poprzednich artykułów pisałem, że konflikt pomiędzy kapitałem a pracą w każdym kraju oznacza co innego. Co jest do przyjęcia dla robotników chińskich — jest nie do przyjęcia dla robotników amerykańskich — a co jest do przyjęcia dla robotników amerykańskich — nie zawsze jest do przyjęcia dla bardziej *sophisticated* robotników zachodnio-europejskich.

W moim przekonaniu im będzie się zwiększał ogólny poziom kulturalny robotników — tym silniejszy będzie opór klasy robotniczej przeciwko nudzie i monotonii, wywołanej technologizacją pracy. Choć kapitalistyczni pragmatycy pokwitują co powiem ironicznym uśmiechem — niemniej faktem jest, że nie pracujemy dla zysku, tylko dla osiągnięcia maksimum zadowolenia z życia. Pełne zadowolenie daje zwykle pełne zaangażowanie. Redaktor pisma jest w pełni zaangażowany swą pracą, lekarz z powołania, ksiądz z powołania i *businessman* są również w pełni zaangażowani. Określenie *total engagement syndrome* zostało ukute przez „nadwornych” lekarzy klubów skupiających dyrektorów wielkich firm i koncernów.

Pełne zaangażowanie rodzi nowe konflikty i problemy. Życie ludzkie jest zawsze sytuacją konfliktową ponieważ człowiek zbudowany jest zżywionej materii i z nieprawdopodobnej ilości wody — nie w przenośnym lecz w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jedynym „marzeniem” wody jest urzeczywistnienie drugiego prawa termodynamiki — co wyraża się wyrównaniem poziomów, atrofią czyli po naszymu śmiercią.

Z powyższych przyczyn nie wybieramy nigdy pomiędzy nie-szczęściem a szczęściem. Wybieramy pomiędzy nieszczęściem a zadowoleniem. Jednym z głównych źródeł zadowolenia jest zaangażowanie. Nuda i monotonia wykluczają zaangażowanie czyniąc z pracy nie źródło zadowolenia, lecz źródło depresji i gwałtownych reakcji.

Marksiści wyobrażają sobie, że uspołecznienie środków produkcji rozwiązuje wszystkie problemy. Czy uspołecznienie niewolnictwa zmieniłoby na lepsze los niewolników? Uspołeczniony czy upaństwowiony *conveyer belt* pozostaje nadal tym czym jest.

W krajach wysoko uprzemysłowanych, jak Niemcy czy Holandia, do nudnych i brudnych zajęć, których nie chcą wykonywać kulturalnie zaawansowani robotnicy miejscowi — sprowadza się tysiącami Turków czy Jugosłowian. Lecz to nie jest za-

łatwienie problemu. Nie możemy budować naszej technologicznej cywilizacji w oparciu o założenie, że zawsze będzie można importować biedotę z „trzeciego świata” do prac, których nikt z nas nie chciałby się podjąć.

Jeżeli chłop turecki uczciwie wynagradzany pracuje przez dwa lata w Holandii by z oszczędności kupić traktor dla swojego gospodarstwa w Turcji — oczywiście nie ma w tym nic złego. Lecz Holandia w tym wypadku rozwiązuje problem tureckiego chłopca a nie problem swojej własnej technologicznej cywilizacji.

Europejska technologia będzie musiała się nagiąć i zaadaptować do wymagań poziomu europejskiego robotnika nawet kosztem zysków.



Istnieją jeszcze innego typu konflikty, które z polskiego punktu widzenia ważniejsze są od innych. Po drugiej wojnie światowej zostaliśmy na emigracji ponieważ naród polski jest w konflikcie z Sowietami.

Powyższe stwierdzenie jest uogólnieniem, które nie w pełni odpowiada prawdzie. Wielu polskich komunistów — choć nie wszyscy — nie uważają, że Polska znajduje się w konfliktowej sytuacji z Sowietami. Również wielu Polaków zagranicznych, którzy są Polakami tylko w sensie etnicznym — nie mają żywego poczucia konfliktu polsko-sowieckiego.

Istnieją jeszcze dość liczni Polacy młodego i średniego pokolenia, którzy swój brak zaangażowania usprawiedliwiają krytyczną postawą zarówno w stosunku do Wschodu jak i Zachodu. Nie ma sensu i celu angażować się przeciwko Wschodowi ponieważ Zachód nie jest lepszy. Oczywiście tego typu filozofia nie ma nic wspólnego z logicznym rozumowaniem. Choć uznalibyśmy Zachód za Sodomę i Gomorę — to w niczym nie zmienia faktu, że nie Francja i Anglia lecz Sowiety narzuciły nam status satelicki.

Powyższa postawa cechuje głównie część Polaków z nowej emigracji. Ci ludzie wywieźli z Kraju osobistą niechęć do komunizmu oraz wpajaną im przez lata niechęć do emigracji politycznej i Zachodu. Zaden z tych panów — z których wielu pisuje do periodyków emigracyjnych — nie wykrztusi nigdy słów „niepodległość” czy „polityka niepodległościowa”, ponieważ to są terminy intelektualnie „trefne”, które identyfikowałyby autora ze starą żołnierską emigracją, z jej partiami politycznymi, legalizmem — jednym słowem z tym wszystkim co nowi emigranci uważają za starcze i śmieszne.

Sprawa polska należy do staroświeckiego repertuaru i jest intelektualnie zdeklasowana faktem, że stanowi pole „popisu” wszystkich grafomanów na emigracji. Wyodrębnić się z klanu pompierów, dygnitarzy z urojenia i skupionych wokół nich czwartorzędnych pismaków — można najłatwiej poprzez odcięcie się od tzw. sprawy polskiej.

Istnieje jeszcze jedna niezawiniona różnica. Nowi polscy emi-

granci są emigrantami z bloku sowieckiego. My natomiast jesteśmy emigrantami z niepodległego państwa polskiego. Stara, żołnierska emigracja reprezentuje naród państwowy — podczas gdy nowi emigranci, nie z własnej winy — powtarzam — reprezentują polskość etniczną. Wszystkie „Mazowsza”, albumy z płytami Chopina, góralskie Chrystusiki frasośliwe, kilimy i ceramiki — cały ów rzewny sprzęt folklorystyczny reprezentuje polskość etniczną, odartą z jakiegokolwiek myśli państwowej.

Sowietyzm sprowadza się do prostej propozycji: folklor za wyrzeczenie się myśli państwowej. Można pławić się w łowickich pasiakach, w pawich piórach i czytać „Trylogię” — lecz nie wolno myśleć o niepodległym państwie polskim.

Operacja w dużej mierze przyniosła zamierzone rezultaty. Wśród młodego i średniego pokolenia nowych emigrantów — bardzo trudno dopatrzeć się myśli państwowej.

Niepodległość uważa się nie za cel polityczny lecz za utopię. Wiadomo że, poza Ameryką i Sowietami, nikt nie jest stuprocentowo suwerenny. Lecz domaganie się dla Polski ograniczonej suwerenności, która jest udziałem Austrii, Belgii czy Szwecji — nie jest utopią ale naturalnym prawem.

W latach 80-tych i 90-tych ubiegłego stulecia niepodległość mogła wydawać się istotnie propozycją utopijną. Niemniej w tych latach naród polski produkował literaturę niepodległościową, organizował stowarzyszenia i związki niepodległościowe — choć nikomu nie śniło się wówczas o samostanowieniu czy o Karcie Praw Człowieka.

Literatury niepodległościowej po prostu nie mamy. Mamy tomy wspomnień z okresu wojny lecz to wszystko. Nie mamy „samizdatu”, ponieważ nie mamy Sołżenicynów — brak nam pisarzy, którzy by potrafili ideę niepodległościową wyrazić w formie wielkiego dzieła sztuki.

Nawet gdyby żył współcześnie Żeromski — nie wiem czy odważyłby się dotknąć tematyki niepodległościowej — spłaszczonej i zbanalizowanej przez legion grafomanów, ośmieszanej fikcyjnymi awansami i orderami — zepchniętej w getto wymierającego klubu wódarzy Drugiej Rzeczypospolitej.

Onegdaj jeden z wybitnych emigracyjnych publicystów zakończył swój artykuł w londyńskim *Dzienniku Polskim* następującymi słowami:

„My, Polacy, nie mogę tego dość często powtarzać, uczmy się neutralności, nie kładźmy palca między drzwi, i starajmy się od wszystkich sporów i które o nas nie zahaczają, trzymać się jak najdalej. Jak powiada jedyne rozsądne przysłowie ukraińskie 'moja chata z kraju'...”

Ach gdyby tak było! Gdybyśmy mogli być neutralni jak Austria — bez obcych wojsk na naszym terenie. Niestety nasza chata nie jest z kraju.

W tym samym *Dzienniku Polskim* kilka dni wcześniej ukazała się korespondencja z Genewy. Autor pisze, że pytają nas „dlaczego

go nie ma tu wszystkich wolnych przedstawicieli krajów środkowo-europejskich? Dlaczego nie składają formalnych deklaracji, domagających się niepodległości? Gdzie są kombatanci środkowo-europejscy z ostatniej wojny? Gdzie są demonstracje publiczne?"

W dniu 17 października odbył się w Londynie mecz piłki nożnej Polska-Anglia. Jak podało BBC na ów „historyczny” mecz zjechali się Polacy nie tylko ze Szkocji i z Walii lecz również z Kanady, z Francji, ze Szwecji, z Holandii, ze Stanów Zjednoczonych a nawet z Australii.

W Genewie trzeba było być Polakiem państwowym. Na stadionie w Wembley — wystarczyło być etnikiem. Za granicą Polaków-etników są miliony — Polaków-państwowców nie ma nawet pół miliona.

Nie mam nic przeciwko Polakom-etnikom. Przeciwnie, moja krytyka skierowana jest przeciwko emigrantom nie z Polski satelickiej, tylko z Polski niepodległej. Zrobiliśmy bardzo wiele — stworzyliśmy liczne organizacje i instytucje, wydajemy pisma, periodyki i publikujemy setki książek.

Pisałem wiele razy, że nikomu nie można przekazać statusu emigranta politycznego. Polakom urodzonym za granicą bardzo trudno jest przekazać ideę niepodległościową. To jest dla nich koncept historyczny, bagaż ideowy ich ojców, który wraz ze starymi mundurami można w kuferku zdeponować na strychu. Posłaliśmy po drodze najmniejszego oporu — staraliśmy się zafascynować młodzież polskim folklorem. Być może nie było rzeczą możliwą wpojenie w młodych idei państwowej i niepodległościowej. Było natomiast rzeczą możliwą — i nadal jest rzeczą możliwą — wpoić w młodych poczucie konfliktu i zaangażowania w szerszej płaszczyźnie — w płaszczyźnie europejskiej. Trzeba młodym zaprezentować polskość jako istotny fragment problemu europejskiego. Gdybym miał przemawiać do młodych chłopców i dziewcząt urodzonych w Anglii — to nie mówiłbym im o Bolesławie Chrobrym, Koperniku czy Piłsudskim — ale zacząłbym od stwierdzenia, że w roku 1939 było w Europie 7 dyktatorskich rządów. Dziś jest ich 12.

Wydaje się wielu, że klęska Hitlera była zwycięstwem wolności i demokracji. Niestety obiektywne cyfry i mapa polityczna Europy, którą można nabyć w każdej księgarni — przeczą temu.

Powyżej przytoczone cyfry są miarą konfliktu i zagrożenia. Owo zagrożenie w pierwszym rządzie dotyczy młodych a nie starych — bo nie my, tylko młodzi, doczekają czasów w których albo dyktatury w Europie upadną albo liczba ich jeszcze bardziej wzrośnie.

Winniśmy w kontekście europejskim, a nie w kontekście Polski emigracyjnej, wpajając w młodych świadomość zagrożenia i konieczność zaangażowania.

Swojego czasu proponowaliśmy na łamach *Kultury* utworzenie pasa neutralnego, który obejmowałby Polskę. Koniunktura międzynarodowa zdawała się wówczas sprzyjać tego rodzaju koncepcjom. Byliśmy całkowicie osamotnieni w naszej inicjatywie,

bo dla znakomitej większości Polaków w Wielkiej Brytanii ideałem jest „chata z kraju”, londyńska *Little Poland*. Nasze dzieci w naszej „Małej Polsce” chrczą polscy księża, zmarłych grzebią polscy księża, leczą nas polscy lekarze, nasze sprawy załatwiają polscy adwokaci, a polską wódkę zagryzamy polską kiełbasą w polskich klubach i restauracjach. Urządzamy stale dziesiątki polskich zabaw, balów, przedstawień teatralnych — co drugi dzień wręczamy komuś nagrody lub ordery — mamy własną politykę wewnętrzną z koteriami, partiami, plotkami, mamy własną prasę i galerię mężów stanu. Można przeżyć długie życie w londyńskiej *Little Poland* nie umiejąc słowa po angielsku, a w końcu spocząć na polskim cmentarzu z tablicą nagrobną w języku polskim.

Można londyńską „Małą Polskę” wykpiwać — lecz to jest osiągnięcie imponujące. Anglicy nie bez podziwu uważają, że polski Londyn jest najbardziej egzotyczny ze wszystkich Londynów. Jest egzotyczny całkowitą swoją odrębnością, której nie zdołali stworzyć ani Włosi ani nawet Chińczycy.

Owa samowystarczalność spowodowała jednak, że „Mała Polska” stała się nie środkiem do celu, tylko celem sama w sobie. Nasz antykomunizm nie służy do zwalczania kogokolwiek czy czegokolwiek, ale służy do umacniania ideologiczno-społecznej zwartości „Małej Polski”. Antykomunizm to jest nasz „parafialny kościół” a nie hasło czy program.

Zażarta krytyka jakiegokolwiek propozycji, która — gdyby została zrealizowana — umożliwiałaby powrót części emigracji do Kraju — dowodzi, że pragniemy przede wszystkim bronić „Małej Polski” przed jej ewentualną likwidacją.

Charakterystyczny był pod tym względem stosunek prasy polskiej w Londynie do Dubczeka. Polska prasa londyńska była w tej sprawie *de facto* sojusznikiem Sowietów — choć krytykowała Dubczeka oczywiście z innych pozycji. Wykpiwano jego projekty demokratyzacji życia społecznego w Czechosłowacji, zarzucano mu, że oficjalnie i publicznie nie wyparł się komunizmu, twierdzono, że „Dubczekizm” jest tylko zmiękczonym komunizmem a nie wolnością itp., itd.

Z tych samych przyczyn kilka lat wcześniej atakowano mój „Ewolucjonizm”. Na emigracji ukazało się mnóstwo książek lecz przeciwko dwu moim książkom zorganizowano nagonkę dysproporcjonalną do ważności tych publikacji. Rozpisano na temat tych książek ankietę — przeanalizowano tysiąc kilkaset kwestionariuszy — opracowano wyniki z namaszczonej powagą, jakby chodziło o plebiscyt w sprawie Górnego Śląska czy Gdańska. Zaciekłość, wrogość, zawistność tej kampanii przekonały mnie, że — choć pisząc te książki nie byłem tego świadom — dotknąłem najczulszego nerwu londyńskiej „Małej Polski”.

Ewolucjonizm zakładał możliwość stopniowego przekształcenia się ustroju PRL w socjalizm — może nie w socjalizm zgodny ze statutem PPS — lecz niemniej w socjalizm bez cudzysłowu.

„Wiosna Praska” stanowiła w praktyce potwierdzenie słuszności moich założeń. Ewolucyjny proces demokratyzacji Czecho-

słowacji upadł nie dlatego, że był nierealny — tylko dlatego, że wkroczyły na arenę armie sowieckie. W Moskwie oceniono, że ewolucyjny program Dubczeka jest *realny* i z tej przyczyny postanowiono go zgnieść siłą.

Lecz co to ma wspólnego z „Małą Polską”?

Gdyby tezy moich książek ziściły się jeszcze za życia naszego pokolenia — „Mała Polska” utraciłaby rację istnienia. Choć nie byłoby restauracji Drugiej Rzeczypospolitej — istniałaby Polska do której można by i należałoby wrócić. Innymi słowy moje książki potencjalnie zagrażały nie Polsce, lecz „Małej Polsce” i stąd ta gwałtowna reakcja.

W żadnej z moich książek nie napisałem, że ewolucjonizm zrealizuje się za życia naszego pokolenia. Być może urzeczywistni się za 5 lat lub za 50 lat. Być może nie urzeczywistni się w ogóle, bo wpierr dojdzie do wojny lub do rewolucji.

W tym wypadku chodziło mi tylko o wykazanie, że antykomunizm „Małej Polski” jest czysto retoryczny. Zakładając jako cel swojego antykomunizmu restaurację Drugiej Rzeczypospolitej z Wilnem, Lwowem i przedwojenną konstytucją — „Mała Polska” nie tyle zwalcza komunizm, ile broni swojego istnienia — ponieważ alternatywą „Małej Polski” jest nie tylko utopia lecz po prostu absurd. Ponieważ nie będzie nigdy restauracji Drugiej Rzeczypospolitej wskutek tego „Małej Polsce” nic nie zagraża.

Owo zmitologizowanie celów „Małej Polski” pociąga za sobą bezkonfliktowość i brak zaangażowania. Odwiedzenie muzeum imienia Gen. Sikorskiego cześć oddawana sztandarom wojskowym — to jest zrozumiałe i godny pochwały sentyment, lecz to nie jest zaangażowanie.

Sprawa polska stanowi część składową podstawowego konfliktu XX wieku. Totalizm *versus* demokracja to nie jest zagadnienie Europy Wschodniej. To jest problem światowy. Trzeci świat, Japonia czy Chiny nie pogodzą się z faktem, że naszym globem rządzą Waszyngton i Moskwa. Rozszerzanie sfer wpływów czyli mobilizowanie państw pod sztandarami Moskwy czy Waszyngtonu nie jest środkiem do uładzenia świata, lecz przeciwnie jest pogłębianiem konfliktu. Amerykanie i Rosjanie zdają sobie z tego sprawę, lecz Moskwa i Waszyngton łudzą się, że serię wojen koniecznych do ustanowienia równowagi pomiędzy supermocarstwami — będzie można zawsze rozgrywać rękami i krwią narodów-klientów.

Moskwa uzbraja grupę państw „A” — Waszyngton uzbraja państwo „B”. Wybucho zbrojny konflikt, który daje możliwość wypróbowania najnowszych broni oraz umożliwia Amerykanom zdobycie broni produkcji rosyjskiej a Rosjanom umożliwia zdobycie najnowszych instrumentów z arsenału wojennego Stanów Zjednoczonych. Tak Moskwa jak i Waszyngton seriami satelitów szpiegowskich rejestrują przebieg wojennego konfliktu z niebywałą precyzją. Zdjęcia filmowe są tak dokładne, że widoczny jest każdy czółg.

Gdy klienci Moskwy zaczynają przegrywać — supermocar-

stwa ogłaszają zawieszenie broni. Oczywiście Waszyngton i Moskwa dbają wyłącznie o swoje interesy, które tylko częściowo i koniunkturalnie bywają zbieżne z interesami państw-klientów.

Dzisiejszą epokę historyczną nazwą kiedyś „feudalizmem atomowym”. Tak jak dawniej bogactwo i urodzenie dawały władzę i przywileje — tak dzisiaj arsenały atomowe dają ich dysponentom przywileje i władzę. Zawsze byli ludzie biedni i bogaci i zawsze były państwa biedne i bogate. Nigdy jednak w przeszłości nie istniały supermocarstwa, które z racji posiadania broni absolutnych zgłaszały pretensje do rządzenia światem.

Nuklearna arystokracja uprawia w stosunku do państw-proletariatusy zwyczajny szantaż. Daje się do zrozumienia Polakom czy Czechosłowakom, że rewolucja czy powstanie byłyby gestami nie tylko bezcelowymi, lecz również czynami moralnie niesprawiedliwionymi — ponieważ mogłyby prowadzić do wojny atomowej, co należy uznać za zło absolutne. Inaczej mówiąc dążenie do niepodległości jest w naszej epoce a-moralne, bo może doprowadzić do konfrontacji supermocarstw, co oznaczałoby koniec świata.

Etyka atomowa zakłada, że istnieją tylko dwa mocarstwa miłujące pokój: Stany Zjednoczone i Sowiety. Natomiast Polacy, Izraelczycy, Czechosłowacy czy Węgrzy — każdej chwili są gotowi podpalić świat w imię śmiesznych dążeń do niepodległości czy do obrony granic.

Prawda wygląda nieco inaczej. Izraelczycy czy Polacy nie są w stanie podpalić świata, ponieważ nie posiadają arsenałów atomowych. Zlikwidować życie na naszym globie mogą tylko Amerykanie czy Rosjanie. Jeżeli kiedyś miałyby do tego dojść — Rosjanie i Amerykanie sprowadzą na nas kataklizm nie w obronie Izraela czy Polski tylko w imię swych egoistycznych, imperialistycznych, supermocarstwowych interesów.

Pokojowi świata nie zagrażają małe i średnie narody domagające się samostanowienia i niepodległości — pokojowi świata zagraża zawsze i wszędzie rywalizacja nuklearnych supermocarstw. My jesteśmy tylko pionkami na tej szachownicy lecz już z góry zakłada się, że jeżeliby miało dojść do katastrofy będzie to nasza wina i nasz grzech.

— Oczywiście my — pionki — możemy uratować świat jeżeli pozwolimy supermocarstwom rozgrywać ich rywalizacyjną grę naszymi rękami — tak by owe „dwa na słońcach swych przeciwne bogi” — nigdy się nie spotkały. Cóż za wspaniałą rolę przyznała pionkom historia w dwudziestym wieku!

Wielu wschodnich Europejczyków wiąże wszystkie nadzieje z widmem konfrontacji sowiecko-amerykańskiej. Wydaje mi się jednak, że rolę ujarzmionych narodów, jak Polacy, czy zagrożonych narodów — jak Izraelczycy — nie jest wygrywać Amerykanów przeciwko Rosjanom — czy odwrotnie — tylko cierpliwie i obiektywnie wykazywać i tłumaczyć, że pokój świata, bezpieczeństwo Nowego Jorku, Moskwy i Leningradu zależą od rozwiązania podstawowych problemów w tzw. zapalnych punktach



globu. Do owych zapalnych punktów należy w równej mierze Europa Wschodnia jak i Bliski Wschód.

Przewrót w Polsce i w Czechosłowacji czy jeszcze jedna wojna izraelsko-arabska mogłyby doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji Sowietów z Ameryką. Nie ulega wątpliwości, że tak Moskwa jak i Waszyngton boją się bezpośredniej konfrontacji i pragną jej uniknąć.

Pionki — choć przychodzi im trudno w to uwierzyć — mają jednak pewną „sytuację przetargową”. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i aktywnie przypominać tak Rosjanom jak i Amerykanom, że Europa Wschodnia jest punktem zapalnym i — że choć ani Rosjanie ani Amerykanie nie są gotowi umierać za Gdańsk — pewnego dnia wybuch, który doprowadzi do konfrontacji globalnej, zacząć się może w Gdańsku.

I uwaga ostatnia. Konflikty ulegają globalizacji — innymi słowy konflikt lokalny coraz trudniej jest utrzymać w kontekście lokalnym. Jestem pewien, że gdyby dziś Sowiety zalały Polskę dywizjami pancernymi — prezydent USA zarządziłby alarm atomowy we wszystkich jednostkach amerykańskich, rozsianych po całym świecie. Ponieważ dziś każdy konflikt lokalny angażuje oba supermocarstwa.

Nie można budować pokoju na zaminowanych obszarach. Jeżeli Rosjanie i Amerykanie pragną uniknąć konfrontacji — muszą rozładować „pola minowe” w Europie Wschodniej, na Bliskim Wschodzie, w południowo-wschodniej Azji, na pograniczu sowiecko-chińskim. Jeżeli supermocarstwa tego nie uczynią — jedno z owych pól minowych — w najmniej przewidywanej chwili wybuchnie i zdetonuje kataklizm.

Kongres Wiedeński niczego nie załatwił a Metternich niczego nie ochronił. Historii bowiem nie robią pp. Breżniew, Nixon i Kissinger — tylko pionki. Natomiast od mądrości mężów stanu wielkich mocarstw zależy, czy bunt krzywdzonych pionków przestacza się w drodze postępu, czy w dynamit kataklizmu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## «Przodująca rola klasy robotniczej»

(NA MARGINESIE „MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI TEORETYCZNEJ” W WARSZAWIE)

*Od 21 do 23 maja bież. roku obradowała w Warszawie „Międzynarodowa konferencja teoretyczna” nad zagadnieniem: „Klasa robotnicza i jej partia we współczesnym społeczeństwie socjalistycznym”.*

*Uczestniczyły w konferencji partie komunistyczne ZSSR i krajów demokracji ludowej orbity sowieckiej. Nie uczestniczyły, rzecz jasna, partie komunistyczne Chin i Albanii, nadto Wietnamu i Korei. Nie była też reprezentowana partia komunistyczna Kuby. Powodów nieobecności tych partii nie podano.*

*Delegacji sowieckiej przewodniczył Konstantin Katuszew — sekretarz KC KPZS. Delegacji polskiej przewodniczył członek Biura Politycznego Franciszek Szlachcic. Pozostałym partiom przewodniczyli bądź dyrektorzy centralnych szkół partyjnych bądź redaktorzy centralnych organów prasowych. Nie była to więc konferencja naukowo-teoretyczna, lecz polityczno-ideologiczna. Zagadnienia teorii zostały podporządkowane wytycznym politycznym i ideologicznym.*

*Organizatorami konferencji były redakcje: Problemy Pokoju i Socjalizmu oraz Nowe Drogi, nadto współdziałała Wyższa Szkoła Nauk Społecznych w Warszawie.*

Cel wspomnianej w tytule „Międzynarodowej Konferencji Teoretycznej” wyjaśnił Franciszek Szlachcic już w swej mowie inauguracyjnej:

*„Umacnianie roli klasy robotniczej, dyktatury proletariatu i kierowniczej roli partii jest warunkiem budowy socjalizmu i głównym czynnikiem walki z rewizjonizmem i różnymi formami antykomunizmu”.*

Walka z „rewizjonizmem” jest, zdaniem mówcy, dwukierunkowa:

W walce z socjalizmem „antykomunizm stosuje różne pośrednie i bezpośrednie formy; jedną z nich jest rewizjonizm prawy i lewy...”.

Bardziej dobitnie zasadniczy cel konferencji „teoretycznej” wyjaśnił główny jej referent Katuszew:

„Stosunek do historycznej misji klasy robotniczej i jej roli w światowym procesie rewolucyjnym był, jest i będzie przedmiotem zacieklej walki ideologicznej i politycznej”.

„Rzeczywistość historyczna — zdaniem mówcy — zadaje kłam wszelkim próbom wypaczenia społecznej roli klasy robotniczej”.

Tak więc głównym celem konferencji jest uzasadnienie podważanej powszechnie podstawowej idei marksizmu i komunizmu o rzekomo „przodującej roli klasy robotniczej”, a zarazem uwytknienie „przodującej i kierowniczej roli” partii komunistycznych.

Zakwestionowanie podstaw marksizmu jest widać poważne, jeśli zagadnieniu temu poświęca się nie jedną „międzynarodową konferencję teoretyczną” a nawet uchwały zjazdów partyjnych.

#### Ankieta z 1960 roku

Na początku 1960 roku zwróciło się czasopismo *Problemy Pokoju i Socjalizmu* do kilku marksistowskich instytutów badawczych i kilku czasopism „teoretycznych” (w rodzaju *Marxism Today*, *Economie et Politique* i in.) z następującymi pytaniami:

1. Jakie warstwy społeczne zasilają obecnie szeregi klasy robotniczej?
2. Jaki wpływ wywiera rozwój techniki na strukturę klasy robotniczej?
3. Jakie zmiany zaszły w składzie i w położeniu arystokracji robotniczej?

Najważniejsze było pytanie drugie, bowiem w ciągu ostatnich dziesięcioleci zaszły „niepokojące zjawiska”, co poświadczają odpowiedzi na wspomnianą ankietę:

„Tak więc — czytamy we wstępie do zbioru tych materiałów dyskusyjnych — w rozwiniętych krajach kapitalistycznych następuje szybki proces przepływu pracowników z przemysłu i rolnictwa do handlu, finansów i usług”.

„Nie mniej skomplikowane i sprzeczne procesy zachodzą wewnątrz sfery produkcji materialnej. Zmniejsza się tam udział, a niekiedy i liczebność robotników fizycznych, szybko natomiast rośnie warstwa pracowników inżynierjno-technicznych oraz urzędników”.

Te grupy pracowników — zdaniem Autorów —

„obecnie bardzo poważnie wypierają robotników fizycznych z wielu podstawowych gałęzi gospodarki kapitalistycznej” („Przemiany w strukturze klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych”, Warszawa 1963, str. 20).

Zagadnienie jest poważne. Okazało się bowiem, że fizyczna praca wykonawcza, a więc klasa robotnicza, jest przez rozwój naukowo-techniczny z produkcji wypierana i degradowana. Jak więc utrzymać przy życiu założenie marksistowskiej nauki o wzroście klasy robotniczej, o powszechnej proletaryzacji i „przodującej roli proletariatu” we współczesnym społeczeństwie?

Ujawniło się przy tym inne „niepokojące” zjawisko:

„nie bacząc na wypieranie drobnej produkcji liczbą drobnej burżuazji miejskiej nie zmniejsza się, lecz odwrotnie — nawet rośnie” (tamże, str. 16).

Tak więc i w tym wypadku podstawowe założenie nauki marksistowskiej okazało się nieprawdziwe, nie zgodne z rzeczywistym rozwojem przemian społecznych.

Zjawisko to — czytamy w słowie wstępnym do wspomnianego zbioru wypowiedzi — „było nieoczekiwane dla niektórych marksistowskich teoretyków, którzy w sposób uproszczony wyobrażali sobie proletaryzację ludności jedynie jako stały wzrost liczby robotników przemysłowych” (str. 20). „Tymczasem niektórzy marksistowscy ekonomiści i socjologowie, zajmujący się tymi problemami, nie zawsze zwracali uwagę na te nowe zjawiska, nie potrafili właściwie ocenić ich teoretycznego i politycznego znaczenia” (str. 23).

W łonie marksizmu narastał chaos, ujawniły się „rewizjonistyczne” tendencje. W takiej sytuacji „Problemy pokoju i socjalizmu” postanowiły z inspiracji odpowiednich instancji Moskwy wszcząć wspomnianą dyskusję i „ustawić” teoretycznie i ideologicznie naukę marksistowską.

#### Czy proletaryzacja społeczeństwa?

Zagadnienie jest bardziej złożone, niż usiłują przedstawić współuczestnicy wspomnianej dyskusji.

Ilość robotników zatrudnionych w przemyśle absolutnie rośnie, ale w stosunku do ogółu zatrudnionych jej odsetek szybko maleje. Natomiast odsetek pracowników intelektualnych i umysłowych szybko wzrasta. Oblicza się, że w USA w ciągu ostatnich czterech dziesięcioleci odsetek zatrudnionych robotników przemysłowych spadł z ponad 50 % ogółu zatrudnionych do poniżej 30 %; natomiast odsetek „białych koźnierzyków” wzrósł z ok. 30-35 % do ponad 55 %.

Te tendencje rozwojowe utrzymują się nadal, o czym świadczą dane statystyczne za lata sześćdziesiąte.

Wygląda to różnie w różnych dziedzinach przemysłu. W prze-

myśle tradycyjnym odsetek zatrudnionych robotników jest znacznie wyższy niż w przemyśle nowoczesnym i wiodącym. W ostatnim ilości zatrudnionych pracowników naukowo-badawczych, inżynieryjno-technicznych i organizacyjno-gospodarczych jest znacznie wyższa. Tak np. w przemysłach lotniczym, elektronicznym, po części maszynowym i in. rozstrzygającą jest praca naukowo-badawcza i inżynieryjno-techniczna, gdy wykonawcza praca fizyczna jest coraz bardziej drugoplanową, „wykonawczą”.

W przedsiębiorstwie przemysłowym odsetek tzw. „robotników niekwalifikowanych” gwałtownie spada i waha się obecnie średnio w granicach 3-6 % ogółu zatrudnionych. Są to przeważnie pracownicy porządkowi, transportu wewnętrznego itd.

Odsetek robotników kwalifikowanych i wysoko kwalifikowanych jest w przemyśle dość różny, a ogłaszane cyfry są w dużej mierze dyskusyjne. Bowiem trudno na jednej płaszczyźnie postawić np. kwalifikowaną prądkę i kwalifikowanego monterę samolotów, komputerów czy choćby telewizorów. Na ogół badacze tych zagadnień skłaniają się do stwierdzenia, że w całym przemyśle ilość robotników kwalifikowanych i zwłaszcza wysoko kwalifikowanych rośnie, ale ich odsetek w stosunku do ogółu zatrudnionych pozostaje w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci niezmienny, przy czym stanowią oni znaczną mniejszość zatrudnionych. W zależności od kraju i gałęzi produkcji ich odsetek waha się od 15 do 25 % zatrudnionych robotników.

Znaczną większość zatrudnionych w przemyśle stanowią tzw. „robotnicy przyuczeni”, „dokwalifikowani”, którzy w ciągu jednego lub kilku tygodni zdobywają swe częściowe kwalifikacje. Odsetek tych robotników stanowi znaczną większość zatrudnionych.

W przemyśle ujawnia się nadto zjawisko bardzo istotne. Jeśli odsetek robotników kwalifikowanych przeciętnie nie ulega większym zmianom (z częściowymi wyjątkami w przemyśle maszynowym), to odsetek robotników pomocniczych, a więc nisko kwalifikowanych, szybko rośnie.

W różnych krajach są dość różne metody i zwyczaje zakwalifikowania robotników, zadziwia jednak jedność wniosków, do jakich dochodzą zarówno statystyki jak i badacze tych zjawisk.

W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci występuje jeszcze jedno charakterystyczne zjawisko. Stwierdzono mianowicie, że przeciętnie robotnik w ciągu swego życia produkcyjnego zmienia swe kwalifikacje od 3 do 6 razy, zmuszony do tego przez rozwój techniki i organizacji produkcji. Niewielki odsetek robotników w toku tych zmian podnosi swe kwalifikacje bądź obejmuje prace wymagające wyższych kwalifikacji; jednakże dla olbrzymiej większości tych robotników zmiana pracy wiąże się z dekwalfikacją — o ile robotnik nadal pozostanie pracownikiem przemysłu, bo w końcu coraz wyższy odsetek dekwalfikowanych odchodzi od przemysłu do usług.

Jesteśmy więc świadkami daleko idących przemian w składzie zawodowym i położeniu socjalnym bezpośrednich producentów:

a) odsetek robotników „niekwalifikowanych” szybko spada;

b) odsetek robotników kwalifikowanych i wysoko kwalifikowanych nie ulega większym zmianom, choć liczba ich rośnie; c) odsetek robotników mało kwalifikowanych, dokwalifikowanych i pomocniczych bardzo szybko rośnie.

Zmiany w łonie fizycznej pracy wykonawczej są więc bardzo istotne. Jest to wynik postępu naukowo-technicznego i organizacyjnego. Dlatego zjawiska te zachodzą zarówno w wolnej gospodarce rynkowej jak i w państwowej gospodarce monopolistycznej. Omawiana „Ankieta” ominęła jednakże omawianie zmian w łonie państwowej gospodarki monopolistycznej — oczywiście ze względów pozanaukowych.

Mimo niewątpliwego wzrostu roli zwłaszcza wysoko kwalifikowanej fizycznej pracy wykonawczej, dominuje, jak widać, tendencja do względnej degradacji roli pracy wykonawczej już wśród robotników.

W przedsiębiorstwie przemysłowym dokonują się jednakże dalsze, znacznie istotniejsze zmiany. Cyfrowo wyraża się to w bardzo szybkim procentowym wzroście zatrudnionych pracowników intelektualnych (głównie naukowo-badawczych i inżynieryjno-technicznych) oraz umysłowych (głównie organizacyjno-gospodarczych i urzędniczo-administracyjnych) przy równoczesnym względnym zmniejszaniu się liczby zatrudnionych fizycznych pracowników wykonawczych.

Rumiancew, Ambarcumow i Ostrowitianow stwierdzają:

„Podczas gdy w roku 1890 jeden pracownik techniczny przypadał w USA na 290 robotników, to w roku 1930 — na 93, w roku 1948 — na 69 i w roku 1953 — na 60”.

Dodali przy tym uwagę:

„W związku z automatyzacją produkcji następuje dalszy gwałtowny wzrost personelu inżynieryjno-technicznego” (tamże, str. 25).

Zjawisko to nie ominęło, rzecz jasna, krajów o monopolistycznej gospodarce państwowej (zwanej eufemistycznie „socjalistyczną”). W czerwcu 1959 roku stwierdził N. Chruszczow, że w ZSSR na linii automatycznej stosunek pracy inżynieryjno-technicznej do robotniczej wynosi 1 : 10. Jeśli jednakże dodamy do tych cyfr pracę umysłową, to już w przedsiębiorstwie przemysłowym stosunek wzajemny tych prac wynosi chyba (brak dokładnych i wiarygodnych danych statystycznych) ok. 1 : 5.

W przodujących nowoczesnych gałęziach produkcji najszybciej rośnie odsetek pracowników intelektualnych (inżynieryjno-technicznych, badawczo-konstrukcyjnych, laboratoryjnych itd.); w bardziej tradycyjnych dziedzinach produkcji przeważnie najszybciej wzrasta odsetek zatrudnionych pracowników umysłowych. W niektórych wiodących dziedzinach produkcji, np. w przemyśle lotniczym, elektronicznym, maszynowym i in. rola pracy intelektualnej stała się w ostatnich dziesięcioleciach rozstrzy-

gającą w produkcji, gdy wykonawcza praca fizyczna spełnia rolę drugoplanową.

Należy przy tym wziąć pod uwagę, że w łonie pracy umysłowej coraz istotniejszą rolę odgrywają organizacja i zarządzanie.

Przemiany powyższe powodują zmiany w znaczeniu i prestiżu tych prac. Gdy rola i prestiż pracy intelektualnej i umysłowej niestychanie szybko rosną, rola i prestiż społeczny fizycznej pracy wykonawczej, choć jest on społecznie niezbędny, stale względnie maleje. Tendencje rozwojowe prowadzą do wypierania fizycznej pracy wykonawczej przez postęp naukowo-techniczny i organizacyjny — z daleką historyczną perspektywą jej likwidacji, a zarazem z perspektywą stałego i coraz szybszego wzrostu roli pracy intelektualnej i umysłowej; choć aktualnie i w najbliższej perspektywie rola pracy fizycznej jest i będzie niezbędna i niewątpliwie jeszcze długo doniosła.

Jeśli założymy, że (ekonomiczna) wartość towarów jest formułą społecznego podziału pracy, to stwierdzić by należało, że masa wartości, stwarzana przez fizyczną pracę wykonawczą, nieustannie i szybko względnie maleje, gdy masa wartości, stwarzanej przez pracę intelektualną i umysłową nieustannie i szybko wzrasta.

#### *Jak broni się założeń marksizmu?*

Przytoczona przedmowa Rumiancewa, Ambarcumowa i Ostrowitianowa do wspomnianego zbioru materiałów dyskusyjnych posiada nieoficjalne znaczenie instruktywne dla nauki marksistowskiej, zwłaszcza dla sowieckiej ekonomii, socjologii, statystyki itd. Choć przedmowa ta była w Polsce opublikowana, jest ona mało znana, gdyż warunki cenzuralne uniemożliwiły jej ocenę, a jej wnioski były zbyt „ideologiczne”, by polska ekonomia i socjologia mogły bez zastrzeżeń je powtarzać.

Zacznę od stanowiska Autorów w sprawie warstw średnich i chłopstwa.

W USA — głoszą Autorzy „Przedmowy” —

„liczba przedsiębiorców w mieście i osób pracujących na własny rachunek zwiększyła się z 2 198 tys. (8,2 % ludności zawodowo czynnej) w roku 1900 do 5 717 tys. (8,6 %) w roku 1955; we Francji liczba właścicieli przedsiębiorstw w miastach... wzrosła z 1 764 tys. (9,5 %) w roku 1896 do 2 658 tys. (13,8 %) w roku 1954”.

Tak więc drobna burżuazja miejska nie zmniejsza się, lecz rośnie — mimo przepowiedni Marksa i twierdzeń marksizmu.

Jak fakt ten komentują Autorzy „Przedmowy”?

„Po pierwsze — pomimo sporadycznego wzrostu liczebności drobnych przedsiębiorstw, ich rola ekonomiczna stale się zmniejsza.

Po drugie — wzrost liczby drobnych przedsiębiorstw następuje w znacznym stopniu na peryferiach wielkiej produkcji kapitalistycznej... Jednocześnie jednak sfera ta jest dodatkiem do monopoli, a działające w niej przedsiębiorstwa są... w gruncie rzeczy wyzyskiwane w nie mniejszym stopniu niż robotnicy najemni.

Po trzecie — wzrost liczebny drobnych przedsiębiorstw... jest często formą wyrażania się względnego przeludnienia” („wynik bezrobocia”).

*Ludzie ci tworzą sferę*, „która znajduje się pomiędzy dolną granicą warstw pośrednich a górną granicą lumpenproletariatu”.

Z analiz powyższych wyciągają Autorzy wniosek zasadniczy:

„A zatem nawet wtedy, kiedy warstwa drobnej burżuazji wzrasta liczebnie, jej potencjalnie proletariacki charakter wzrasta się”.

Przemiany w rolnictwie także dokonują się nie zawsze zgodnie z przewidywaniami Marksa i marksizmu. Autorzy „Przedmowy” wyciągają z dokonujących się przemian dość szczególnie wniosek:

„A zatem kapitalistyczny rozwój rolnictwa prowadzi nie tylko do wzrostu liczebności klasy robotniczej, lecz do zmiany jej struktury, do spadku udziału proletariatu wiejskiego”.

Z powyższych stwierdzeń wyciągają Autorzy wniosek zasadniczy:

„Obok chłopstwa, źródłem powiększającym szeregi klasy robotniczej jest drobna burżuazja” (tamże, str. 15-17).

Tak więc deklasowane chłopstwo i drobna burżuazja miejska „powiększają szeregi klasy robotniczej”, ale:

„W okresie powojennym wyraźnie zaznaczyła się, uprzednio mało widoczna, tendencja do przesuwania się siły roboczej z produkcji materialnej do tzw. 'wtórnych' gałęzi — handlu, finansów i usług”.

W USA w latach 1920-1958 „liczba pracowników najemnych zatrudnionych w handlu hurtowym i detalicznym, w finansach, ubezpieczeniach, hipotekach, oświacie, usługach komunalnych i aparacie państwowym zwiększyła się z 10,5 mln. (39 % ogółu siły roboczej zatrudnionej poza rolnictwem) do 28 mln. (55 % ogółu pozarolniczej siły roboczej). W grupach tych jedno z pierwszych miejsc zajmują pracownicy biurowi”.

Nie żenując się nieścisłościami przytoczonych danych cyfrowych (bez podania ich źródeł) Autorzy zarazem stwierdzają, że:

„w USA udział pracowników zatrudnionych w przemyśle, budownictwie, transportie i w przedsiębiorstwach komunalnych”

wynosił rzekomo 45 %. A jeśli robotnicy (45 %) oraz urzędnicy i pracownicy handlu (55 %) stanowią w sumie 100 % społeczeństwa, gdzie są i ile stanowią pozostałe warstwy społeczeństwa?

„W Anglii i Francji obserwujemy nie tylko względny, lecz i absolutny spadek liczby pracowników najemnych w produkcyjnych gałęziach gospodarki”.

Nawet w Kanadzie „Tempo wzrostu zatrudnienia w sferze nieprodukcyjnej jest tu 2,5 raza szybsze niż w sferze produkcyjnej” (str. 19).

Są — zdaniem Autorów — trzy podstawowe przyczyny tego zjawiska:

1. nowy etap w rozwoju sił wytwórczych, wyrażający się w mechanizacji i automatyzacji produkcji;
2. wzrost pasożytnictwa w społeczeństwie burżuazyjnym oraz trudności i nietrwałość rozwoju gospodarki kapitalistycznej;
3. rozwój kapitalizmu państwowo-monopolistycznego” (str. 23).

Wyłaniają się mimowoli pytania: dlaczego powszechny wzrost stopy życiowej jest „pasożytnictwem”? dlaczego tych zjawisk nie powoduje powszechny monopol gospodarki „socjalistycznej”?

Zasadniczym zadaniem całej tej „dyskusji” było wykazanie, że proletariatu nie maleje liczebnie czy stosunkowo we współczesnym społeczeństwie, lecz rośnie. Zdeklasowane chłopstwo i drobna burżuazja miejska jest ponoć „rezerwą” sił proletariatu. Jego szeregi rosną jednakże — zdaniem Autorów — poprzez „proletaryzację” inteligencji — zwłaszcza pracy inżynieryjno-technicznej i biurowej.

#### Wzrost dystansu czy niwelacja

„Pracownicy zatrudnieni w handlu i finansach nie wytwarzają jak wiadomo — *głoszą Autorzy* — wartości dodatkowej. Ich pracę opłaca się z wartości dodatkowej wytworzonej w przemyśle, przechwyconej przez sferę nieprodukcyjną”.

Podobnie urzędnicy innych profesji „nie wytwarzają wartości dodatkowej” i jak pasożyty żyją kosztem wartości dodatkowej wytworzonej przez robotników. Tak więc ta znaczna mniejszość społeczeństwa utrzymuje znaczną większość. Co więcej — „burżuazja” jest w tym zainteresowana, bowiem:

„ten pasożytniczy proces jest zupełnie wyraźnie popierany przez kapitalizm w jego stadium monopolistycznym” (str. 29).

Przed marksizmem stoi jednakże zadanie ideologiczne zwiększenia liczebności klasy robotniczej, choć ona się zmniejsza.

„Należy stwierdzić — *głoszą Rumiancew, Ambarcumow i Ostrowitianow* — że niektórzy badacze marksistowscy nie zdołali właściwie pojąć zmian społecznych zachodzących w społeczeństwie burżuazyjnym. Nie widząc, że sprzeczności między pracą umysłową i fizyczną mają charakter dialektyczny, ograniczyli skład proletariatu do robotników fizycznych, a tym samym sztucznie go zwęzili”.

Bowiem „towarzysze ci uznali, że jeśli statystyka mówi o zmniejszaniu się liczby robotników, to zmniejsza się liczebność klasy robotniczej”. *Wydaje im się*, że „jesli pojawiają się nowe zawody urzędników, których przedstawiciele nie chcą zaliczać siebie do klasy robotniczej, to rzeczywiście rośnie nowa warstwa średnia” (str. 34-35).

Nie odpowiada to rzeczywistości, bowiem:

„Jest oczywiste, że zapomniano tu o ważnym stwierdzeniu marksistowskiej socjologii, iż niekoniecznie jednostka czy nawet grupa ludności musi należeć do tej klasy, do której sama siebie zalicza”. „Zapomniano również o odkrytym przez Marksa prawie proletaryzacji ludności krajów burżuazyjnych” (str. 35).

Tak więc urzędnicy, pracownicy handlu i finansów, choć nie przynajmniej do klasy robotniczej, są jej częścią składową. Jeśli drobna burżuazja miejska jest jedynie „rezerwą sił” proletariatu, urzędnicy, pracownicy handlu i finansów są bezpośrednio częścią składową proletariatu. Chodzi więc w dyskusji o „problem granic współczesnego proletariatu”, o problem, „czy należą do niego tylko pracownicy fizyczni” oraz „kwestia stosunku do niego wielomilionowej rzeszy urzędników” (str. 35). A przecież Lenin już wyjaśnił, że:

„główną cechą klasy jest stosunek do środków produkcji, innymi słowy stosunki własnościowe” (tamże).

Marks stworzył pojęcie „łącznego robotnika”, do którego zaliczał „połączony personel robotniczy”, którego członkowie „stoja bliżej lub dalej od bezpośredniego oddziaływania na przedmiot pracy” (str. 36). Do tego „połączonego personelu” należą także urzędnicy i zwłaszcza pracownicy inżynieryjno-techniczni.

Nadto:

„pozycję klasową proletariusza cechuje przede wszystkim to, że nie jest on bezpośrednio powiązany ze środkami produkcji, lecz jest od nich oddzielony”. *Wobec tego że* „pracownicy biurowi i handlowi oraz inżynieryjno-techniczni z reguły, podobnie jak robotnicy, nie posiadają własnych środków produkcji, przeto zgodnie z tą główną cechą zaliczyć ich należy do klasy robotniczej” (str. 37).

Nadto jeśli chodzi o inne cechy klasowe:

„większość urzędników nie różni się niczym od robotników fizycznych — są oni wyszukiwani podobnie jak robotnicy, pełnią rolę wykonawców w procesie kapitalistycznej reprodukcji i wreszcie ich płaca robocza stale spada, co niekiedy stawia ich w takiej samej sytuacji materialnej jak robotników, jeśli nawet nie gorszej” (tamże).

Ale jest jeden szkopuł, bowiem:

„inżynierowie są organizatorami produkcji, a przy tym bardzo często pełnią również funkcje administracyjne”.

Nie zmienia to jednakże istoty zagadnienia, bowiem:

„Społeczna pozycja inżyniera w przedsiębiorstwie jest taka sama jak pozycja robotnika — jest on tylko wykonawcą zleceń kapitalisty” (str. 38).

Można więc powiedzieć, że:

„większość pracowników umysłowych przechodzi do szeregów klasy robotniczej...” (str. 40).

Jeśli niektórzy twierdzą, że:

„następuje względne zmniejszanie się liczby robotników fizycznych i wzrost liczby pracowników umysłowych” to „wniosek ten jest sprzeczny z tezą Marksa o akumulacji kapitału i wzroście proletariatu. Istota błędu polega na tym, że utożsamia się różnice zawodowe z różnicami klasowymi” (str. 42).

Tak więc na klasę robotniczą składają się różne jej oddziały:

„proletariat fabryczny (przemysłowy) — jej trzon, proletariat rolny i proletariat biurowo-handlowy” (str. 43).

Dlaczego nastąpiło to zbliżenie, a właściwie identyfikacja pracy umysłowej z pracą fizyczną? Autorzy wyjaśniają, że w pracy szerokiego rzesz urzędników biurowych i handlowych:

„przeważa już nie praca umysłowa, lecz mechaniczna. Ich kwalifikacje i doświadczenie tracą poprzednie znaczenie i są łatwo zastępowane przez maszyny” (str. 48).

Ale jest przecież faktem, że kwalifikacje urzędników bardzo poważnie wzrosły i nadal szybko rosną, co powszechnie stwierdzają socjologowie? Zagadnienie to Autorzy omijają, natomiast stwierdzają, że:

„następuje pewna niwelacja, zbliżenie między pracownikami inżyniersko-technicznymi, urzędnikami biurowymi i handlowymi a robotnikami przemysłowymi” (str. 49).

Jest to jednakże dość szczególna „niwelacja”, bowiem nie wznosi ona pracy fizycznej do poziomu pracy umysłowej, lecz degraduje pracę umysłową do poziomu pracy fizycznej. W krajach wolnej gospodarki rynkowej rozwój społeczny odrzuca te teorie „niwelacji”, ale w państwowej gospodarce monopolistycznej, gdzie marksizm jest monopolistyczną ideologią i „wytyczną” polityki, „niwelacja” ta jest przez centralny ośrodek dyspozycyjny narzucana przemocą w postaci nie tylko ideologicznej niwelacji i degradacji pracy umysłowej w imię „kierowniczej roli proletariatu”, ale też przez obniżanie płac pracowników umysłowych po to, by część stwarzanych przez nich wartości przekazywać niżej płatnym robotnikom; zmierza się w ten sposób do zachowania „spokoju społecznego”.

Teoria o rzekomej „niwelacji” nie likwiduje, zdaniem Autorów, przeciwieństw społecznych w świecie kapitalistycznym; wprost przeciwnie — antagonizuje społeczeństwa:

„Procesy te nie likwidują kapitalistycznego przeciwieństwa między pracą umysłową a pracą fizyczną. Kapitalizm dąży do pogłębienia podziału między pracą umysłową a fizyczną” (str. 49).

Gdy marksizm nie jest w stanie wyjaśnić zagadnień, zastępuje obiektywne prawa rozwojowe wulgarnym woluntaryzmem. Wo-

bec tego że dystans między kwalifikacjami pracy umysłowej (zwłaszcza w jej rozstrzygających ogniwach) a fizyczną pracą wykonawczą nadal rośnie, winien jest temu, zdaniem Autorów, „kapitalizm”. A przecież w krajach o monopolistycznej gospodarce państwowej dystans ten także rośnie; również tam następuje nieuchronnie proces względnej degradacji fizycznej pracy wykonawczej. Jest to obiektywne prawo rozwojowe, nieuchronny skutek rozwoju naukowo-technicznego i organizacyjnego, a nie owoc złej woli „kapitalizmu”.

Wybaczą mi Szanowni Czytelnicy, że zmuszony byłam tak obszernie cytować wywody wspomnianych Autorów, czym niewątpliwie obciążylem tok narracji. Było to jednakże niezbędne, aby unaocznic całą „dialektykę” tego rozumowania, a zarazem wykazać całą niezdolność marksizmu do wyjaśnienia zjawisk współczesnego rozwoju społecznego.

#### Niwelacja a dyktatura proletariatu

„Proces niwelacji charakteru pracy różnych oddziałów klasy robotniczej — twierdzą Autorzy w podsumowaniu „dyskusji” — prowadzi obiektywnie do ideologicznego zbliżenia między ludźmi pracy niefizycznej a rdzeniem proletariatu, do powstania w nich świadomości klasowej” (str. 52).

Dystans między pracą intelektualną a fizyczną pracą wykonawczą nie niweluje się, lecz bardzo szybko rośnie. Dystans ten, wbrew marksizmowi, nie musi prowadzić i nie prowadzi do pogłębienia „przeciwieństw” i „sprzeczności” między tymi pracami. Wprost przeciwnie — w pracy intelektualnej narastają elementy poczucia społecznej służebności, o czym świadczy sam charakter tej pracy w społeczeństwach współczesnych. Inna rzecz z fizyczną pracą wykonawczą. W miarę wzrastania stopy życiowej i płac narastają tam tendencje do szybszego podnoszenia swych płac i wymuszania tego wzrostu (strajkami, akcjami itd.) nie tylko kosztem wytworzonej przez siebie „wartości dodatkowej”, jak tłumaczył Marks, ale także kosztem dochodów innych warstw społecznych, m.in. kosztem płac pracowników umysłowych. Jest to główną przyczyną nie „niwelacji charakteru pracy”, lecz niwelacji płac, charakterystycznego dla ostatnich dziesięcioleci „spłaszczania się” płac, tj. szybszego wzrostu płac robotniczych niż płac pracowników umysłowych i zmniejszania się dystansu między nimi.

Powyżej była mowa o wzroście dystansu między pracą intelektualną a fizyczną pracą wykonawczą. Tym samym rośnie dystans między wartością pracy intelektualnej a wartością pracy fizycznej. Nie znajduje to odbicia we wzroście dystansu płac, wprost przeciwnie — poziomy tych płac spłaszczają się. Przyczyny tego zjawiska są pozaekonomiczne — są rezultatem zorganizowanych akcji robotniczych, dzięki którym uzyskują oni znaczniejsze podwyżki płac, często (jak wyjaśnia teoria ekonomiczna)

powyżej wartości swej pracy, tzn. kosztem innych warstw społecznych i innych grup pracowniczych.

Tylko tak należy wyjaśnić „przeciwieństwa” między pracą umysłową i fizyczną, o której mówi marksizm. Przyczyną tego zjawiska, jak głosi współczesna ekonomia marksistowska (w Polsce Nasiłowski, Górski, Minc, Morecka i in.) szukać więc należy nie w prawidłowości rozwoju, lecz w trade-unionizmie (tak jak słowo to rozumiał Lenin).

Głoszona przez Autorów „niwelacja” ma też swą inną stronę.

„Wszak w krajach kapitalistycznych urzędnicy w swej masie nie uświadomili sobie jeszcze swej przynależności do klasy robotniczej, a niekiedy nawet występują przeciwko niej” (str. 54-55). *Bowiem — jak wyjaśniają Autorzy — nie wszystkie „oddziały proletariatu odgrywają jednakową rolę w walce klasowej”* (str. 53).

A ta „świadomość klasowa” jest niezbędna, bowiem marksizmowi chodzi nie tylko o powiększanie szeregów proletariatu.

Jeśli „klasa robotnicza nie tylko nie maleje, ale na odwrót — rośnie i krzepnie”, to:

„Oznacza to również, że realność idei rewolucji proletariackiej, socjalistycznej znajduje całkowite potwierdzenie także w warunkach współczesnych... Znaczący to wreszcie, że teza o dyktaturze proletariatu jako koniecznym etapie po dokonaniu rewolucji socjalistycznej — nie tylko nie jest przestarzała, jak twierdzą reformiści, lecz naodwrót, zyskuje jeszcze głębszą treść” (str. 53).

Jak przy pomocy „klasowo nieuświadomionych” urzędników i pracowników handlu przeprowadzić rewolucję i wprowadzić „dyktaturę proletariatu”, która ich pozbawi „przywilejów” (argument Autorów) marksistowska nauka nie wyjaśnia.

Głosi natomiast rzecz odmienną i sprzeczną z poprzednimi wywodami, a mianowicie:

„Z drugiej strony proletariatus jako całość nie może sprawować swojej dyktatury. Potrzebne są do tego organizacje, a przede wszystkim niezbędne jest kierownictwo partii proletariatus” (str. 54).

Tak więc cała ta teoria niwelacji i proletaryzacji potrzebna była Autorom i współczesnemu marksizmowi, aby uzasadnić historyczną rację przechwycenia władzy i utrzymania tej władzy przez „partię”, tzn. przez jej elitę.

Pierwsza więc „dyskusja”, zorganizowana przez pismo „Problemy pokoju i socjalizmu” miała na celu nie obiektywne, naukowe wyjaśnienie zachodzących zjawisk społecznych, które przecież przeczą naukom Marksa i jego następców, lecz miała „uzasadnić” z góry założone tezy w obronie mało racjonalnych założeń marksizmu.

Aleksander LITWIN

## Z notatnika

Czy jest atak najlepszą obroną — jak głosiła blitzowa teoria wojenna zanim zrujnowała Europę i wydała ją w obce, mniej nerwowe ręce — czy też, paradoksalnie, i jak chcą niektórzy mistrzowie Zenu, obrona najlepszą formą ataku, stworzenie sytuacji naturalnej obrony najwyższym kunsztem wojennym i politycznym? W strzelcu jest cel — mówi wschodni *koan* — wypuszczona strzała oddala się od celu.

Współczesne studia etologiczne nad instynktem terytorialnym i psychologią agresji wcale nie wydają się dostarczać filozoficznej amunicji dla współczesnych zwolenników ataku-obrony. Przeciwnie, wykazują dość jasno że, z wyjątkami raczej potwierdzającymi regułę, w walkach zwierząt terytorialnych ostateczne zwycięstwo przypada zawsze naturalnemu obrońcy. Bo jakże inaczej mogłoby być, jak życie iść dalej, gdyby ptak z zasady nie mógł obronić gniazda przed drugim ptakiem, lis nory przed lisem? Słabszy fizycznie obrońca potrafi stać się niezwykłym w walce z silniejszym agresorem właśnie dlatego że jest obrońcą. Potężny agresor wyczerpuje się w końcu w walce z upartym słabeuszem-obrońcą właśnie i jedynie dlatego że jest agresorem. To może miał na myśli chiński Clausewitz Sun-Tzu pisząc o obronie w V wieku p.n.e.: „Niezwykłość jest w nas, słabość wroga w nim samym”. Jedynie tam gdzie wywiązuje się walka o rzecz niczyją, peryferyjną biologicznej i psychicznej autonomii kombatanów, wygrywa prędzy, chytrzejszy, mocniejszy.

Obrona, naturalna obrona, kwestionuje prawo moralne, odbiera przeciwnikowi pewność i wciąga go na psychologiczne terytorium gdzie każdy zewnętrzny zysk staje się wewnętrzną stratą, rozproszaniem, przechodzeniem w obronę (już zdobytych obszarów) bez uzyskania jedności wewnętrznej naturalnego obrońcy.

Obrona rzadko osłabia na długo, atak prędko stwarza sytuację kiedy już nie jest całkowicie atakiem i nie jest jeszcze prawdziwą obroną, krytyczną dla agresora, sytuację w której jego siły przepływają jakby prawem ciał połączonych do atakowanego. Wypuszczone strzała oddala się od celu, staje się bronią przeciwnika.

W stosunkach ludzkich, a tym bardziej międzynarodowych, sytuacja taka potrafi trwać przez stulecia i przeważnie kończy się ostatecznym zwycięstwem naturalnego obrońcy. Wystarczy przewertować atlasy historyczne, żeby się o tym fakcie przekonać. Większość narodów siedzi niemal dokładnie tam gdzie już tysiąclecia temu założyła pierwsze swoje stałe gniazda, mimo prób zbrojnej ekspansji, podbojów przez inne plemiona i wędrowek ludów. Prawie śladu nie zostało na mapach po wielkim *Völkerwanderung*'u Germanów, śladu po Tigranocercie, śladu po Arbeli. Zostało na nich tylko to co obroniono w teutoburskim lesie, pod Salaminą, pod Malventum przed falangami Pirrusa. Widocznie tylko koczownika można wyrugować na stałe z jakiegoś geograficznego obszaru, zbić z racji dziejowej. Wszyscy inni jakoś potrafią zachować swoje pierwotne gniazda, chyba że zachorują na megalomanię i rozproszą się sami w imperialnej agresji. Poza tym w dziejach, jak w literaturze, pytajnik zawsze jakoś na długą metę wygrywa z wykrzyknikiem.

Dlatego może zachodni Słowianie siedzą dalej nad Odrą, gdzie siedzieli już przynajmniej na 2 millenia przed naszą erą. I cóż, że oblażyli ich potem jakieś *gothones*, *vandales*, huńska spadała na nich szarańcza, a w końcu wyparli ich nawet stamtąd sascy i szwabscy przybysze? Nie pomogły im ani wspaniałe fortece i miasta, ani uniwersytety i kościoły, ani żadne inne wykrzykniki kultury. Prawa moralnego nie mieli i mieć nie mogli „póki my żyjemy”. Mieszkali tam zawsze pod znakiem zapytania, naszego zapytania o prawo. Prawdopodobnie tak samo Łużycanie nie mieli prawa nad Łabą. Czy przypuszcza choć ktoś przez minutę, że Niemcy zrezygnowaliby z tych ziem, Rosjanie i zachodni alianci ośmielili się wydzierać Niemcom te ziemie dla nas gdyby, pod wszystkimi kulturowymi, politycznymi i ekonomicznymi argumentami, nie leżało pogrzebane przez stulecia — i zdawało się już na wieki wieków amen — nasze moralne, gdyż naturalne prawo?

Podobnie gdzie indziej. Irańczycy dalej siedzą tam gdzie siedzieli gdy nad Nilem rosły piramidy i skąd wypadali później na świat za Dariuszem i Chozroesem. Nie potrafiły ich też wymieść stamtąd macedońskie, arabskie i mongolskie podboje. W Południowej i Środkowej Ameryce przyćmiony na kilka stuleci pierwotny element indiański znowu zaczyna przebijając przez białe i czarne skóry zamorskich intruzów i decydować o przyszłym

charakterze tego kontynentu. W podobnym kontekście należy może rozważać panarabskie hasła Nasserów, Kadafich i innych marzycieli spod znaku Bractwa Muzułmanów: raczej jako odszczekiwanie się zastrachanej ariergardy dziejowej, niż drogowskazy przyszłości. Starożytne profile guptyjskie, nubijskie, aramejskie — te same, które możemy podziwiać na freskach XX dynastii i figurynekach z Ugarit — coraz ostrzej przeświecają przez religio-polityczną polewkę pustynnych najeźdźców i coraz wyraźniej stanowią o prawdziwych rysach tych krajów. Koran Koranem, nafta naftą, ale Eufrat płynie na wschód, Nil na północ, Oront na zachód.

Arcyciekawe byłoby zobaczyć mapę zauralskiej Rosji Anno mniej więcej 2100 — jeśli cokolwiek wtedy jeszcze będzie na mapach. Historia mówi, że będzie miała rysy dużo bardziej turkomongolskie niż samego Lenina, obojętnie ile milionów Kosyginów dziś się tam wysyła. Statystyki sowieckie (Bajeczne statystyki sowieckie: „Ludności etnicznej pochodzenia turkmeńskiego jest 11,38 %, plus 7 osób innych, przedstawiających 00,00 % ludności”!), mówią o 23 milionach potomków Scytów i Złotej Ordy. Za dużo — nawet choć byśmy w te cyfry naiwnie uwierzyli — na powtórzenie tutaj dziewiętnastowiecznej Nocy i Mgły amerykańskiej z ludnością indiańską. Za dużo ludzi, za późno w dziejach, szczególnie teraz kiedy Chińczycy obsiedli Dach Świata i kosooko a poządliwie zerkają na wszystkie strony. Trzeba było zburzyć Samarkandę, zrównać z ziemią Bucharę, nie rozkołysać Padziryku, spalić każdy meczecik i każdy świstek zapisanej pamięci tych ludów. Ale wtedy nigdy by ich nie podbili, a bez tego nigdy nie podbijają... i tak w kółko Macieju.

Jan DAROWSKI



W ROKU 1974 UKAZAŁ SIĘ W

## ZESZYTACH HISTORYCZNYCH

następujące prace:

Wiktora T. Drymmera: WSPOMNIENIA.

Wacława Jędrzejewicza: SPRAWA „WIECZORU” (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska. Nieznane listy Piłsudskiego i St. Wojciechowskiego).

Jana M. Ciechanowskiego: ROZMOWY Z PŁK. BOKSZCZANINEM.

Tadeusza Żenczykowskiego: ROZMOWY: DELEGATURA RZĄDU — PPR W 1943 ROKU.

ZESZYTY HISTORYCZNE zaczęły ukazywać się w styczniu 1962 roku — do roku 1972 dwa razy do roku, a poczynając od 1973 roku zostały przekształcone na kwartalnik regularnie ukazujący się w lutym, maju, sierpniu i listopadzie każdego roku. Do tej chwili ukazało się 26 Zeszytów o łącznej ilości 6.240 stron.

Dalszy rozwój ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH uzależniony jest od poparcia Czytelników i wzrostu prenumerat.

Cena pojedynczego Zeszytu — F. 20,00.

Prenumerata roczna — F. 80,00.

Prenumerata ulgowa  
dla prenumeratorów KULTURY — F. 70,00.

*Dopłata lotnicza:*

Ameryka Półn. i Poł. i Afryka F. 6,30 do każdego zeszytu; rocznie F. 25,20.

Azja i Australia F. 8,40 do każdego zeszytu; rocznie F. 33,60.

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

*Dziewięć razy zero równa się zero*

„On mi nie podał nawet filiżanki kawy”. Golda Meir wylądowała właśnie na lotnisku w Tel Avivie. Wracała z beznadziejnej misji we Wiedniu, gdzie rozpaczliwie starała się nakłonić kanclerza Kreisky'ego do cofnięcia decyzji o wywieszeniu na bramie zamku w Schoenau tablicy „*Juden verboten*”.

Ale po co Goldzie zamek w Austrii? Mało ma innych zmar-twień?

Schoenau wybudował z końcem XVIII wieku niejaki von Braun, nie ten od rakiet, ale od jedwabiu. Czego tam nie było? Nie było gustu, były natomiast wodospady i gondole, beczka z Diogenesem naturalnej wielkości, „Świątynia nocy” ze złotym napisem: „W górę i w dół, oto los człowieka”. Głupie to, ale w kwestii zamku okazało się prawdziwe. Kupił go od von Braunów, ks. Montfort, potem była ruina, potem odnowił go arcyksiążę Otto Habsburg, który urządził tam słynne polowania w dzień, i słynne polowania w nocy, potem była znowu ruina, po czym zamek objęła, już w naszych latach, miłośniczka koni, hrabina Happack. Od niej wynajął rudereę pewien holenderski przedsiębiorca, a w kilka miesięcy później, jesteśmy już w roku 1964, kasztelanję objęła Agencja Żydowska. Jest to organizacja, która sprowadza Żydów do Izraela skąd się da, jak się da, ile się da i czym się da.

Zamek w Schoenau o 30 km od Wiednia, otoczony ogromnym parkiem, gwarantuje ciszę niezbędną, aby ocucić Żydów dawniej polskich, rumuńskich czy czechosłowackich, a obecnie sowieckich, natychmiast po przekroczeniu przez nich granicy obozu socjalistycznego. Przede wszystkim jednak Schoenau był łatwy do obrony przez siły lądowe neutralnej Austrii przed atakiem komandosów zjednoczonych sił Lewantu. Otoczono więc zamek drutami, siatką, psami, samochodami, radiolokacją. Powstał na-

wet specjalny oddział wyborowych żandarmów zwany „Skorpion”. Dlaczego „Skorpion” nie dowiedziałem się, podobnie jak ciągle nie rozumiem, dlaczego wizyta Goldy Meir w Wiedniu nosiła w policji austriackiej kryptonim „Sandwicz z szynką”...

Przez 9 lat życie w Schoenau toczyło się spokojnie, jak wody Dunaju, a Żydzi ze wschodu bez żadnych kompleksów chodzili po salonach, gdzie straszły duchy dawnej świetności von Braunów, Habsburgów i Happacków. I tak było aż do 29 września 1973 roku kiedy to na dumę PKP — „Chopin-Express” — przekraczający właśnie granicę czechosłowacko-austriacką w Marschegg, napadło dwóch uzbrojonych Arabów. W jaki sposób przeszli oni z ogromnym ładunkiem kulomiotów, amunicji, i ulotek przez znaną z łagodności obyczajów i gapiostwa straż graniczną p. Husaka, pozostanie tajemnicą Paktu Warszawskiego, ważne że ostrym, czołowym natarciem wzięli oni do niewoli troje (dwójce starszków) zupełnie oszołomionych emigrantów z ZSSR oraz jednego austriackiego celnika.

24 godziny później było już po strachu. Po odegraniu lipnego scenariusza, pełnego grozy i tupania nogą, kanclerz Austrii poddał się, a neutralne państwo austriackie zgodziło się pod naciskiem dwóch pistoletów typu Kaleszników zamknąć punkt tranzytowy w Schoenau i ograniczyć inne ułatwienia dla Żydów emigrujących z ZSSR.

„Ja nie jestem Goldą Meir”

Brukselczyk nie jest Goldą Meir, więc mnie kanclerz Austrii ofiarował, co prawda nie filiżankę kawy, ale sok pomarańczowy, podejrzewam nawet, że marki „Jaffa”. Wywiad był bardzo długi, pewna ekscelencja, która asystowała przy rozmowie, stwierdziła że był „nieco agresywny, ale kanclerz to lubi”, kto ma życzenie — całość jest do przeczytania w rodzimym *Soir*. Kilka drobiazgów muszę jednak przypomnieć — od kapitulacji Austrii zaczęła się bowiem kapitulacja Europy. Bismarck powiedział: „Kto trzyma Austro-Węgry ten trzyma Europę”. Zgadza się. Po wzięciu Austrii, Arabowie już trzymają Europę.

W rozmowie ze mną kanclerz twierdził jednak, że nie można i nie należy mówić o kapitulacji, bo terroryści żądali czego innego, a Schoenau to był jego, kanclerza, osobisty pomysł i inicjatywa. Decyzja zamknięcia pałacu, ciągnął austriacki kanclerz, jest stara, albowiem od dawna znane są „Skorpionom” palestyńskie plany wysadzenia Schoenau w powietrze, groźba nowego super-Monachium, i w ogóle katastrofa Austrii. Na pytanie dlaczego więc akurat pod lufami dwóch pistoletów kanclerz decyzyjnie ogłosił, a nie na przykład, w lecie czy na Boże Narodzenie, odpowiedź mniej więcej brzmiała: „Nie garb się” i drugiej szklanki Jaffy już nie dostałem. Na pytania dotyczące rozmowy z Goldą, też premierem, też socjalistą i też Żydówką, p. Kreisky twardo odpowiedział, że „wolałby ustąpić niż zmienić decyzję”,

i że „nie należy liczyć na moje (to znaczy jego) żydowskie serce, bo go nie posiadam”. To ostatnie potwierdził brat kanclerza Austrii, który od lat mieszka... w Izraelu. Natomiast ankieta przeprowadzona przez czasopismo wiedeńskie *Profil* i Instytut badań społeczno-ekonomicznych, wykazała, że 70 % Austriaków nie lubi Żydów: 24 % ma ostre tendencje antysemickie, 45 % uważa, że Żydzi działają wyłącznie z chęci zysku, a 21 % uważa, że byłoby lepiej gdyby w Austrii w ogóle Żydów nie było. Z kanclerzem wyłącznie. Ale Schoenau tymczasem *exit*...

W imperialnym westibulu paliła się świeca w miejscu gdzie zamordowano Dolfussa. W gabinecie, gdzie mnie przyjął kanclerz, paliło się światło elektryczne. Ale rozmowa śmierdziała wyłącznie naftą.

Druk wiedeńskich odgłosów musiałem przerwać, albowiem w dzień po wywiadzie kanclerskim wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie. Zmieniłem więc *emploi* i zająłem się konferencją Organizacji Państw Produkcujących naftę, której siedziba mieści się właśnie w Wiedniu. Zatytułowałem serię wieszczko „Czarne złoto czy polityczna torpeda” zaopatrując ją jednak naiwnie w znak zapytania i zadając jeszcze bardziej naiwnie pytanie czy i w jakim stopniu Europa jest przygotowana na tę drugą ewentualność. Wyraziłem już od razu obawę czy aby Europa, zrodzona z węgla (Wspólnota węgla i stali) nie zemrze przez naftę. Nie przewidziałem tylko, że umrze w hańbie.

„To nie jest dla nas towarzystwo...”

Wojna rozpoczęła się o godz. 14-tej 6 października, w Jom Kipur. Agonia Europy także.

Od razu wieczorem zebrali się w Nowym Jorku ambasadorowie dziewiątki przy ONZ. Wypili dla kurażu i wykrzyknęli, że ponieważ EWG prowadzi interesy z obu walczącymi stronami, to EWG nie ma żadnego interesu w wojnie i zażądali, żeby natychmiast przerwać działania, bo jak nie, to... To co? Gównno, przepraszam za wyrażenie.

Następnego dnia Kissinger telefonuje do lorda Cromera, ambasadora Jej Królewskiej Mości w USA. „Sir, pyta czy rząd brytyjski byłby skłonny podtrzymać Izrael, gdyby ten znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie?”

„Sir, odpowiada lord, rząd mój wolałby zachować neutralność”.

Cztery dni później dziewięć rządów zbiera się w Kopenhadze, aby ustalić wspólne stanowisko w sprawie wojny. Państwo sądzą zapewne, że konferencja w takiej sprawie odbyła się z udziałem panów Pompidou, Heatha, Brandta, itp. A g..., przepraszam, ciągle te asocjacje. Nie tylko nie przyjechali sami, ale nawet ministrów nie przysłali. I słusznie, to ze wstydu, wtedy jeszcze mieli. Wydelegowani urzędnicy wysmażyli bowiem dyplomatyczny potworka, bez smaku, koloru i sensu. Delegat holenderski,

mało dowcipny zapewne, zauważył nieśmiało, że może by jednak coś mocniejszego, kto zaczął itd. Został skarcony przez starszych, a Arabowie mu tego już nie zapomną.

P. Jobert, najmniejszy minister spraw zagranicznych w historii Francji, był 11 października w Waszyngtonie i podczas kiedy Kissinger starał mu się wytłumaczyć, że sowiecki most powietrzny zagraża istnieniu Izraela, człowiek p. Pompidou udzielał Ameryce lekcji historii ze szczególnym uwzględnieniem okresu postgaullistowskiego i roli jego jednostki w historii.

Niepoprawny Nixon, zamiast słuchać Joberta, uruchamia jednak swój most powietrzny. Dumna Francja, niezłomny Albion i wolna Hiszpania, które przecież niczego już od dawna nie zawdzięczają Ameryce, nie pozwalają nie tylko na lądowanie samolotów amerykańskich na swych lotniskach, ale odmawiają nawet prawa przelotu nad ich terytorium, a nawet prawa korzystania z ich, amerykańskich, baz. Baza w Hiszpanii, idealnie położona, kosztowała zresztą bagatelę, 500 milionów dolarów, nie wiadomo tylko do czego ma służyć. Jak u Kreisky'ego europejskie „niet” było nieodwracalne, mimo argumentu, iż ZSSR tych trudności nie ma, albowiem uzyskał wszystkie prawa, lotu, przelotu, lądowania, startowania itd. od Polski, Węgier, Czechosłowacji, NRD i Jugosławii, nawet o to nie prosząc. No, ale trudno, każdy ma takich sojuszników jakich sobie wychował, więc Nixon musi latać przez Azory, albowiem Portugalia, żeby to wyrazić w skrócie nie sprowadza nafty z państw arabskich, a z własnych, wstyd powiedzieć, kolonii. Samoloty Galaxie jakoś sobie radzą, bo mają 12.000 km autonomii lotu, ale Phantomy muszą być dwa razy karmione w locie.

15 października zbiera się w Brukseli Rada Paktu Atlantycznego. Choć jest to twór w stanie dość daleko posuniętego rozkładu, to przedstawiciel amerykański poważnie jednak omawia rolę ZSSR w przygotowaniu wojny na Bliskim Wschodzie oraz sowiecką błyskawiczną i sprawną akcję powietrzną i morską w celu uzupełniania na bieżąco strat arabskich. Ambasador nieostrożnie dodaje, iż odnosi wrażenie, że można by zauważyć, iż bezpieczeństwo Zachodu jest niepodzielne i że pewna, ale widoczna solidarność Europy mogłaby odegrać istotną rolę w ugazaniu pożogi na Synaju i Golanie.

Echo było natychmiastowe. Słowo solidarność zajaśniało nowym blaskiem. Solidarnie bowiem Francja i Anglia odpowiedziały, że wojna toczy się na terytoriach nie objętych geografiami sojuszu atlantyckiego, że więc jeżeli USA uważają to za celowe, to mogą się angażować, ale Europa Zachodnia nie jest zobowiązana wkraczać w konflikt. W konflikt istotnie nie wkroczyła, ale wkroczyła na drogę do Monachium.

Mówiąc szczerze, Waszyngton nie jest tak bardzo zaskoczony. Zna się na polityce przecież, sam nie jest lepszy, wie, że 80 % nafty pochodzi od Arabów. Ale jest nieco zdziwiony: to oni już tak daleko zabrnęli, że wstydzą się nawet pokazać w naszym towarzystwie!

### Najdłuższy dzień

Pozbawiony europejskiej rady i wsparcia, Waszyngton musiał działać sam. 20 października Kissinger pojechał do Moskwy, nie pytając, świnia, Joberta o zdanie. Ustalił z Breżniewem tekst rezolucji o przerwaniu ognia, znowu nie zasięgając rady Paryża i Londynu. Z Moskwy jedzie do Izraela, i tylko po drodze do domu siada, bo musi, na 20 minut w Londynie. Zdyszany sir Alec nie ma nawet czasu na załatwienie przepustki i minister spraw zagranicznych musi, jak byłe poddany, wykupić bilet wstępu na lotnisko.

Jeszcze bardziej głupio wyszła Europa z „najdłuższego dnia”, jaki przeżyła od Kuby 1962.

Była to noc z 24 na 25 października. Nixon otrzymuje notę od Breżniewa, „brutalną” według sen. Jacksona, „nie pozostawiającą wiele miejsca dla wyobraźni” według samego Nixona. Jeżeli, mówi Breżniew, Izrael się nie zatrzyma, to wysadzamy desant nad Suezem. Pentagon to potwierdził: 50.000 parasutystów sowieckich jest w drodze na lotniska w południowej Rosji, gdzie czekają transportowce An-22. Na Kremlu zadzwonił czerwony telefon. „Lonia, powiedział Nixon, tu Dick. Tylko bez grandy, żaden sowiec nie wylądował w mundurze nad Suezem”. O 3-jej rano Nixon ogłasza alarm w amerykańskich bazach na całym świecie. Alarm jest kategorii „3”, ale i tak starczy. Świat się zatrząsł. Z radości, z wściekłości, przeważnie ze strachu.

Tylko rada NATO się nie trzęsła, bo nic nie wiedziała. 3-cia rano w Waszyngtonie, to znaczy 8-ma rano w Brukseli. Kiedy jednak o 9.30 zebrała się Rada, nikt poza Amerykanami, nie wiedział o alarmie, który zbliżył świat do katastrofy. Dopiero o 12.40 dotarła do Ewery pod Brukselą wiadomość o alarmie, ale wtedy wiedziały już o tym wszystkie redakcje na świecie.

Najbardziej się zdenerwował rząd NRF, bo to na jego terytorium wojska amerykańskie ruszyły na pozycje frontowe na granicy NRD, a z silosów na ziemi niemieckiej wyjrzały na światło dzienne raketowe cygara. Rząd NRF podjął więc działania odwetowe: zabrania używania portów NRF do lądowania broni z amerykańskich zapasów na statki izraelskie. Anglicy powiedzieli *shoking*, a Francuzi: „zawsze mówiliśmy, że to źle wychowani ludzie”.

Nie bardzo rozumiem czego ci Europejczycy chcą. Najpierw powiedzieli „nasza chata z kraju”. Kiedy jednak Amerykanie sami zadziałali, wtedy się sojusznicy obrazili. James Schlesinger, sekretarz obrony, ma rację. „Mamy, mówi, wojska w Europie. Kosztuje to masę forsy, ale trzymamy je tam, aby pozostawały w pogotowiu w pobliżu ewentualnego frontu. Jeżeli jednak nie możemy tymi wojskami swobodnie dysponować, to przeniesiemy je gdzie indziej, albo zabierzemy do domu”. Tego znowu Europa nie chce, bo kto wtedy miałby umierać za Paryż czy Frankfurt? Dusze mieli więc rozdarte, ale zanim do czegoś rozsądnego

doszli, to Leonid z Ryszardem się porozumieli i odwołali alarm, żołnierzy itd.

„Dobić ją, ścierwo!”

Ale nie obszło się bez ofiar na terenach nie objętych geograficznie wojną. To wtedy właśnie niestniejącą, nieobecną w konfliktach, ośmieszoną przez USA, pogardzaną przez ZSSR Europę postanowili dostrzelić Arabowie. I tak powstał trzeci front arabski. Nie w Jordanii a w EWG. Broń nie strzelała, a śmierdziała. Arabowie zagrozili Europie uduszeniem przez odcięcie dopływu ropy naftowej. Nie można wygrać wojny z Żydami, wygramy z Europejczykami. Lenin jeszcze oświadczył, powiedzieli marksiści z Riadu i Trypolis, że „odcięta od krajów południowego brzegu Morza Śródziemnego kapitalistyczna Europa będzie jak motyl ze złepionymi skrzydłami”. Nie znałem cytatu, ale pasuje. Tylko, że Europa nie sobie nie pozwoliła zlepić. Poza ustami i sumieniem.

Niejaki Faysal już dawno miał zamiar ograniczyć produkcję swej ropy naftowej. Ten właściciel Arabii Saudyjskiej ma w kasie podręcznej 6 miliardów dolarów, nie licząc kont za granicą. Dziennie zarabia nowych 24 milionów dolarów, mieszkańców ma niewielu, niewiele im też potrzeba do życia, sam, mimo licznych żon, nie może wszystkiego wydać. Kuweit, to samo, tylko jeszcze lepiej, 6 miliardów dolarów (jakby się umówili), ale tylko 800.000 wprost luksusowych obywateli. Forsy więc nie potrzebują, tym bardziej, że inflacja galopuje i miliony są coraz mniej warte. Tak więc w świętym porywie arabskiej solidarności dokonali potrójnej operacji. Po pierwsze, tak jak chcieli przed wojną, obcięli produkcję, zachowując rezerwy na lepsze czasy, i to nie pod hasłem rozumnego handlowania, a w ramach czynu zbrojnego. Po drugie — tak podnieśli cenę ropy, że nadwyżką wyrównali różnice w dochodach. Po trzecie — zneutralizowali, a nawet więcej bo zniewolili Europę Zachodnią, odbierając jej nie cnotę, bo już dawno jej nie miała, a twarz, co jest może zabiegiem biologicznie trudnym, ale jak się okazuje, możliwym.

Demokraci od ropy spisali więc trzy listy. Na pierwszej były kraje wrogie: USA, Holandia i na końcu Dania. Na drugiej — przyjaciele: Francja, Wielka Brytania i Hiszpania. Na trzeciej — takie niewyraźne typy: NRF, Belgia itd.

Operacja nie była głupia. Arabowie wiedzieli wyraźnie, że jadą bez ryzyka. Dużej krzywdy Amerykanom wyrządzić nie mogą, tylko bowiem 5-6% ropy USA sprowadzają z Bliskiego Wschodu, a udają, że biją w największe mocarstwo świata. Holandia czy Dania, to kraje słabe, nie potrafią się obronić, tym bardziej, że nikt im nawet szklanki ropy nie poda w biedzie, jak Kreisky Goldzie Meir. Francja, przyjaciel niezawodny, izraelskie miraż sprzedawał Libii, a p. Jobert, wpatrzony w naftową dal zapytuje „czy powrót na swoje to jest agresja?”.

Holandia zrazu postanowiła się bronić. Ogłosiła „niedzielę bez

samochołu”, nawet królowa poszła na piechotę nie tam gdzie zwykle, a do kościoła i na spacer. Ograniczyli spożycie, zmniejszyli ogrzewanie i czekali na pomoc towarzyszy. Ale wtedy właśnie okazało się, że jej najbliżsi przyjaciele i partnerzy boją się jej pomocy, bo Arabowie na nich nakręczeni i zagrozili, że postawią do kąta.

Nigdy nie byłem zwolennikiem polityki de Gaulle'a, ten europejski postępowy paraliż to jego przeciwieństwo, ale on nigdy nie pozwoliłby traktować się jak jego następcy. Kadafi nakrzydłał publicznie na Pompidou i zapowiedział islamizację Europy, wystannik Sadata, p. Zayat zapytany o naftę, z pobłażliwym uśmiechem mówił na schodach pałacu Elizejskiego po wizycie u Pompidou: „No, Francja, jest grzeczna, nie ma się o co martwić”. De Gaulle zrzuciłby go chyba z tych schodów. Ambasador potężnej Libii oznajmia w Bonn: „Jak się NRF dobrze zachowa, to jej coś odpalimy, ale niech się nie waży pomocy Holandii”. Pewien dyplomata belgijski trafnie, ze swego punktu widzenia, podsumował sytuację: „Osiem krajów europejskich prowadziło politykę skrupulatnej neutralności. Dziewięć podporządkowało się swojej opinii publicznej. Za to się płaci”.

Europa już była na kolanach, już błagała o litość, Traktat Rzymski o EWG leżał na śmietniku historii i trzeba było wypić kielich goryczy do końca.

6 listopada 1973 roku zebrała się w Brukseli Rada Ministrów spraw zagranicznych EWG. Tym razem przyjechali ministrowie. A było po co. Europa nareszcie się bowiem zjednoczyła, przemówiła jednym głosem, związała dokumentem. Ale głos był bezcieniem, a związanie — dosłowne, ręk z tyłu. Deklaracja w sprawie Bliskiego Wschodu to majstersztyk hipokryzji. Dalej idące niż wszystkie rezolucje ONZ poparcie linii arabskiej, ani jednego słowa o pomocy dla Holandii, ani jednego słowa o imporcie ropy, ani o eksporcie broni. Najstarsi Arabowie się czegoś tak cudownego nie spodziewali.

„Zwyczajne Monachium, Pompidou jako Daladier a Heath jako Chamberlain” — napisali jakby się umówili w rozmaitych stolicach. Ale już było za późno. Europa Zachodnia raz jeszcze abdykowała. I raz jeszcze cudzym, na razie, kosztem. Wszystko przypomina 38 i 39 rok. W Moskwie dnieje...

#### *Pięć wniosków i centralne ogrzewanie*

Jakie to wnioski płyną z tej historii. Rozmaite i liczne, ale wymieńmy pięć.

Po pierwsze — wniosek ekologiczny. Może perspektywa śmierci z braku dopływu ropy nauczy Europę szacunku dla surowców. Kto z państwa pamięta Mansholta? Pisaliśmy o nim także w *Kulturze*. Niektórzy uważali go nieszkodliwego maniaka, w rok po jego liście okazuje się czym to wszystko grozi. Jeżeli stopa wzrostu spożycia surowców utrzyma się na poziomie ostatnich

lat dziesięciu, to do końca naszego wieku zostaną wyczerpane wszystkie zapasy podstawowych surowców. Zostaną jedynie chrom i żelazo. A na cholere nam chrom i żelazo, kiedy nie będzie niczego innego? Kto wie, że jedno niedzielne wydanie *New York Times* kosztuje 60 ha kanadyjskiego lasu? Może dzięki arabskiej awanturze znaleźliśmy się u progu nowej cywilizacji, bezbenzynowej. Może potrafimy przygotować się do kresu wieku taniej energii i nieograniczonych surowców?

Po drugie — wniosek technologiczny. Cena nafty idzie błyskawicznie w górę. Za chwilę opłaci się eksploatować trudniejsze złoża, na Alasce, Kolorado czy w dnie morskim. Może wrócimy do węgla, a w każdym razie Arabowie na własną zgrubę, na pewno przyspieszyli chwilę wielkiej rekonwersji. Przejdziemy na atom czy coś innego jeszcze. Nikt nie lubi cudzego monopolu, potrzeba zawsze przyspieszała wynalazczość.

Po trzecie — wniosek strategiczny. ZSSR zagrał bardzo wysoko. W imię odrywania Europy od USA i przygotowań do jej „finlandyzacji” ZSSR zalegalizował zastosowanie handlu do celów politycznych i wojskowych. To bardzo wzmacnia frakcję sceptyków w Waszyngtonie, którzy od dawna wyrażali wątpliwość co do sensu inwestowania miliardów dolarów w syberyjskie zmarzliny. Jaki jest cel wysyłania np. komputerów do ZSSR? Ich, rosyjskie komputery służą do wymyślenia i funkcjonowania całego programu wojskowego a w tym do produkowania SAM'ów, które strącają nasze Phantomy. Nasze komputery zaś mają pracować w cywilu w Rosji, gdzie ich własnych brak bo rosyjskie pracują w wojsku. I gdzie tu logika? Jaki jest sens ładowania 40 miliardów dolarów w syberyjską naftę i gaz. Forse dajemy od razu, ale nafty nie będzie przed 10 laty. W ogóle zaś to przecież Rosjanie nauczyli Arabów jak strzelać z naftowej broni. Tym bardziej więc sami potrafią przekształcić naftę w torpedę. Lepiej ładować dolary w naftę na Alasce i mieć kurek u siebie w domu, a nie Moskwie.

Po czwarte — wniosek polityczny. Europa straciła twarz. Już dawno poszczególne państwa europejskie nie liczyły się na scenie świata. Mówili nam wtedy: poczekajcie, powstanie Europa, to będzie takie super-mocarstwo, że aż strach. No i kiedy powstała, to tylko po to aby ogłosić swoją kapitulację. Już nawet Arabowie jej nie szanują. Nikogo nawet nie zdziwiło, że aby zmanifestować jedność Europa podeptała Izrael. Izrael nie ma przecież nafty, a to jest dzisiaj arogancją. Ale to podeptanie odbyło się tak jakoś lekko, wesoło, strasznie... Francja nie zareagowała nawet na oświadczenie p. Czerwonienki, ambasadora ZSSR w Paryżu (tego co to uprzednio załatwił Czechosłowację w 1968 roku), że „nasze stanowiska są jednakowe”. P. Jobert po uchwaleniu deklaracji brukselskiej oświadczył: „Nie odczuwam wstydu człowieka, który byłby przedmiotem szantażu”. P. Jobert ma rację, bo deklaracja odzwierciedla stanowisko Francji i bo w Brukseli nie p. Jobert był celem szantażu arabskiego, a jego

koledzy — celem szantażu francuskiego. On sam już to załatwił znacznie wcześniej.

To wszystko za bardzo przypomina Wiedeń i Kreiskiego. EWG, jak Austria, pragnie nas przekonać, że już dawno uważała, iż Arabowie mają rację i że należy Izrael wykończyć. Tylko dlacego czekali z tym oświadczeniem, aż do chwili kiedy znajdują się w obliczu naftowej śmierci. Panu Kreiskiemu powiedziałem: „Żydzi są tylko na śniadanie, na resztę musi przyjść kolej. Kto raz ustąpi przed szantażem, nie wyjdzie ze spirali śmierci”. Nie wiedziałem tylko, że ta kolej przyjdzie tak szybko i że był to głos wołający na pustyni akurat synajskiej. Teraz Feisal może zażądać Brigitte Bardot, a jak nie dostanie swego ulubionego *hobby*, to przestanie kupować Miraże i wstrzyma eksport nafty.

Tym, którzy uważali, że kapitulacja nie jest sposobem prowadzenia polityki, oświadczone, że marzy im się powrót do kolonizacji. Owszem, kolonizacja jest w toku, ale na odwrót. To Europa jest kolonizowana. Szach perski zapowiedział, że podniesie dziesięciokrotnie cenę nafty. Jeżeli to nie jest kolonializm, to co nim jest?

I wreszcie wniosek piąty, moralny. Ja wiem, że to przesada, że nie należy szukać cnoty u polityków. Ale tu nie tylko o politykę chodzi. To nie przypadek, że najbardziej dotknięta sankcjami arabskimi jest Holandia, to przecież kraj Anny Frank. To nie przypadek, że następną do golenia była Dania, to przecież kraj Krystiana X, króla z żółtą łatą. Dla reszty europejskich rządów, jak to obrazowo powiedział Efraim Kiszon, dziennikarz z Tel Avivu: „Istnienie Izraela jest kwestią centralnego ogrzewania”.

Minister francuski p. Charbonel wykrzyknął w parlamencie do przeciwników polityki Vichy w 1973 roku: „Czego by panowie chcieli — rekolonizacji Algieru czy dyplomacji kanonierek?” Pan minister się myli. Pomiędzy fałszywą wielkością a prawdziwym upadkiem istnieje jeszcze kilka innych możliwości. To tylko sprawa poczucia godności własnej, europejskiej, ludzkiej...

Jak powiedziała by Churchill: „Moi panowie, honoru już nie macie, nafty jeszcze nie...”.

BRUKSEL CZYK

Pisane 11 listopada 1973 r.

## Notatka informacyjna

Londyński Instytut Studiów Strategicznych ogłosił niektóre dane o rozwoju gospodarczym różnych krajów świata. Na podstawie tych danych przedstawiamy niektóre zestawienia.

Produkt społeczny brutto (po angielsku GNP) USA i ZSSR w latach 1952-1972 wynosił:

	USA	ZSSR
	(w miliardach dolarów)	
1952 .....	350	113
1972 .....	1.152	439

Jeśli w 1952 roku różnica między produktem społecznym USA a ZSSR wynosiła 237 miliardów dolarów na korzyść USA, to w 1972 roku różnica ta wynosiła już 713 miliardów dolarów na korzyść USA, a więc potroiła się.

Z przytoczonych przez Instytut cyfr wynika, że w latach 1952-1962 produkt społeczny ZSSR podniósł się z 32,3 % do niespełna 39 % produktu społecznego USA, natomiast w latach 1962-1972 produkt społeczny ZSSR spadł z ok. 39 % do 37,3 % produktu społecznego USA. Tak więc tempo rozwoju gospodarki USA w latach 1962-1972 było szybsze od tempa rozwoju gospodarki ZSSR. Świadczy o tym wzrost różnicy produktu społecznego z 32,3 % do 33,3 % na korzyść USA.

Nie mniej ciekawe są inne zestawienia.

W 1952 roku produkt społeczny brutto ZSSR był osmiokrotnie większy od produktu społecznego Japonii, w 1962 roku był większy już tylko czterokrotnie, a w 1972 roku japońska GNP wynosiła już 3/4 produktu społecznego ZSSR. Tak więc tempo wzrostu gospodarki japońskiej w latach 1952-1962 był dwukrotnie szybsze niż tempo wzrostu gospodarki ZSSR, a w latach 1962-1972 tempo to było trzykrotnie szybsze.

Znacznie szybsze było też tempo rozwoju NRF. W 1952 roku produkt społeczny ZSSR był 3,5-krotnie większy niż zachodniemiecki, w 1962 roku był już tylko 2,5-krotnie większy, natomiast w 1972 roku produkt społeczny NRF wynosił już 60 % produktu społecznego ZSSR (NRF — 259 miliardów dol., ZSSR — 430 miliardów dol.). Tak więc tempo rozwoju gospodarki zachodniemieckiej było od 50 % do 100 % szybsze niż tempo rozwoju gospodarki ZSSR.

Szybsze też było tempo rozwoju gospodarki Francji. Jeśli w 1952 roku francuski produkt społeczny Francji wynosił zaledwie 1/4 produktu społecznego ZSSR, w 1962 roku wynosił już 1/3, zaś w 1972 roku produkt społeczny Francji wyniósł prawie połowę produktu społecznego ZSSR.

Należy przy tym wziąć pod uwagę, że NRF liczy zaledwie czwartą część ludności ZSSR, a Francja nieco mniej. Nadto ZSSR wskutek swych ogromnych przestrzeni posiada znaczną przewagę surowcową, nie mówiąc już o terenach upraw rolnych i możliwościach hodowli.

L.

## Dwugłos w sprawie niemieckiej

### Tour d'horizon z Polską pośrodku

1.

Stawianie sobie zapytań, czy Polska jako Polska, to znaczy: kraj zamieszkały przez pewną etnicznie określoną ludność i w pewien określony sposób politycznie zarządzany, może odgrywać obecnie, albo odegrać w niedalekiej przyszłości, określoną polityczną rolę, choćby i najskromniejszą — otóż stawianie sobie takich zapytań jest rzeczą i zbędną, i niebezpieczną, i szkodliwą. A jest tak nie tylko dlatego, że stan świata zapytań takich nie dopuszcza, ale również i dla przyczyny głębszej: ludzą się mianowicie albo wwodzą w błąd ci wszyscy, co mniemają, że historia to nic innego, jak tylko wyrób układów politycznych, w których się odbywa gra sił, także politycznych. Historia nie jest historią wyrobnictwa; historia jest historią twórczości. Oczywiście, polityczny stan świata lub rejonu świata, może bardziej lub mniej sprzyjać dzianiu się rzeczywistych dziejów, to znaczy pochodów kultur i cywilizacji w czasie; może nawet pochod ten i równoległe podobne pochodny na chwilę, a nawet i na zawsze zatrzymać. Ale jest przejawem pychy polityków, jeśli przy okazji takiej czy innej konferencji, podróży, wojny lub traktatu chełpią się, iż oto tworzą historię; ich rola jest pośledniejsza, choć nierzadko bywa złowroga: klecą bowiem jedynie okoliczności, pośród których twórczość człowieka może się lepiej lub gorzej rozwijać. Pychę tę należy w miarę możliwości ukręcać; należy umieć rozróżniać między tłem a planem pierwszym.

Niemniej zapytanie należy sobie postawić; a myślę, że tak oto:

Czy Polska zdolna jest (albo też: czy ma po temu szanse) do współdziałania w tworzeniu historii? A znaczy to zarazem: jakie jest jej naturalne cywilizacyjne i kulturowe miejsce w świecie, a jakie zostało jej przez wyrobników politycznych przemocą przydzielone? I jeszcze: co znaczy, w danych okolicznościach i warunkach — Polska?

2.

Wszystkie te sformułowania nie znaczą bynajmniej, że polityka mnie nie obchodzi. Owszem, obchodzi mnie, także i dlatego, że wdziara mi się co chwila, nieproszona i brutalnie, do mego domu. Tylko: myśląc o polityce, każdej chwili pamiętam o tym, że nie mam zapatrywań politycznych; mam natomiast zapatrywania *na* politykę. Ma to tę zaletę, że pozwala mi swobodniej z polityką sobie poczynać i rozstrząsać jej zagadnienia: z zewnątrz mianowicie; nie mając politycznego punktu widzenia; przeciwstawiając się ze wszystkich sił temu, aby nie stawał się bezustannie jej przedmiotem, muszę równie bez ustanku, skoro tylko znajdzie się w moim polu widzenia, odmawiać jej podmiotowości, jej, co znaczy: jej instytucjom i osobom parającym się nią zawodowo, odmawiając im duchowego partnerstwa, współczesnictwa i równouprawnienia. Innymi słowy: mam określony stosunek wobec polityki, ale nie jest to stosunek wyrażalny w politycznych kategoriach.

3.

Co powiedziawszy, *in medias res*:

Polityczne w ścisłym tego znaczeniu losy skrawka Europy, gdzie leży terytorium Polski, zależą w bardzo małej mierze od naprężeń czy odprężeń między Rosją a Stanami Zjednoczonymi; zależą natomiast w znacznie większej mierze od polityki rosyjskiej wobec Niemiec, przy czym Niemcy traktować należy jako całość: w gruncie rzeczy Rosjanie nigdy o Niemczech nie myśleli inaczej, niżli o całości — strategicznie oczywiście. Polityka niemiecka wobec Rosji, mimo tak rozreklamowanej polityki wschodniej Brandta, jest w istocie raczej niesamodzielna: Brandt musi paktować i traktować, i przystosowywać się; rozstrzygnięcia nie do niego należą, ponieważ może okazywać tylko dobrą wolę wobec silniejszego partnera, nie może okazywać woli złej albo choćby tylko przeciwstawnej Rosjanom.

Może to brzmieć paradoksalnie, ale dla uważnego obserwatora zmian w obrębie wewnętrznego układu sił politycznych w Niemczech Zachodnich nie ulega wątpliwości, że socjaldemokracja niemiecka daleko więcej powoduje się niemieckim egoizmem narodowym, aniżeli chadecja. Egoizm zaś narodowy w tym kraju oznacza dążenie do zjednoczenia Niemiec, jego zaś, tego egoizmu, natężenie daje się mierzyć wysokością ceny, jaką za zjednoczenie rząd gotów jest zapłacić. Otóż wydaje się, że cena chadecka była o wiele niższa, niżli cena socjaldemokratów: chadecy wychodzili (i nadal wychodzą) z założenia, że zjednoczenie może się i powinno dokonać jedynie w warunkach zgodnych z zasadami ustrojowymi NRF, co praktycznie oznacza wcielenie NRD, na co Rosjanie nigdy by się nie zgodzili; socjaldemokraci natomiast, jak

to chyba wynika z ich posunięć, gotowi są zapłacić wysoką cenę, bardzo wysoką cenę, być może nawet wszelką cenę.

Jakażby mogła być owa wysoka i wszelka cena?

Przyjrzyjmy się najspierś faktom:

1. Rząd Brandta, czyli koalicja liberałów i socjaldemokratów, zdecydował się na zasadę tajnej dyplomacji, co znaczy: przyjął nieswoje za swoje; dostosował się do ultrakonserwatywnych i bez mała odwiecznych reguł rosyjskiej gry dyplomatycznej, reguły zaś te dopuszczają także i publikację takich komunikatów o rokowaniach, które o rokowaniach tych albo w pustych ogólnikach informują tyle co nic, albo zgoła nie pokrywają się z właściwą treścią rozmów. Tak prowadzone były pertraktacje między Bonn a Moskwą, między Bonn a Warszawą oraz między Bonn a Berlinem Wschodnim. Niedyskrecje i przecieki wywoływały co prawda w swoim czasie wiele hałasu, pojawiały się w prasie zachodniemieckiej różne prawdziwe lub rzekomo prawdziwe tajne dokumenty, powstawały kryzysy parlamentarne; nic to, układy zostały ratyfikowane, mimo że, jak to ostatnio wyszło na jaw, coś tam nieczystego było w procedurze czy procederze głosowania w Bundestagu.

2. Po dwukrotnym pobycie Brandta w Rosji podczas toczących się rokowań i po ratyfikacji pakietu układów, do Bonn zjeżdża triumfalnie Breżniew. Cechą charakterystyczną jego pobytu w NRF były rozmowy w cztery oczy (podobnie jak uprzednio w Oreandzie), czyli poufności, skazane na przemilczenie. A dalej, co jeszcze bardziej znamienne: Breżniew przybył do Bonn nie tylko jako zwierzchnik Związku Sowieckiego, ale i jako Imperator Wszechrosji, występując w imieniu całego obszaru i całej ludności bloku wschodniego, to znaczy także i w imieniu NRD. Nie jest to rzeczą błahą, ponieważ:

3. Bezpośrednio po odlocie Breżniewa z Bonn pojechał milczkiem do Berlina Wschodniego Herbert Wehner<sup>1</sup>, przewodniczący

1. Jak dalece wypad ten był „tajny”, świadczy fakt, że Wehner odbył podróż do Berlina wschodniego „we mgle i po nocy” w samochodzie, którego kierowcą była jego rodzona córka. Podobny wypad powtórzył się zresztą z końcem września. W czasie wizyty zachodniemieckiej delegacji parlamentarnej w Moskwie Wehner dwukrotnie i chyłkiem opuścił swoje grono, by pertraktować sam jeden z wysokimi funkcjonariuszami Kremla. Treść tych rozmów nie dotarła do zachodniemieckiej ani w ogóle do żadnej opinii publicznej. Stało się to w czasie przyjęcia obu państw niemieckich do ONZ, tj. w czasie, kiedy i Brandt i minister spraw zagranicznych Scheel bawili w Stanach Zjednoczonych. W wywiadach, udzielanych w Moskwie, Wehner krytykował ostro ostatnie usztywnienie polityki bońskiej w sprawie reprezentacji konsularnej Berlina zachodniego przez placówkę NRF w bloku wschodnim, powiadając, że „została przeciągnięta struna”. To jego zachowanie się wywołało z początkiem października istną burzę w parlamencie bońskim — przy czym przywódcy opozycji chadeckiej, Carstens i Strauss zarzucili rządowi politykę neutralistyczną. W ostatnim nu-

frakcji parlamentarnej zachodnioniemieckiej socjaldemokracji; dołączył do niego później nieco przedstawiciel liberałów, Mischnick. Niemcy zachodni dowiedzieli się o tym błyskawicznym wypadzie z radia i telewizji wschodnioniemieckiej. Wydany po rozmowach z Honeckerem skąpy komunikat o niczym właściwie nie powiadał.

Co to wszystko może znaczyć?

3.

Ponieważ wydarzenia te nie wróżą nic dobrego, proponuję skonstruowanie modelu myślowego, opartego na dramaturgicznej maksymie Dürrenmatta, który powiada, że akcję sztuki należy prowadzić tak, aby sprawy przybrały obrót najgorszy z możliwych. W naszym przypadku tą najgorszą z możliwości jest możliwość zjednoczenia Niemiec za *wszelką* właśnie cenę, czyli za cenę odpowiadającą przedstawieniom rosyjskim.

Choć lubię tę zabawę, nie czas i miejsce po temu, aby zagrać w „co by było gdyby”; ale można zagrać — nie w rozumieniu wzięcia z fusów, ale na zasadzie podobnej, co gra wojenna — w „co będzie, jeżeli”. Hipoteza pierwsza będzie więc brzmiała:

1. Co będzie, jeżeli prawdą jest, że, niezależnie od tego, co ogłoszono w oficjalnym komunikacie, głównym przedmiotem rozmów między Breżniewem a Brandtem — i tych w Oreandzie, i tych w Bonn — było zagadnienie zjednoczenia Niemiec; jeżeli Rosjanin nie tylko zgodził się rozmawiać na ten temat, ale i naszkicował swoje o tym problemie wyobrażenia; jeżeli w Bonn właśnie postanowiono, aby Wehner udał się do Honeckera i te wyobrażenia mu przekazał (dlatego Wehner, gdyż Breżniewowi nieporęcznie chyba było o tym z Honeckerem rozmawiać); jeżeli były komunista (Wehner) z obecnym komunistą (Honeckerem) znaleźli wspólny język; jeżeli rzeczywiście wszystko tak było albo i jest, to wówczas:

Niemcy prędzej czy później będą zjednoczone; w tych zjednoczonych Niemczech zostanie utworzony rząd tymczasowy na zasadzie frontu ludowego, czyli: przez komunistów i socjaldemokratów<sup>2</sup>; jednym z pierwszych aktów urzędowych takiego rządu

merze tygodnika *Der Spiegel* (z dn. 8. 10.) jest mowa o głębokich różniakach między Brandtem a Wehnerem, z czego wynika, że kanclerz NRF zdaje sobie sprawę, iż istnieją w socjaldemokracji niemieckiej silne promoskie sympatie.

2. Mam na myśli, rzecz jasna, komunistów wschodnioniemieckich (zachodnioniemieccy jako siła polityczna się nie liczą) oraz zachodnioniemieckich socjaldemokratów, gdzie tendencje jednolitofrontowe wyraźnie rosną, zwłaszcza wśród młodzieży. Oto przykład: na festiwalu młodzieżowym w Berlinie wschodnim (przełom lipca i sierpnia) przywódca zachodnioniemieckiej młodzieży socjalistycznej, Roth, wygłosił przemówienie tak dalece jednolitofrontowe, że centralny organ SED przedrukował je w całości, nie opuszczając nawet miejsc niewygodnych (swoboda wymiana ludzi i idei).

będzie albo jednostronne, albo wspólne z Rosją (Ameryka do tego niepotrzebna) ogłoszenie neutralności; następstwem ogłoszenia neutralności będzie przypuszczalnie wystąpienie wojsk rosyjskich z Niemiec Wschodnich; to zaś z kolei spowoduje Amerykanów do wycofania swoich wojsk z Europy. NATO przestanie istnieć<sup>3</sup>.

Europa stanie się więc w ostatecznym rachunku jedną wielką Finlandią, z tą wszakże różnicą, że i o ile neutralność Finlandii dziś w jakimś tam stopniu rzeczywiście, czyli wielostronną (czy wszechstronną) neutralność jeszcze przypomina (choć nią naprawdę nie jest), a to dzięki przeciwwadze, jaką stwarza obecne istnienie NATO i obecność Ameryki w Zachodniej Europie, o tyle ewentualna przyszła sfinlandyzowana Europa neutralną już być nie będzie mogła. To, co się wtedy będzie nazywało neutralnością, będzie faktycznie przyporządkowaniem się Rosji.

Tyle o hipotezie pierwszej. Hipoteza druga w naszej grze „co będzie, jeżeli” wygląda tak oto:

2. Co będzie się działo w obrębie bezpośredniego imperium Rosji, jeżeli nastąpi zjednoczenie Niemiec i finlandyzacja Europy? Innymi słowy: co się tam stanie, jeśli nastąpi pozorne cofnięcie się Rosji na linię Odry; pozorne militarne, bo dokonane w obliczu militarnej pustki i pozorne polityczne, gdyż to, co

3. Z taką możliwością liczą się politycy zachodni. Francuski minister rolnictwa, Chirac, przemawiając w połowie sierpnia na konferencji, poświęconej polityce rolnej EWG, uczynił wypad w dziedzinę „wielkiej” polityki, oskarżając NRF o to, że orientuje się na Wschód i odwraca od Zachodu. Tygodnik hamburski *Die Zeit*, związany z partią liberalną, której przewodniczącym jest wicekanclerz i minister spraw zagranicznych Scheel, tak skomentował to wydarzenie: „Czy Bundesrepublika odpycha na wschód? Czy uznanie (przez NRF — W.W.) dwupaństwowości niemieckiej było rzeczywiście jedynie zamaskowanym początkiem ponownego ożywienia polityki zjednoczeniowej o charakterze antyzachodnim? Czy Brandt i Scheel dopatrują się w odprężeniu jedynie stacji przejściowej do bezsojuszniczego neutralizmu?” *Die Zeit*, pisząc o tym, powiada, że reakcje Chiraca i chadeków niemieckich są przesadne, ale mimo to powinny być traktowane poważnie. Z kolei przywódcy chadeków (Carstens, Strauss i Marx) mówili o tym, że NRF staje się dla sojuszników podejrzana, ponieważ Bonn dało się wessać w wir własnej polityki wschodniej: „Nie można starać się o zjednoczenie i bezpieczeństwo Europy i zarazem usiłować zadowolić Moskwę” (Strauss). Carstens mówił przy tej okazji o tendencjach rozbrojeniowych.

Ciekawe są jeszcze dwie okoliczności, jakie przy tym wyszły na jaw. Były redaktor naczelny *Życia Warszawy*, Woyna, mówił podczas opublikowanej w *Miesięczniku Literackim* rozmowy o przyszłej roli zjednoczonych Niemiec w Europie. Jest to koncepcja prawie identyczna do koncepcji Bahra z roku 1968, przedstawionej przezeń pewnemu amerykańskiemu profesorowi jako tzw. model myślowy. Po krótko: i Bahr, i Woyna zakładają zjednoczenie, neutralizację i rozbrojenie Niemiec; Woyna użył zwrotu „Mitteleuropa”, Bahr mówił o zneutralizowanej i zdemilitaryzowanej strefie w Europie Centralnej, obejmującej Niemcy, Czechosłowację, Polskę i Benelux; obaj przyjmują wycofanie się z tego obszaru Rosjan i Amerykanów.



będzie miało być rzekomo neutralne, w rzeczywistości stanie się rosyjską sferą wpływów?

Nastąpi tam chyba, bo tak wynika z konsekwencji myślenia (proszę nie zapominać: budujemy model myślowy), szybki i brutalny proces scalenia państwowego. Dotychczasowa forma istnienia takich krajów, jak Czechosłowacja, Polska czy Węgry — w postaci demokracji ludowych, czyli państw pozornych, dominiów, półdominiów lub wręcz kolonii — stanie się zbędna, a nawet z pewnych powodów w tych nowych okolicznościach niebezpieczna: pozostawienie bowiem wojsk narodowych, nawet w tak skarlałym sposobie narodowych, jak obecnie, kryje w sobie dla hegemonia wielorakie groźby; odmienne nieco, nie mniejsze wszelako groźby kryje w sobie również i istnienie narodowych policji; nawet niezupełnie scentralizowana administracja oraz różnice, występujące między poziomem życia ludności dominialnej oraz metropolitalnej są co najmniej niedogodnością, nadto zaś mogą drażnić uczucia narodu-hegemonu. Pozostaje więc tylko scalenie państwowe.

Jest rzeczą chyba całkowicie obojętną, czy scalenie takie będzie miało ten lub inny charakter formalno-prawny. Rzecz jest ważna; ważne jest, aby wojska były etnicznie przemieszane, komenda zaś językowo jednorodna; aby rosyjski policjant urzędował w Warszawie, polski zaś w Omsku; aby wicepremierem Węgier był zruszczony Łotysz, łotewskim natomiast spolonizowany Baszkir; aby pieniąż był jeden, gdyż różnorodność ich powoduje mnóstwo kłopotów na wewnątrz i na zewnątrz; aby ujednoczone było prawo karne, owa ostoja wszelkich despotów: niedopuszczalne bowiem jest aby za ten sam postępek w Warszawie skazywano na lat cztery, w Leningradzie zaś na lat piętnaście; aby wyeliminować w Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech wpływy kościoła zachodnio-rzymskiego, na to bowiem rosyjski ableger kultury bizantyjskiej nie może sobie pozwolić, jako że jego zasadą naczelną jest cesaropapizm.

I po trzecie; lecz tu już nie hipoteza, niestety nie przypuszczenie: fakt natomiast pewien, pewna zaszłość, która wzmaga prawdopodobieństwo obydwu wyżej opisanych hipotez:

3. Jak będzie się zachowywać Ameryka, jeżeli Europa będzie tak zorganizowana czy urządzona, jak to zostało przy założeniu najgorszego z możliwych wariantów powiedziane? — Otóż Ameryka będzie się zachowywała spokojnie, albowiem Ameryka uznała już doktrynę Breżniewa, uroczyście i formalnie, z podpisem i pieczęciami. Umowa o zapobieganiu wojnom atomowym, zawarta między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim dnia 22 czerwca br., zawiera co prawda w preambule oświadczenie, że układ ten nie jest skierowany przeciwko żadnemu trzeciemu państwu; jednakże artykuł jej pierwszy brzmi: „Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zgodne są w tym, że celem ich polityki jest usunięcie niebezpieczeństwa wojen atomowych oraz użycia broni nuklearnej. Obie strony uzgadniają przeto, że dzia-

łalność ich powodować się będzie zapobieganiem takiego rozwoju sytuacji, który by mógł doprowadzić do niebezpiecznego pogorszenia wzajemnych stosunków, a to, aby w ten sposób unikać konfrontacji militarnych i wykluczyć tak możliwość wybuchu wojny atomowej pomiędzy nimi, a także i pomiędzy każdym z sygnatariuszy a innymi państwami”. Tyle artykuł pierwszy i tu jeszcze nie ma z pozoru niczego niepokojącego. Ale artykuł drugi postanawia już coś, co wzbudza niepokój: „Zgodnie z artykułem I i dla urzeczywistnienia sformułowanego w tym artykule celu, obie układające się strony postanawiają wyjść z założenia, że każda z układających się stron powstrzyma się od groźenia przemocą i od użycia przemocy wobec drugiej układającej się strony, wobec sprzymierzeńców drugiej układającej się strony oraz wobec innych państw w sytuacjach, które mogłyby zagrozić pokojowi międzynarodowemu oraz międzynarodowemu bezpieczeństwu (podkreślenie moje — W.W.). Otóż tu leży pies pogrzebany: w owych „innych państwach”, którym można grozić użyciem przemocy i wobec których przemoc można stosować, byle by to tylko nie „zagrożało międzynarodowemu pokojowi i bezpieczeństwu”. Bo kimże być mogą owe inne państwa? — W pierwszym rzędzie sprzymierzeńcy własni układających się stron; Czechosłowacja, powiedzmy, Węgry, powiedzmy, Polska; a kiedy marszałek Tito zamknie oczy, także i Jugosławia, jeśliby nie zechciała dobrowolnie spełnić swego obowiązku i przyłączyć się do wielkiej rodziny narodów sowieckich; Rumunia z natury rzeczy; dla okrąglenia Albania; Bułgaria. I proszę spojrzeć na mapę; nawet harcerz umie czytać mapę. W tych rejonach mapy Europa Rosja na mocy układu z Ameryką ma wolną rękę. Wszelkie jej tam przemożne poczynania nie zagrażają pokojowi ani bezpieczeństwu międzynarodowemu. — Pozostają Chiny, ale tu sytuacja już jest bardziej złożona i to nie należy w tej chwili do tematu: Talleyrand powiedział kiedyś, że w polityce da się racjonalnie przewidywać jedynie do lat pięciu. A co będzie w materii chińskiej za lat pięć, tego nawet szkolony na Metternichu Kissinger nie wie.

I oto nasza zabawa w „co będzie, jeżeli” utknęła: na nowej Jałcie mianowicie; na Superjałcie, tym razem nie wynikłej z błędów i mylnych rachunków amerykańskich, lecz zawartej jako układ świadomie; będącej rzeczywiście końcem wieku ideologii (czego mi nie żal), ale i zarazem końcem wieku ideałów (czego mi żal odrobinę) oraz końcem wieku politycznych czkawek moralnych; obrębionej toczącymi się rokowaniami w Helsinkach i Wiedniu jako pełniącymi rolę zwodu psychologicznego igraszkami na marginesie rokowań centralnych; ugruntowanej przez zaakceptowanie pasa strategicznego.

4.

Tak się więc skończyła nasza zabawa w „co będzie, jeżeli”;

zakładałem początkowo, że grać się będzie wyłącznie modelami myślowymi, lecz stało się inaczej: modele myślowe zostały przytłamszone przez fakt rzeczywisty; trzeba było zaczynać nie od początku, lecz od końca, a mianowicie od umowy rosyjsko-amerykańskiej. Jej to bowiem następstwem, to znaczy następstwem realnego stanu rzeczy jest prawdopodobieństwo sfinlandyzowanego zjednoczenia Niemiec oraz włączenia państw satelickich do Związku Sowieckiego. Tak, jak Jafta 1945 oddała Rosji Środkowo-Wschodnią Europę we władanie, tak Superjafta w San Clemente odłania resztę Europy na rosyjski sztych. Słynny amerykański parasol atomowy stracił rację bytu, konwencjonalne zaś zbrojenia rosyjskie przekroczyły wszelkie oczekiwania.

Ameryka ustępuje z obszaru europejskiego dobrowolnie, spóźniając się widocznie w tej zmianie układu korzyści politycznych dla siebie, choć w tej chwili nie bardzo jeszcze widać, jakie by one być mogły. Z punktu widzenia moralnego przez takie swoje postępowanie naraża się na zarzut zdrady swoich dotychczasowych sojuszników, którzy nimi praktycznie przestali być, ponieważ pozostawieni są samym sobie<sup>4</sup>. Sprawy, według recepty dramaturgicznej Dürrenmatta, przybrały obrót najgorszy z możliwych; z jednym wszelako, może z dwoma wyjątkami: nie dla Rosji i przypuszczalnie nie dla Ameryki.

Uzupełnić należy chyba relację tym, że sekretarz generalny NATO skarżył się na tajność dyplomacji amerykańsko-rosyjskiej. Smutna to skarga. Równie smutna będzie być może w przyszłości skarga rządzących Polską komunistów, kiedy trzeba będzie oddać dla wywianowania NRD, powiedzmy, Szczecin.

5.

Wróćmy teraz do problematyki, naszkicowanej na początku tego artykułu i postawmy sobie zapytanie: jak się mają wszystkie te zaszłości i wszystkie te prawdopodobieństwa do historii rzeczywistej, to znaczy do historii nie będącej łańcuchem wydarzeń politycznych, lecz pochodem kultur i cywilizacji?

Tak jak rzeczy stoją, grozi Europie Zachodniej, tj. tej jej części, która jest spadkobierczynią i kontynuatorką zasobów duchowych Rzymu zachodniego, wytrącenie z obecnej fazy cyklu

4. Tak zdają się rozumować Szwajcarzy. 23 sierpnia parlament w Bernie uchwalił rezolucję, przedłożoną przez rząd. Zawiera ona 19 tez, z których najważniejsze wydają mi się: a) w Europie panuje obecnie pokój względny; b) „równowaga strachu” pomiędzy wielkimi mocarstwami jest chwiejna; c) istnieje stałe niebezpieczeństwo łamania umów międzynarodowych; d) w przypadku napaści na Szwajcarię kończy się jej neutralność, zaś przeciwnik napastnika staje się sprzymierzeńcem; e) w wypadku okupacji kraju zaczyna się wojna podjazdowa. Na krótko przed tą uchwałą naczelne dowództwo złożyło przed parlamentem sprawozdanie, z którego wynika, że Szwajcaria kosztem 6-ciu bez mała miliardów franków zamieniona została w twierdzę skalną z głównymi kierunkami obrony na wschód i na północ.

rozwojowego; zakłócenie podobne temu, jakiego doznała Polska, Czechosłowacja i Węgry, czyli kraje, które zostały ujarzmione przez Rosję, będącą dziedziczką kultury Rzymu wschodniego i to na domiar dziedziczką nie w linii prostej, albowiem dziedziczenie kultury bizantyjskiej odbyło się tam pośród licznych i spazmatycznych zasupłań.

Najistotniejsza różnica między Rzymem zachodnim a wschodnim polega chyba na tym, że na Zachodzie mamy tradycje pluralistyczne, na Wschodzie zaś monoideowe. Tradycje pluralistyczne zdołały się rozwinąć tak dalece, że współcześnie, zwłaszcza w dziewiętnastym i dwudziestym wieku, pojęcie herezji stało się we wszelkich bez mała dziedzinach życia duchowego (i nie tylko duchowego) pojęciem historycznym, nie mającym dziś już zastosowania. Tradycje monoideowości natomiast umocniły się w Europie Wschodniej, więcej nawet: przejawiają coraz to większą agresywność; agresywność na wewnątrz, ogarniając wszystkie nieomal obszary i przejawy życia; oraz agresywność na zewnątrz, przejawiającą się w woli narzucania swojej postawy chyba już wręcz globalnie. Pluralizm, i w tym przejawia się jego słabość jak i siła, agresywny nie jest; nie odwołuje się do przemocy fizycznej; jego bronią i narzędziem jest refleksja i argument. Zagrożenie, którego jesteśmy świadkami, polega na tym, że następuje dramatyczne starcie między refleksją a siłą fizyczną; pojedynek między mikroskopem a armatą o trudnym do przewidzenia zakończeniu.

Rzecz w tym, że bynajmniej tak nie jest, jak to pod wpływem agitacji monoideowej wielu ludzi gotowych jest przyjmować: że mianowicie Europa Zachodnia znajduje się w stanie nieustannego kryzysu i gorzej jeszcze — w stanie upadku i dekadencji. Ci ludzie nie wiedzą prawdopodobnie, że słowo „kryzys” oznacza co prawda przesilenie, ale i zarazem, jak to już Tomasz Mann zauważył, moment kryzysu jest momentem krytyki w okresie wielkiego napięcia. Czas krytyczny może być i czasem wielkiego wzlotu. I nie wiem, skąd bierze się myśl, że po wzlocie *powinien* nastąpić upadek? Gdzie taka reguła została napisana? Jakie to są prawidłowości? I — kto taką brednię wymyślił? Nieszczęśni są zwolennicy fałszywego i rzekomego jedyne go wymiaru; ubodzy duchem czciciele *jedynej* prawdy, nie znający swobodnego starcia wielu równouprawnionych prawd. W życiu duchowym Europy Zachodniej ujawniły się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat niebywałe wprost siły twórcze, zdobyto się na przewrót duchowy przypuszczalnie większy niż za Odrodzenia. Stało się tak i w nauce i w sztuce, uległy zmianom modele wyobraźni i rozumowania, przekształciły się siły społeczne oraz wzajemne powiązania między nimi. Nawet w dziedzinie życia ściśle politycznego Europa, właśnie dlatego, że pluralistyczna, potrafiła zrzucić z siebie jarzmo despotyzmu, czego się tam, gdzie panuje monoideowość, uczynić nie udało. Myślę, że Europa wciąż jeszcze przeżywa swój twórczy wzlot, ze wszystkimi takiego wzlotu niebezpieczeństwami, to prawda; regresu jednak nie dostrzegam. Dostrze-

gam raczej niebezpieczeństwo zewnętrzne: agresji systemu monoidowego, to znaczy takiego, w którym każda idea podporządkowana jest — a jeśli się nie podporządkowuje, bywa niszczone — idei nadrzędnej, sprowadzającej się do służby zwierzchności. Ta idea nadrzędna jest czysto polityczna, wymusza myślenie w „jedynie realnej” opozycji: przyjaciel — wróg. Kto zaś jest wrogiem, rozstrzyga każdorazowo zwierzchność, czyli elita polityczna, która zarazem jest ostateczną instancją we wszystkich obszarach życia. Te zaś wedle tejże elity są jednowymiarowe.

Po decyzjach politycznych, powziętych w San Clemente, problemem centralnym dla zagrożonej Europy Zachodniej jest obrona, ochrona i przeniesienie w czasie życiowej zasady pluralizmu.

6.

Zaprzeczyć monoideowości można w danych konkretnie warunkach politycznych jedynie zaprzeczając politykę generalnie przynajmniej tam, gdzie monoideowość została zaprowadzona; a znaczy to nie tylko generalne zaniechanie udziału w życiu politycznym, lecz również zaprzestanie rozumowania w kategoriach politycznych, zwłaszcza jeśli chodzi o materię polityczną. Ponieważ monoideowość jest politycznie (to jest: przez polityków i przemocą) narzucona, daje się ona zwalczyć tylko w politycznej pustce i w warunkach, kiedy wszelki autorytet polityczny przestanie społecznie istnieć.

I tu sobie trzeba powiedzieć: polityka jest grą sił, ale nie tylko; nie tylko polityka jest grą sił; nadto jeszcze może istnieć gra sił między polityką a tym, co niepolityczne albo i wręcz ponadpolityczne. Otóż ta ostatnia gra sił jest potrzebna w krajach, którym z zewnątrz zasadę monoideowości narzucono. Takim krajem jest właśnie Polska, która w ciągu całej swojej historii duchowej brała czynny udział w rozwoju zachodniorzymskiej zasady pluralizmu. I jeśli Polacy jako społeczność i naród pragną zasadzie tej pozostać wierni, jeśli starczy im po temu sił, powinni ze wszystkich tych sił właśnie dążyć do życia twórczego w politycznej pustce.

Być może nie będą w tej swojej postawie osamotnieni. Wtedy wszelkie takie zjawiska jak groźba zjednoczenia Niemiec pod auspicjami frontu ludowego czy przeróżne Jałty krymskie lub amerykańskie nie naruszają ich duchowej substancji społecznej.

Witold WIRPSZA

*Powyższy artykuł Redakcja traktuje jako dyskusyjny.*

## Na linii Warszawa-Bonn

„Od dziś będziecie Panowie mieli okazję poznać mnie z przyjemniejszej strony” — tymi słowami przedstawił się socjal-demokratycznej opozycji w Bundestagu, w listopadzie 1961 roku nowo mianowany minister spraw zagranicznych rządu Adenauera, Gerhard Schröder. W poprzedzających ośmiu latach tenże Schröder jako kierownik resortu spraw wewnętrznych uczestniczył w zacieklej batalii parlamentarnych ze swymi adwersarzami z SPD. Przeciwnicy nie oszczędzali się. Schröderowi wypominano, że nosił mundur SA-manna, on zaś mógł na to odpowiedzieć, że ci, co go dziś zwalczają z pozycji socjal-demokratycznych, znajdowali się niekiedy w szeregach komunistów. Taka to była w owych latach nieprzewyciężona przeszłość niemiecka. Debaty były prowadzone nieraz w nieodbornej atmosferze i można było zrozumieć, że Schröder objawiający resort polityki zagranicznej pragnął załagodzić dawne spory.

Przedstawiciele władz PRL, którzy podejmowali w ostatniej dekadzie lipca br. Schrödera jako gościa, mogli również powiedzieć, że zaprezentował się on im z całkiem przyjemnej strony.

Polityk CDU przybył do Polski w charakterze przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Bundestagu. W swej długiej karierze politycznej Schröder przez 16 lat bez przerwy był ministrem w rządach trzech kanclerzy. Bez powodzenia jednak sięgał kilkakrotnie po najwyższe urzędy w partii i państwie. Po obaleniu twórcy niemieckiego „cudu gospodarczego”, Ludwiga Erharda, Schröder ubiegał się o kanclerstwo, zwyciężył jednak nieznacznie przewagą głosów Kurt G. Kiesinger, zaś Schröder musiał zadowolić się teką ministra obrony narodowej. W roku 1969 kandydował z ramienia CDU/CSU na urząd prezydenta NRF i znowu przegrał ze szczęśliwszym rywalem z SPD — Gustavem Heinemannem. Kilka miesięcy później, po przegranych przez CDU wyborach, musiał zadowolić się niebagatelną funkcją przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Bundestagu. Stanowisko to utrzymał w następnej kadencji parlamentarnej, po wyborach w 1972 roku.

W ostatnich latach pozycja Schrödera wyraźnie jednak zmalała. Kiedy szef frakcji parlamentarnej CDU/CSU w Bundestagu, Rainer Barzel, przejął główny ciężar walki z rządem Brandta, Schröder postanowił nie angażować się w codziennej młóce parlamentarnej. Zasiadł na tylnych ławach poselskich i przez kilka lat nie zabrał ani razu głosu w debatach. Prywatnie dawał niejednokrotnie do zrozumienia, nie bez słusnych racji, że styl opozycji reprezentowany przez Barzela uważa za jałowy, siebie sa-

mego natomiast pragnął zachować „na lepsze czasy”. Taktyka ta nie spotkała się ze zrozumieniem ani u przyjaciół, ani wśród zawistnych w CDU czy CSU. Kiedy Barzel próbował poprzez tzw. „konstruktywne votum nieufności” obalić rząd Brandta, dla Schrödera przewidziany był resort spraw zagranicznych. Schröder mawiał, że „wszystko przyjdzie do rąk tego, kto potrafi czekać”, ale życie nie przyniosło potwierdzenia jego oczekiwań. Barzelowi próba nie powiodła się, a w rok później był zmuszony do złożenia funkcji szefa opozycji w parlamencie i musiał ustąpić jako przewodniczący partii. Zdawało się, że pojawia się nowa wielka szansa dla Schrödera. W pierwszym momencie niemal wszyscy uważali go za najodpowiedniejszego kandydata. Wsunęty w ostatniej chwili prof. Karl Carstens zgotował seniorowi Schröderowi gorzką porażkę. Był to cios tak dotkliwy, że w krótki czas potem na walnym zjeździe CDU Schröder wycofał swą kandydaturę na stanowisko wiceprzewodniczącego partii. Oznaczało to kompletną rezygnację z wielkich ambicji i przygotowanie do powolnego przejścia liczącego 63 lata polityka na emeryturę.

Uwagi te były konieczne, ponieważ pozycja Schrödera jest nie bez znaczenia dla stwierdzenia ciężaru gatunkowego jego wypowiedzi w Polsce i na temat jego pobytu w PRL w lipcu br. Wypowiedzi te były znamienne, nieraz nawet zaskakujące.

„Ratyfikowany w 1972 roku układ niemiecko-polski jest zdaniem Schrödera równoznaczny z ostatecznym uznaniem linii Odra-Nysa” — tak informowała zachodnio-niemiecka agencja prasowa „dpa” o rozmowie, jaką gość niemiecki miał z dziennikarzami w Warszawie (*Süddeutsche Zeitung*, 25. 7.). Jego zdaniem układ zawarty między Bonn a Warszawą „musi być wypełniony życiem” według zasady *pacta sunt servanda*. Zdaniem Schrödera kształt nowych stosunków między NRF i PRL to nie tylko sprawa rządów ale i społeczeństw — polskiego i niemieckiego. Stwierdzenie Schrödera zaskakuje o tyle, że kierownictwo chrześcijańskich demokratów zawsze podkreślało, że podpisany przez Brandta w Warszawie układ nie oznacza formalno-prawnego uznania granicy na Odrze i Nysie. Pozycji tej bronili politycy chadeccy podczas debaty o ratyfikację układu i sam Schröder występował wielokrotnie w tym duchu. Pogodzenie się z nieodwracalnymi realiami zmanifestował Schröder także w ten sposób, że podczas pobytu w Polsce odwiedził takie miasta, jak Wrocław, Brzeg, czy Gdańsk, które zdaniem niewielu już „legalistów” nie należą prawnie do Polski. W poprzedzających latach politycy chadeccy odwiedzający Polskę zawsze pilnie zważali na to, żeby broń Boże nie udać się na tereny obecnych polskich ziem zachodnich i północnych.

Poza tym fundamentalnym stwierdzeniem Schröder wypowiedział się w szeregu innych ważnych spraw.

Już po powrocie do Bonn Schröder sprecyzował o co mu głównie chodziło w rozmowach na tematy gospodarcze. Relacjonował to dziennik *Die Welt* (31. 7.): „Zdaniem Schrödera można

by w ramach szeroko zakrojonej kooperacji gospodarczej (*grosszügige Kooperation*) osiągnąć rozwiązanie obu tkwiących korzeniami w przeszłości problemów — przesiedlenia Niemców z Polski oraz zaspokojenia polskich żądań w sprawie odszkodowań dla więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych”. I tutaj stwierdzić wypada, że Schröder poszedł dalej niż większość jego przyjaciół politycznych, którzy gotowi byli zaakceptować odszkodowania jedynie dla tzw. „królików doświadczalnych” z kacetów. Opisując trasę swej podróży po Polsce, Schröder wyraźnie podkreślił, że odwiedził m.in. obóz koncentracyjny w Oświęcimiu i Brzezince i jest zdania, że znajomość wydarzeń, które się tam rozegrały, winna wejść do zasobu wiedzy każdego polityka niemieckiego. Podkreślając w rozmowach konieczność stałej „poprawy stosunków z Warszawą, która leży w interesie samych Niemiec” (*Der Tagesspiegel*, 26. 7.) chciał Schröder przypomnieć rozmówcom w Warszawie, że to właśnie on, jako minister spraw zagranicznych w gabinetach Adenauera i Erharda, inicjował pierwsze kroki na drodze do zbliżenia z państwami bloku komunistycznego, instalując już w latach 1952-1953 — m.in. w Polsce — przedstawicielstwa firm handlowych, które we wrześniu 1963 roku przekształcone w oficjalne misje handlowe stały się załogiem przyszłych ambasad.

Schröder był najwidoczniej do swych oświadczeń podczas pobytu w Polsce i po powrocie z niej upoważniony przez swych politycznych przyjaciół, na co wskazuje też fakt, że nikt z CDU i CSU nie próbował jego wypowiedzi dezawuować. Zresztą już od dawna Schröder wysuwał koncepcję zawierania atrakcyjnych dla obu stron umów handlowych, które według jego długoplanowych założeń miały doprowadzić do zbliżenia z krajami Europy Wschodniej, do powolnego ich uniezależniania się od Moskwy i w końcu do izolacji politycznej Wschodnich Niemiec. Tę linię wyraźnie reprezentował w czasie pobytu w Polsce polityk bawarski, b. minister rolnictwa Höcherl, a później sam Rainer Barzel. Ożywione kontakty z politykami chadeckimi świadczą, że koła oficjalne w Warszawie liczą się poważnie z ewentualnością przejścia władzy w NRF przez CDU/CSU w koalicji z FDP.

Wrzesień przyniósł dalsze nasilenie kontaktów i rozmów polsko-niemieckich. Jednym z celów tych rozmów miało być przygotowanie oficjalnej wizyty bońskiego ministra spraw zagranicznych, Waltera Scheela, w Warszawie. Z wizytą tą łączyły się określone nadzieje i oczekiwania zarówno strony niemieckiej jak i polskiej.

Władze PRL od początku kładły nacisk na koncesje natury gospodarczej, strona niemiecka na ustępstwa w kwestiach humanitarnych. Nadzieje Warszawy na uzyskanie niskooprocentowanych kredytów jak również odszkodowań dla ofiar przesładowań nazistowskich nie doczekały się dotąd realizacji, nadzieje niemieckie na przesiedlenie do NRF wszystkich tych którzy czują się Niemcami a jest ich ok. 283 tys. — zostały zrealizowane tylko

częściowo. Prasa krajowa sugerowała do niedawna, że chodzi o „akcję, która zbliża się ku końcowi, ponieważ na wyczerpaniu jest krąg tych osób, które odpowiadają ustalonym humanitarnym kryteriom”. Parlamentarny sekretarz stanu w bońskim *Auswärtiges Amt*, Moersch, potwierdził, że liczba przesiedleńców z Polski uległa dalszemu obniżeniu. Przyczyn tego należy się dopatrywać w „restryktywnych praktykach” władz PRL. Przyrzeczenia złożone w „Informacji” załączonej do układu warszawskiego z 7 grudnia 1970 roku nie zostały dotrzymane w tym znaczeniu, w jakim były rozumiane przez stronę zachodnio-niemiecką. Posłowie chadecy wezwali rząd federalny, aby poinformował opinię publiczną w całej rozciągłości, że akcja łączenia rodzin wygląda katastrofalnie. Krytykowali oni, nie bez słusznej racji, przede wszystkim szykany na jakie narażeni są ci, którzy chcą wyjechać z Polski. Niemcy ubiegający się o wyjazd zostają zwalniani z pracy, tracą mieszkania, ich dzieci mają trudności w szkołach i na wyższych uczelniach. Moersch zwrócił uwagę, że rząd federalny nie widzi żadnej możliwości podjęcia bezpośredniej akcji na rzecz dotkniętych tymi szykanami. Zapewnił jednak, że podczas rozmów rządowych sprawy te zostaną poruszone.

Strona polska poczuła się również zawiedziona, gdy próby pozyskania Niemców dla określonych i dla Warszawy dogodnych form kooperacji gospodarczej na większą skalę nie powiodły się. Tym zawiedzionym nadziejom dał w ostrożnej formie wyraz zastępca przewodniczącego Komisji Planowania, Henryk Kisiel, w rozmowie z korespondentem *Frankfurter Rundschau* (6. 9.): „Od podpisania układu warszawskiego i podjęcia stosunków dyplomatycznych między Bonn i Warszawą osiągnięto wprawdzie postępy na odcinku stosunków gospodarczych z NRF, ale w ważnej dziedzinie kooperacji przemysłowej musi jeszcze wiele zostać zrobione”. Termin „kooperacja przemysłowa” oznacza w rozumieniu Kisiele udzielenie przez Niemców tanich kredytów (aktualne oprocentowanie wynosi 9-11 proc., Polacy zakładają górną granicę do 44,5 proc. w stosunku rocznym), w oparciu o które PRL będzie mogła zainstalować nowe moce produkcyjne w formie np. wielkiej fabryki traktorów czy elektrowni, dostarczających następnie gotowy produkt, w danym wypadku traktory czy energię elektryczną, Niemcom Zachodnim, spłacając w ten sposób zaciągnięte kredyty. Nisko-oprocentowane kredyty to kluczowy problem we wszystkich negocjacjach polsko-niemieckich. Trudność leży w tym, że strona niemiecka okazuje mało gotowości pójścia na propozycje Warszawy, które z biegiem czasu stały się niemalże żądaniem.

W przededniu przyjazdu Scheela *Trybuna Ludu* (17. 10.), ogłosiła komentarz pióra swego eksperta od spraw niemieckich, Ryszarda Wojny, w którym czytamy co następuje:

„... jest również pragnieniem strony polskiej, by rozmowy z ministrem spraw zagranicznych NRF, przewodniczącym współzrządzającej partii liberalnej,

stanowią ważącą datę w procesie normalizacji stosunków między naszymi krajami. Tymczasem — nie ukrywamy tego — dotychczasowy stan rzeczy w tej dziedzinie znacznie odbiega od zapowiedzi i od klimatu zawartego w sformułowaniach układu z 7 grudnia 1970 roku.

Owszem, w niektórych dziedzinach normalizacji dokonano pewnych kroków naprzód. Zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne, zwiększyła się wymiana handlowa, wzrosła ilość turystów, naukowców, dziennikarzy odwiedzających drugi kraj (otrzymanie wizy przestało być problemem). Zapoczątkowany został dialog polityczny, w tym na szczeblu ministrów i wiceministrów obu ministerstw spraw zagranicznych. Jeśli nawet nie spowodowało to przełomu, nie zrodziło nowej jakości pokojowego współistnienia w stosunkach Polski i Niemieckiej Republiki Federalnej, to można i należy chyba w fakcie oficjalnej wizyty min. Scheela w Warszawie dostrzec możliwość otwarcia takiej perspektywy”.

Gerhard v. Glinski podaje w korespondencji w *Die Welt* co będzie przewidywanym przedmiotem rozmów ministra bońskiego z przedstawicielami PRL:

„Do punktów ciężkości obrad będą należały: udzielenie wolnego kredytu Polsce — mówi się o 1 miliardzie marek — oraz sprawa zahamowanego łączenia rodzin. [...] Rząd NRF wyraził podczas ostatnich konsultacji, na które przybył we wrześniu z Warszawy wiceminister spraw zagranicznych Czyrek, gotowość udzielenia wydatnej pomocy gospodarce polskiej w jej dążeniu do unowocześnienia. [...] Strona niemiecka jest zdecydowana gruntownie omówić temat łączenia rodzin, w związku z malejącą wyraźnie w ostatnich miesiącach liczbą przesiedleńców. [...] Podczas rozmów warszawskich strona niemiecka poruszy także sprawę reprezentacji instytucji zachodnio-berlińskich przez ambasadę (NRF) w Warszawie. Przewiduje się także rozmowy na temat poprawy polskiego bilansu handlowego, który w ostatnim roku wykazał w stosunku do NRF deficyt w wysokości 464 mln. marek<sup>1</sup>. Do dalszych tematów należeć będą sprawa układu kulturalnego oraz wymiany młodzieży”.

Mamy tu cały wachlarz spraw interesujących obie strony, z jednym zmiennym wyjątkiem: pismo niemieckie nie wymieniło sprawy odszkodowań dla polskich ofiar terroru hitlerowskiego, o której za to obszernie pisała prasa krajowa.

Nie należy zapominać, że problem odszkodowań jest nie tylko problemem finansowym czy gospodarczym. W kontekście procesu normalizacji stosunków polsko-niemieckich odgrywa on również ważną rolę polityczną i moralno-psychologiczną.

O sprawie odszkodowań niemieckie środki przekazu pisały, względnie mówiły, zawsze niechętnie. Idea zapłacenja Polakom odszkodowań za zbrodnie popełnione przez Niemców w czasie wojny, jak również za wyrządzone przez nich szkody jest przez wszystkich (z wyjątkiem może paru idealistów politycznych typu Wischniewskiego z SPD i Dichgansa z CDU oraz kół kościelnych) zdecydowanie odrzucana. Wystarczy też przypomnieć, jak ostro

1. Według szacunkowych ocen deficyt ten osiągnie w końcu 1973 roku sumę rzędu 1 mld. marek.

zareagował na odnośne sugestie podczas swego ostatniego pobytu w Jugosławii kanclerz Brandt.

Dla strony polskiej takim tematem tabu była sprawa przesiedlenia do Niemiec części etnicznych Niemców. Publiczne dyskusowanie tego tematu jest w Polsce nadal niedozwolone.

Z wymienionych wyżej przez *Die Welt* spraw dwie pierwsze mają charakter pierwszoplanowy: dla Polaków sprawa kredytów, dla Niemców sprawa przesiedleń. Wolne, czyli niezwiązane określonym celem kredyty oznaczają, że kraj przyjmujący je może nimi w dowolny sposób dysponować. Strona polska wyraziła wielokrotnie w licznych rozmowach zainteresowanie tanimi kredytami związanymi z określonym celem, np. budowa w oparciu o kredyty elektrowni dostarczającej następnie energii kredytodawcy. Ale oprócz kredytów tego typu rozmówcy polscy podkreślali zawsze z naciskiem, że zależy im jeszcze bardziej na tanich kredytach, którymi mogliby dysponować zgodnie z własną wolą, a nie z życzeniem strony udzielającej tych kredytów.

Jest rzeczą jasną, że dla Niemców udzielenie Polsce niskoprocentowanych i niezwiązanych określonym celem kredytów nie posiada absolutnie żadnej atrakcji ekonomicznej. Podnieśli to natychmiast przeciwnicy tego rodzaju kredytów, tj. w pierwszym rządzie opozycja parlamentarna CDU/CSU i koła gospodarcze. Przedstawiciele tych kół, jak również politycy chadeccy wypowiadali się na ten temat wielokrotnie w ostatnich miesiącach, szczególnie zaś w dniach poprzedzających wizytę Scheela w Warszawie. Mówiono o zamaskowanych odszkodowaniach i posługiwaniu się instrumentami obcymi gospodarce rynkowej. Hamburski liberalny tygodnik *Die Zeit*, bynajmniej nie ustosunkowany wrogo wobec polityki wschodniej Brandta, przeprowadził wyjątkowo trzeźwy rachunek:

„Minister spraw zagranicznych zaproponuje Polakom niezwiązany celem kredyt w wysokości 1 mld. marek. Dłużnik polski ma zapłacić odsetki w zniżonej dla niego wysokości, zaś różnice w porównaniu do normalnych odsetków rynkowych otrzyma niemiecki wierzyciel z niemieckiej kasy państwowej. Według przewidywanych obliczeń Helmut Schmidt (boński minister finansów, np. — A.J.Ch.) musiałby przez cały czas trwania tego zabiegu kredytowego dla Polski wypłacać z budżetu państwowego sumy w ogólnej wysokości 500 mln. marek” (*Die Zeit*, 19. 10).

W tymże artykule pióra Rudolfa Herlta, zatytułowanym: „Czy Polska ma być rzeczywiście odosobnionym wypadkiem?” czytamy w *Die Zeit* następujące słowa, pozwalające lepiej zrozumieć niechęć i opory dużej części niemieckiej opinii publicznej:

„Ale to co zgodzimy się przyznać Polsce stanie się przedmiotem pragnień Czechosłowacji, podstawą do żądań rumuńskich, zaś Rosjanie będą w tym widzieć powód do ubiegania się o należną im odpowiednio do ich wielkości część z niemieckiego rogu obfitości. Tego rozmiaru ładunek żądań nie byłby drobiazgiem dla budżetu państwa. Nic więc dziwnego, że Schmidt

walczył do ostatnich dni o możliwe do przyjęcia warunki i żądał od Scheela wiążącej obietnicy, że kredyt dla Polski 'nie pociągnie za sobą automatycznie żądań innych krajów'”.

W zakończeniu cytowanego artykułu *Die Zeit* porusza z otwartością, którą można by nazwać brutalną, sprawę traktowaną w prasie niemieckiej dotychczas na ogół z dużą oględnością:

„Rząd musi mieć możliwość forsowania celów politycznych uznanych za konieczne przy użyciu pieniędzy publicznych. Być może Niemców, którzy pragną być przesiedleni z Polski istotnie nie ściągniemy do nas inaczej, jak przez zaoferowanie Warszawie korzyści finansowych. Jeśli rząd federalny jest o tym przekonany, powinien zawrzeć z Warszawą układ, w którym ta transakcja zostanie dokładnie sformułowana: za udzielenie nisko oprocentowanego kredytu w wysokości 1 mld. marek, który przez rynek kapitałowy zostanie zrealizowany w pięciu ratach, Polska zezwala na wyjazd 300 tys. Niemców. Druga rata kredytu zostanie przekazana dopiero po przybyciu do Friedlandu (Obóz przejściowy dla repatriantów, n.p. — A.J.Ch.) 60 tys. Niemców. Każde inne rozwiązanie, zaciemniające rzeczywiste motywy, zachęca tylko drugą stronę do coraz to nowych żądań”.

Zostało tu wyrażone bez niedopowiedzeń o co chodzi jednej i drugiej stronie. Dla każdego jest jasne, że czołowy dyplomata niemiecki nie będzie mógł i chciał posługiwać się w rozmowach z przedstawicielami PRL tak brutalnym językiem. Scheel jest urodzonym optymistą, jednak przed podróżą do Warszawy ostrzeżał tych, którzy wzięli z nią zbyt wygórowane nadzieje. Rzeczywistość przewyższyła jego sceptycyzm. Pierwszy znak ostrzegawczy nastąpił bezpośrednio przed przybyciem do stolicy Polski. Strona reżymowa zakomunikowała niespodziewanie, że skreślony został z programu wyjazd Scheela nad jeziora mazurskie, gdzie miał on przez cały dzień konferować z Gierkiem. Spotkanie z I sekretarzem KC PZPR odbyło się w Warszawie i zostało zredukowane do paru godzin.

Opinia publiczna została bardzo szybko poinformowana, jakie były powody tego ostentacyjnego kroku: Polacy oczekiwali znacznie wyższego kredytu — według jednych informacji trzech, według innych nawet czterech miliardów marek. Minister Olszowski podkreślić miał w rozmowie z Scheelem, że rozstrzygnięcie kto ma wyjechać z Polski musi być traktowane jako suwerenny akt polskiej strony i winno zapaść przy uwzględnieniu optymalnych interesów obu stron.

Rządzący w Polsce komuniści są najwyraźniej zdania, że prędzej osiągną swe cele stosując wszelkie możliwe formy nacisku, żeby już nie powiedzieć szantażu, wobec Niemiec Zachodnich. Dotykamy tu aspektu humanitarnego stosunków polsko-niemieckich, konkretnie mówiąc zgody Warszawy na przesiedlenie do Niemiec części ludności województw opolskiego i olsztyńskiego. Jest to sprawa skomplikowana i nie pozbawiona elementów tragicznych. To co w Bonn określa się nazwą „łączenie rodzin” jest w szeregu wypadków akurat czymś przeciwnym — rozdieraniem

tych rodzin. Część członków rodzin pozostaje w Polsce, ponieważ wrosła w polskie życie, związała się licznymi węzłami z polską ludnością nie autochtoną. Niewątpliwie ogromna większość pragnie wyemigrować, ponieważ szuka lepszych warunków życia lub dusi się w systemie stworzonym przez komunistów. Rzuca się w oczy, że w etnicznie niemieckich rodzinach, które przybyły do NRF z Polski, właśnie młodsza generacja, znająca tylko polskie warunki życiowe, dąży przede wszystkim do przesiedlenia — bardziej aniżeli rodzice, którzy bądź co bądź dłuższy czas żyli pod niemiecką zwierzchnością państwową. Starsi motywują swoją decyzję wyjazdu chęcią pomocy dzieciom i wnukom w zbudowaniu lepszej przyszłości, która dla nich samych w roku 1945 umknęła z pola widzenia<sup>2</sup>. Temat to jednak zbyt obszerny, aby go tu szerzej rozwijać. Ograniczmy się do stwierdzenia, że Bonn zależy na tych ludziach, zaś Warszawa, aczkolwiek niechętnie, gotowa jest większości z nich pozwolić na wyjazd, ale na razie całą akcję powstrzymuje, ponieważ ludzie ci wyraźnie służyć mają jako środek przetargu.

W komunikacie o wizycie ministra spraw zagranicznych NRF, ogłoszonym w *Trybunie Ludu* (21. 10.) mowa jest jedynie o tym, że „strona polska wyraziła gotowość rozwiązania tej sprawy zgodnie z 'Informacją' w sposób kompleksowy w ciągu najbliższych trzech do pięciu lat”. Nie oznacza to zobowiązania do przesiedlenia określonej liczby osób. W sprawie kredytu komunikat świadomie unika konkretnych danych na temat jego wysokości. Mowa jest jedynie o tym, że „rząd Republiki Federalnej Niemiec wyraził gotowość umożliwienia udzielenia kredytu na korzystnych warunkach”. W ten sposób strona warszawska pragnęła zostawić sobie otwartą furtkę do dalszych przetargów. Minister Olszowski ma przybyć w tym celu „w niedługim czasie z wizytą roboczą do Bonn”. Dopiero po tej wizycie zadecyduje się, czy i kiedy odwiedzi w przyszłym roku Niemcy Zachodnie — Edward Gierek. Wprawdzie według komunikatu „jako termin tej wizyty bierze się pod uwagę pierwsze półrocze 1974 roku”, ale jest wiadome, że szef PZPR-u będzie gotów przybyć z wizytą nad Ren tylko wtedy, jeśli zagwarantowane będzie pomyślne załatwienie postulatów wysuwanych przez PRL, a jest ich sporo.

*Frankfurter Allgemeine Zeitung* (22. 10.) donosi w korespondencji z Warszawy, że strona polska jest skłonna zgodzić się na przesiedlenie 100-150 tys. osób. Jak wynika z informacji pochodzących z innych źródeł przy uwzględnianiu postulatów polskich odnośnie wysokości udzielonego przez Niemcy kredytu strona

2. Rząd NRF rozważa możliwość wypłacania rent b. obywatelom niemieckim, tym którzy chcą pozostać w PRL. Władzom warszawskim bardzo odpowiada tego rodzaju rozwiązanie. Na przeszkodzie jednak stoją pewne problemy natury prawnej, kwestia przeliczeń walutowych a także obawa władz PRL przed wysokością rent, które byłyby nieporównywalnie wyższe od polskich.

poliska byłaby nawet gotowa zrezygnować z odszkodowań<sup>3</sup> na rzecz ofiar zbrodni hitlerowskich i zaspokoić we własnym zakresie pretensje poszkodowanych.

Minister Scheel nie mógł swym rozmówcom polskim zaofiarować niczego ponad ów niewystarczający, zdaniem Warszawy, 1 miliard marek. „Jeden miliard albo w ogóle nic” — konkluduje cytowana korespondencja w *FAZ*. Nie wygląda na to, żeby zapowiedziana wizyta Olszewskiego mogła w takim postawieniu sprawy wiele zmienić.

Andrzej J. CHILECKI

Kolonia, 3 listopada 1973 r.

3. Rząd NRF zajmuje negatywne stanowisko w kwestii zadośćuczynienia za krzywdy opierając się na prawnych skutkach rezygnacji Polski z reparacji wojennych z roku 1953. Mimo tej oficjalnej postawy, niektóre osobistości ze świata politycznego w Bonn (H. Wehner, H. J. Wischniewski), stoją na stanowisku konieczności wypłacenia Polakom odszkodowań indywidualnych, których nie można utożsamiać z reperacjami wojennymi, jakie miał na względzie akt rezygnacji reżymu Bieruta w 1953 roku. Henryk Sokolak, dyr. departamentu zachodnio-europejskiego w warszawskim MSZ-cie: „Popelniliśmy wielki błąd, że poszliśmy tak daleko w akcie rezygnacji z 1953 roku”. W poufnych rozmowach przedstawiciele władz PRL wymieniają sumę rzędu 10 mld. marek, która ma stanowić odszkodowanie dla ok. 180 tys. żyjących b. więźniów obozów koncentracyjnych (*Wirtschaftswoche*, 28. 9.).

## “POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO  
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kubania i Donu, Stawropolu i Ukrainy, Orenburga i Syberii". Ważne jest jednak nie to, jak pracowali, ale ile zebrali kołchoźnicy i mieszkańcy miast, żołnierze i uczniowie — gdyż wszyscy byli w bieżącym roku zmobilizowani. I tu właśnie zaczynają się cuda. Cuda z cyframi. 9 października *Prawda* podała, że na Ukrainie był rekordowy urodzaj: ponad 45 milionów ton. Ale w tym samym artykule pisze się, że zasiano około 14 milionów hektarów i przeciętnie zebrano z hektara 28,2 cetnarów. Wystarczy zastosować proste działanie arytmetyczne — mnożenie — żeby otrzymać nie 45 milionów ton, a 39,5 milionów ton. 30 października takie same cuda z rezultatami zbiorów w RSFSR — ogólna ilość 126 milionów ton, a przemnożenie powierzchni siewnej przez urodzaj z hektara daje 119 milionów ton. Krótko mówiąc podsumowanie urodzaju w trzech zasadniczych rejonach (włączając Kazachstan) które dają 90% zbiorów w kraju, wynosi nie 198 milionów ton — tj. oficjalną cyfrę — a 185,5 milionów ton, a więc poniżej urodzaju z roku 1970.

Zabawa z cyframi była od dawna ulubioną zabawą sowieckiego kierownictwa, ale bodajże nigdy nie postępowali oni z tak bezwstydnym przekonaniem, że cyfry służą jedynie Politbiuru. Powód tych arytmetycznych manipulacji nie jest, jak dotąd, zbyt jasny. W najbliższym czasie Związek Sowiecki zakupi w USA kolejnych 6 z czymś milionów ton ziarna. Możliwe, że Breżniew liczy, że jego zwycięskie cyfry spowodują zniżkę ceny zboża na rynku światowym, co pozwoli krajowi socjalizmu w przyszłym roku zakupić zboże u kapitalistów. Jak by tam nie było potwierdza się słuszność tezy Marksa, głoszącego że statystyka to nikczemna broń dla oszukiwania klasy robotniczej. Teraz, co prawda, oszustwo prowadzi się na skalę planetarną.

Tylko zdumiewający nadmiar cyfr w sowieckiej prasie periodycznej ostatnich miesięcy zmusza mnie do zajęcia się nie lubianą od dzieciństwa arytmetyką. Ale, jak pisał znakomity rosyjski uczony Dymitrij Mendelejew: „Zawsze i w każdej sprawie, dla zorientowania się w zachodzącym w niej działaniu, niezmiernie ważny jest obrachunek”. Mendelejewa wspominam bynajmniej nie przypadkiem. Latem bieżącego roku statystyki sowieckie podały, że ludność w ZSSR osiągnęła 250 milionów. Nie było gazety, która nie opublikowałaby tej liczby: Jest nas 250 milionów! Można byłoby to zrozumieć gdyby nie to, że za każdym razem liczba ta była zaopatrzona stwierdzeniem, że tylko dzięki władzy sowieckiej i „czujnemu kierownictwu partii i rządu” udało się sowieckim narodom osiągnięcie takich rezultatów. I znów przytaczano liczby, stwierdzające że w carskiej Rosji na skutek „ucisku i nędzy” przyrost ludności nie zwiększał się, a dopiero teraz — pod słońcem byłej stalinowskiej konstytucji „rośnie i rozmnaża się” ze wszystkich sił. W 1939 roku przeprowadzono w Związku Sowieckim spis ludności. Gdy jego rezultaty pokazano Stalinowi — nie spodobały mu się, gdyż przyrost okazał się niezmiernie niski. Nic w tym dziwnego jeśli sobie przypomnieć krwawą łaźnię poprzednich lat — ale wódz narodów nakazał

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Bywało — że Stalina słuchały narody Związku Sowieckiego i światowy proletariatus, a potem cała miłująca pokój ludzkość; Chruszczowa słuchały narody świata; Breżniewa — jak podają pisma sowieckie — słuchała 25 października 1973 „cała planeta”. Jeśli ktoś wątpił, że świat wszedł już w erę kosmiczną, to teraz te wątpliwości zostały rozwiane. Leonid Breżniew wystąpił na Wszechświatowym Kongresie Pokoju z dwugodzinnym przemówieniem. Wszystko w nim było, jak należy: Przegląd sytuacji międzynarodowej. Oświadczenie, że ci którzy mówią o „liberalizacji” (cudzystowy w przemówieniu Breżniewa) „mają na celu likwidację realnych zdobyczy socjalizmu”, a ci którzy mówią o prawach człowieka nie podejrzewają, że takich praw jakie posiada jednostka w „kraju zwycięskiego socjalizmu” nie mają obywatele ani jednego państwa na świecie. Było więc wszystko jak trzeba, a ponadto spokojna pewność wodza najpotężniejszego państwa w świecie.

Nieoczekiwane okazało się tylko oświadczenie pod sam koniec przemówienia, kiedy to zmęczeni słuchacze drzemali czekając kiedy będzie można rozpocząć „burzliwe i długotrwałe oklaski”. Jakby mimochodem, jakby nie przywiązując do tego większego znaczenia, Breżniew powiedział, że w bieżącym roku zbiory w ZSSR będą wynosiły „ponad 250 milionów ton ziarna”. Oznacza to, że urodzaj przewyższy zeszłoroczny o 47 milionów ton, to jest o 28%. Oznacza to, że będzie pobity rekord z 1970 roku, w którym zebrano 186,8 milionów ton. Oznacza to wreszcie, że będą znacznie przekroczone zadania planu pięcioletniego: 197,4 milionów ton.

Jak wiadomo, Związek Sowiecki to „kraj o nieograniczonych możliwościach” i wszystko tam może się wydarzyć — nawet dobry urodzaj. Tym więcej, że do akcji żniwnej rzucono armię. Jak pisał *Komunist woоруженных сил*: „Żołnierze pracowali ofiarnie... Z wdzięcznością mówią o tej ogromnej pomocy rolnicy



likwidację wszystkich statystyków, przedstawiających niezada-  
walające liczby. Pamiętając o tym (a statystycy sowieccy tym  
bardziej pamiętają!) zająłem do znakomitej książki Mende-  
lejewa pt. „Dla poznania Rosji”, opublikowanej w 1906 roku.  
Wielki uczyony dał w niej futurologiczną — jakby to dziś powie-  
dziano — prognozę, zwłaszcza demograficznego rozwoju Rosji.  
Mendelejew opierał się na rocznym przyroście 2-ch milionów  
ludzi. (Ludność Rosji w roku 1900 liczyła 134,1 milionów). Sowiec-  
cy demografowie przyjmują za normalny przyrost roczny 3 mi-  
liony ludzi. Według obliczeń Mendelejewa, w 1963 roku ludność  
Rosji powinna być liczyć 308 milionów ludzi. Sowieccy demo-  
grafowie w roku 1973 narachowali zaledwie 250 milionów. Gdzież  
są pozostałe dziesiątki i dziesiątki milionów?

Metody wykorzystywane dla oszustw statystycznych nie zmie-  
niają się w Związku Sowieckim: liczby podczyszczą się, zmienia-  
ją, wykreśla i wpisuje się nowe. Zmieniają się natomiast metody do  
walki z ludźmi, które stają się coraz bardziej podstępne i  
okrutne.

8 czerwca 1973 roku przewodniczący prezydium Najwyższej  
Rady ZSSR, Mikołaj Podgorny, podpisał dekret dający milicji  
niezmiernie szerokie uprawnienia, jakich nie miała ona już od  
dwudziestu lat. Milicji polecono współpracować z KGB w walce  
z „antysocjalnymi elementami”, dano jej prawo wchodzenia do  
mieszkań prywatnych celem sprawdzania paszportów, polecono  
ochraniać ważne obiekty i pomniki (!) z bronią w rękach. Nie  
ma wątpliwości, że rozszerzono uprawnienia i innych „organów”.  
W sierpniu br. KGB przez 5 dni przesłuchiwało mieszkankę Le-  
ningradu, Elizawetę Woronianską, domagając się podania miej-  
sca gdzie był przechowywany rękopis książki Aleksandra Sołże-  
nicyna pt. „Archipelag Gułag”. Woronianska nie wytrzymała ba-  
dań, zeznała gdzie przechowywany jest rękopis i wróciwszy do  
domu popełniła samobójstwo. Można byłoby przypuszczać, że jest  
to wypadek odosobniony, gdyby nie to, że w październiku, w  
Moskwie, po wielodniowym przesłuchaniu popełnił samobójstwo  
Iłja Gabaj, jeden z czołowych przedstawicieli Ruchu Demokra-  
tycznego. Aresztowany po raz pierwszy w 1967 roku, odsiedziaw-  
szy dwa lata, był on ponownie aresztowany i skazany na 3 lata,  
ale i po uwolnieniu KGB nie pozostawiło go w spokoju. Nie jest  
wykluczone, że przodująca nauka sowiecka znalazła nowe metody  
oddziaływania na niepokornych. Zmusza się ich do zeznań, a po-  
tem uwalnia, by mogli popełnić samobójstwo i zwiększyć strach  
i zamieszanie w kręgach niezadowolonych.

Pomysłowość KGB nie ma granic. W tydzień po rozpoczęciu  
wojny na Bliskim Wschodzie Andriej Sacharow odpowiedział na  
zapytania libańskiego dziennikarza, akredytowanego w Moskwie.  
Uczony nie ukrywał swoich poglądów. Na zapytanie dziennika-

rza: Czy zamierza obecnie wystąpić z krytyką polityki rządu  
Izraela — Andriej Sacharow, ze zwykłą mu bezpośredniością  
odpowiedział: „Nie. Ten kraj, będący wcieleniem prawa do pań-  
stwowości narodu żydowskiego, prowadzi dziś walkę o swe  
istnienie z wielokrotnie przewyższającym go liczebnie i środka-  
mi materialnymi wrogiem otoczeniem. Wrogość w znacznej mie-  
rze jest podniecana bezsensowną polityką innych państw”.

Przeszło kilka dni, w mieszkaniu akademika zjawiło się dwóch  
Arabów, zamknęli drzwi, przecięli przewody telefoniczne i wy-  
ciągnąwszy broń oświadczyli, że są członkami terrorystycznej  
organizacji „Czarny wrzesień”. Zażądali od Sacharowa, aby na  
piśmie odzegał się od popierania Izraela: „Bierzcie ołówek i pisz-  
cie, mamy mało czasu”. Sacharow odmówił. Strasząc przez pół-  
torej godziny Sacharowa, jego żonę i syna — terroryści następnie  
wyszli.

Andriej Sacharow natychmiast zawiadomił milicję, która dziw-  
nie w niczym nie mogła mu pomóc. Jak dobrze wiadomo, uzbro-  
jeni terroryści tłumami całymi biegają po Moskwie i trudno  
z nimi dać sobie radę!

Aleksander Sołżenicyn napisał do Sacharowa list, w którym  
całą historię nazywa po imieniu: „... Biorąc pod uwagę totalny  
nadzór nad waszym telefonem, napad na was mógł mieć miejsce  
tylko za wiedzą i przy pomocy władz. Jest śmiesznie przypuszczać,  
że w warunkach w jakich żyjemy ci ludzie ośmieliliby się ruszyć  
małym palcem bez pozwolenia. No, ale to nowa metoda. Cóż  
można przeciwstawić wolnemu słowu wolnego człowieka? Nie  
mają argumentów, nic tu nie zdziałają raketami, a więzienie  
zaczerni tylko ich reputację. Pozostają najemni mordercy”.

Aleksander Sołżenicyn mówi: „Oni nie mają argumentów”.  
Ale starają się znaleźć argumenty. Tym razem argumenty prze-  
ciwko Sacharowowi i Sołżenicynowi postarał się znaleźć Roy  
Miedwiediew, autor niewydanej w Związku Sowieckim książki  
o Stalinie pt.: „Przed sądem historii”, książki o socjalistycznej  
demokracji, współautor — razem z A. Sacharowem i fizykiem  
Turczynem — listu do władz, protestującego przeciwko zamie-  
rzeniom rehabilitacji Stalina.

Roy Miedwiediew napisał długi artykuł pt. „Problem demo-  
kratyzacji i problem odprężenia” i rozdał go korespondentom  
zagranicznym 7 listopada, w dzień święta. Ten szczegół był nie-  
wątpliwie nie przypadkowy. Miedwiediew chciał podkreślić swoją  
wierność wobec ideałów Października, wobec ideałów Lenina.  
Autor artykułu polemizuje z sowieckimi dysydentami wymie-  
niając z nazwiska Sacharowa i Sołżenicyna, którzy chcą związać  
z polityką odprężenia nadzieje na liberalizację w Związku So-  
wieckim. Główną myśl Miedwiediew formułuje następująco:  
„Idee coraz bardziej i bardziej skrajne, propozycje coraz mniej  
i mniej konstruktywne”, które są tylko wygodne dla „reakcyj-  
nych elementów” w Politbiurze. Sacharow twierdzi, że „odpręże-

nie" nie daje niczego jeśli nie jest połączone z „liberalizacją reżymu”. Miedwiediew stwierdza: Odręczenie jest ważne samo w sobie.

Autor książki o stalinizmie daje do zrozumienia, że „na samej górze”, w Politbiurze, toczy się zacięta walka między „reakcjonistami” i „liberałami”. Czołowym liberałem jest Leonid Iljicz Breżniew, który przede wszystkim — według słów Miedwiediewa — przygotowuje „bardziej liberalną konstytucję”. (Cóż może być bardziej liberalnego od obecnej stalinowskiej konstytucji — trudno sobie wyobrazić). Zadaniem wszystkich dysydentów sowieckich jest pomaganie Breżniewowi, gdyż żadne reformy w Związku Sowieckim nie mogą być zrealizowane, jeśli nie przyjdą z góry. „Klasa robotnicza, chłopci, inteligencja — są pasywni, są ludźmi którzy całkowicie przywykli do milczenia i podporządkowywania się”. W tych warunkach liczyć można tylko na to, że „w kuluarach władzy” zwycięży „liberał Breżniew”.

Poglądy Roya Miedwiediewa nie zmieniły się. Wyłożył je już w swojej książce o Stalinie i w książce o socjalistycznej demokracji. Gustaw Herling-Grudziński najzupełniej słusznie pisał w *Kulturze*, że Miedwiediewa należy „umieścić gdzieś koło grupy wydającej *Politiczeskij Dniewnik*, grupy frondujących komunistów, zwolenników konstruktywnej krytyki. Można by jeszcze dodać, że Roy Miedwiediew był jednym z najaktywniejszych autorów *Politiczeskowo Dniewnika* i szereg swoich artykułów tego pisma zamieścić w całości w książce „O socjalistycznej demokracji”. W recenzji z *Politiczeskowo Dniewnika* pisałem (proszę wybaczyć cytowanie samego siebie): „Celem wszystkich przedkładanych przez nich (kierowników pisma) reform jest rozszerzenie i utwalenie państwa sowieckiego, rozszerzenie wpływów komunistycznych na całym świecie”.

W swym ostatnim artykule Roy Miedwiediew pozostaje na tychże samych pozycjach. Ale oskarżając Sacharowa i Sołżenicyna, że proszą Zachód o pomoc, przyłącza się obecnie do tych, którzy już od szeregu miesięcy prowadzą przeciwko nim bezlitosną kampanię. Oskarża ich w pierwszym rzędzie o to, że proszą o pomoc „nie lewicowe siły Zachodu, ale prawicowe”. W „Martwych Duszach” Gogola stangret Cziczikowa wymyśla wiejskiej babie, która nie może wskazać mu dokładnie drogi: „Ech, ty babo! Nie wiesz gdzie prawo, a gdzie lewo!” Dla Roya Miedwiediewa prawicowi — to Nixon, Pompidou, Heath, oraz Sacharow i Sołżenicyn, a lewicowi: Breżniew i te zachodnie pisma, których artykuły obzuczające błotem wszystkich którzy w Związku Sowieckim wymawiają słowo Wolność, zapełniają strony prasy sowieckiej.

Byłoby niesłuszne odmawiać R. Miedwiediewowi prawa do wolności słowa. W jego artykule znajdują się interesujące obserwacje, dotyczące sytuacji w Związku Sowieckim. Ale jego wezwania, aby siedzieć i czekać aż Breżniew łaskawie „odkręci śrubę”, dopóki „z góry” nie przyjdzie „liberalizacja”, nie można

ocenić inaczej jak kapitulacji przed siłą, przed potężnym państwem. Roy Miedwiediew ma prawo pisać i myśleć jak chce, ale publikowania tych myśli w obecnej chwili, imiennego oskarżenia Sacharowa i Sołżenicyna o to, że proszą o pomoc „prawicowe siły na Zachodzie” — nie można inaczej nazwać jak zdradą.

Gdyby potrzebny był dowód, że apele do Zachodu, okrzyki oburzenia z powodu przestępstw popełnianych przez władze dają jakikolwiek rezultat — to można by się powołać na wyniki Międzynarodowego Kongresu Psychiatrów który zakończył się w październiku w ZSSR. W przededniu zjazdu Związek amerykańskich psychiatrów wysłał do Moskwy, do Wszechzwiązkowego Związku Psychiatrów depeszę, wyrażającą zaniepokojenie z powodu oskarżeń, że kliniki psychiatryczne są wykorzystywane dla zamykania w nich opozycjonistów. Gdy amerykańscy psychiatrzy przyjechali — witający ich urzędnik gorzko się skarżył: „Wasza depesza przyczyniła nam masę kłopotów”. W rezultacie dwóch członków Kongresu, psychiatrzy angielski i szwedzki, mogli odwiedzić Piotra Grigorenko, a inni mogli zapoznać się z historią choroby sześciu ludzi przebywających w szpitalu psychiatrycznym.

Doktorzy, a specjalnie psychiatrzy, to ludzie ostrożni, a do tego i oni na pewno obawiają się, aby ich nie zaliczono do liczby „reakcjonistów”.

Prezes amerykańskiego Związku Psychiatrów, dr Alfred Friedman, nie zgodził się z dwoma — z sześciu — diagnozami. Procent solidny jeśli wziąć pod uwagę jak dokładnie przygotowano historię chorób. „Sowieccy obywatele — powiedział niezmiernie dyplomatycznie amerykański psychiatra — mogą być oskarżeni o przestępstwa i przymusowo zamykani w szpitalach psychiatrycznych w sytuacjach, w jakich w USA znaleziono by inne rozwiązania”. I dodał: „Powstało wrażenie, że odnoszą się tu cierpliwie do odchyłeń od normy do tej chwili, dopóki te odchylenia nie są związane z polityką”. Gen. Piotr Grigorenko odmówił odpowiedzi na zapytania zachodnich psychiatrów za pośrednictwem tłumacza dostarczonego przez władze. Zaproponował, by tłumaczyła jego żona. Psychiatra sowiecki, oprowadzający gości, nie tylko odrzucił tę prośbę jako bezcelne mieszanie się do działalności władz, ale oświadczył, że już sam fakt odmowy posługiwania się urzędowym tłumaczem jest najbardziej przekonującym symptomem paranoi. Doktor amerykański ostrożnie podkreślił, że nie wszyscy zachodni psychiatrzy się z tym zgadzają.

Można zrozumieć tych zachodnich psychiatrów, którzy przyznali rację swemu sowieckiemu koleędzie. Czyż psychicznie normalny człowiek będzie występował przeciwko władzy — próbował słowami prawdy zmienić politykę najpotężniejszego imperium, którego boi się cały świat? Odpowiedź jest jasna. Normalny człowiek będzie — jak Roy Miedwiediew — pokładał wszyst-

kie nadzieje we właścicielach Imperium. Ale tym niemniej sam fakt, że zachodnim psychiatrom dano możliwość zajrzenia do sowieckich klinik psychiatrycznych świadczy, że demaskowanie przestępstw władzy przed całym światem daje mimo wszystko jakieś rezultaty.

Przeszło zaledwie kilka miesięcy od wystąpień Sołżenicyna i Sacharowa i już władze w niektórych wypadkach zostały zmuszone do ustępstw. Przeszono zagłuszać niektóre zachodnie radiostacje. Otworzono szparę do klinik psychiatrycznych — teraz psychiatrzy w KGB będą musieli pomyśleć dwa razy nim wsadzą do nich ludzi niezadowolonych. W listopadzie moskiewski Sąd Apelacyjny przejrzał sprawę Andrieja Amalrika, autora książki „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984” i zamienił mu karę trzech lat łagru na trzy lata zsyłki. Amalrik zakończył swój poprzedni trzyletni wyrok w maju ubiegłego roku. Nie zwalnając go, władze na miejscu — w łagrze na Kołymie — skazały go na dalsze trzy lata. Samowola była tak rażąca, że można ją tylko wytłumaczyć chęcią zemsty, chęcią zniszczenia nieustraszonego historyka.

Przeciw nowemu wyrokowi na Amalrika, jak i przeciw zamknięciu dysydentów w szpitalach psychiatrycznych protestowała światowa opinia publiczna. Ale uwagę jej na te przestępstwa zwrócili Sołżenicyn i Sacharow i ci wszyscy, którzy nie boją się mówić prawdy. I można przypuszczać, że rząd sowiecki będzie starał się obecnie wykąsać swój liberalizm zwalnając tych więźniów z sowieckich łagrów i klinik, których nazwiska stały się znane na Zachodzie.

Niedawno, przypadkowo, wpadł mi w ręce numer *Kierunków* z 5 sierpnia br., w którym znalazłem przekład artykułu leninградzkiego profesora, Leonida Jerszowa, pt. „Nowe prace polskich rusycystów”. Artykuł ten był przedrukowany z pisma *Ruszkaja Litieratura*. Nie zamierzam dyskutować z Leonidem Jerszowem, który za najwybitniejszego polskiego rusycystę uważa Bazylego Białokozowicza, a tylko raz jeden — krytycznie — cytuje Ryszarda Przybylskiego, nie wspominając nawet o książkach Wiktora Woroszyłskiego. Nie zamierzam z nim dyskutować, jeśli tego nie zrobiły *Kierunki*. W artykule Jerszowa zwróciła moją uwagę dyskusja ze Zbigniewem Barańskim, pozytywnie oceniającym „Obraz Polaka” w prozie Izaaka Babla. Babel nie cieszy się uznaniem sowieckiej krytyki, która zarzuca mu niewrażliwość na tradycje narodowe. Specjalnie zarzuca mu się „niepełnowartościowość narodową” w książce pt. „Rosyjskie sowieckie opowiadania”, której jednym z autorów jest właśnie prof. Leonid Jerszow. O Babla też nie będę się sprzeczał — coś tam z narodowością nie wszystko u niego jest w porządku.

Odrzucając jednak portret Polaków w opowiadaniach Babla, Leonid Jerszow przeciwstawia mu inny obraz Polaków i wymienia trzy utwory, w których naród polski jest przedstawiony

„ciepło”, w „tonach pełnych dobrego i jasnego humoru”. Właśnie o tych „obrazach” chciałbym powiedzieć parę słów.

Przede wszystkim Leonid Jerszow wskazuje na „Opowiadania Nazara Iljicza, pana Siniebriuchowa” Michaiła Zoszczenki i twierdzi, że mówi się w tej książce „o pracującej Polsce i zwykłych Polakach”. Przykro mi powiedzieć, ale to wszystko wymyślił prof. Jerszow. Jedyłą „polską postacią” w tej książce Zoszczenki jest „prześliczna Polka, Wiktoria Kazimirowna”, żona jakiegoś to księcia, a potem kochanka praporszczyka Łapuszki-na. Drugim „polskim bohaterem” sowieckiej literatury jest — według Leonida Jerszowa — Józef z powieści A. Małyszki-na pt. „Upadek Daira”. Jeśli wziąć pod uwagę, że powieść Małyszki-na jest przykładem „powieści bez bohatera”, oraz to, że „Józef”, o którym nigdzie nie wspomniano że jest Polakiem (zgadnąć to można chyba po jego akcencie), wygłasza w powieści dosłownie dwa zdania: dwukrotnie powtarzając, że jest biedny i że jest gotów umrzeć za biednych i za Międzynarodówkę, trudno go uważać za uosobienie cech polskich. I wreszcie — trzeci bohater. Leonid Jerszow pisze o nim tak: „A czyż można zapomnieć bohatera innego wymiaru — postać z powieści „Złoty cielec” — Adama Koźlewicza, człowieka ze skomplikowaną biografią, ale wrzeszczącego swoją miłością do samochodów”. Powiedzmy z miejsca: skomplikowana biografia Adama Koźlewicza polega na tym, że przez większą część swego życia był złodziejem. Niewątpliwie miłość do samochodu jest ważną cechą charakteryzującą Polaka, ale mimo to trudno przyjąć że Adam Koźlewicz jest postacią lepiej charakteryzującą Polaków niż bohaterowie Babla.

Prof. Jerszow jest specjalistą od sowieckiej literatury satyrycznej, można więc jego rozważania potraktować jako dowcip. Ale polskiemu pisemu, przedrukowującemu taki artykuł, wypadłoby coś o nim powiedzieć.

Nazar Iljicz Siniebriuchow przebywał w Polsce podczas pierwszej wojny światowej. I twierdzi on: „Niewątpliwie, poznałem ten naród... To rzeczywiście jest naród już za bardzo dumny...”.

Wiele się zmieniło od tego czasu...

Adam KRUCZEK

## Litwa

W końcu ub. roku niejaki Łazinskas postawił w ciągu nocy kilkumetrowy krzyż przy szosie Kowno-Kłajpeda. Sprawcę umieszczono w lecznicy psychiatryczno-neurologicznej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Nowo-Wilejce.

Wobec ogłoszenia wypowiedzi jednego z biskupów, że nie ma żadnego ucisku, prasa emigracyjna przypomina, że gdy w roku 1947 ogłoszono wiernopoddające wypowiedzi arcybiskupa Reinisa, a ten ostatni wyjaśnił publicznie, w czasie kazania, że tekst oświadczenia zobaczył po raz pierwszy w gazetach — został on aresztowany i deportowany.

Głośno było o petycjach katolików litewskich przesłanych przed paru laty za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych z 17 tysiącami podpisów. Powoli dochodzą wieści z Litwy. Kronika Katolików Litewskich Nr 6 podaje teksty dwóch petycji z marca bież. roku również z kilkunastu tysiącami podpisów. Jedna jest skierowana do Pełnomocnika Rady dla spraw religii, wierzących Litwy A. Tumenasa.

„1 marca 1973 w czasopiśmie *Kraj Ojczysty* (rozsyłanym emigrantom) czytamy oświadczenie biskupa R. Kriksciunasa:

„Katolicy na Litwie wydają potrzebne im książki. Niedawno wydrukowaliśmy 'Rzymsko-Katolicką Liturgię dla Biskupów Litwy', 'Modlitewnik', 'Uchwały Zebrania Watykan II', oraz inne książki. Jeszcze pachnie farbą drukarską bardzo ważne wydawnictwo 'Nowy Testament Pisma Świętego'”.

My wierzący chcieliśmy nabyć Pismo Święte. Niestety miejscowi księża wyjaśnili nam, że otrzymali tylko po kilka czy kilkanaście egzemplarzy — mniej więcej w proporcji jedna książka na 300 wiernych.

Jeżeli katolicy litewscy wydają potrzebne im książki, to dlaczego w okresie powojennym nie została wydana najpotrzebniejsza książka — katechizm. Dlaczego Pisma Świętego wydano jedynie 10 tysięcy egzemplarzy? Dlaczego na własne oczy nie widzieliśmy „Uchwał Zebrania Watykan II”, nie mogliśmy dostać książeczki do nabożeństwa, którą powinien posiadać każdy katolik? Mało tego, dlaczego nie mogąc dostać Pisma Świętego, słyszymy, że ktoś tysiące egzemplarzy wysyła Litwinom mieszkającym za granicą? Czyż mamy prosić krewnych za granicą by nam przysyłali Pismo Święte wydane tu na Litwie?

Ponieważ wyjaśniło się, że książki religijne drukowane w małych nakładach wydają nie katolicy a, na prośbę biskupa za pośrednictwem Waszym — Pełnomocnika — władze sowieckie — prosimy o zezwolenie wydrukowania nowego nakładu Pisma Świętego i Modlitewnika, aby wystarczyło każdej katolickiej rodzinie chociaż po jednym egzemplarzu. Poza tym prosimy o pozwolenie wydania obszernego katechizmu. W przeciwnym razie będzie nam trudno uwierzyć twierdzeniom o wydawaniu najpotrzebniejszych książek katolickich w sowieckiej Litwie.

1973 roku w marcu (16498 podpisów)”.

Drugie oświadczenie rodziców i dzieci skierowane jest do Ministerstwa Oświaty Litewskiej Republiki Sowieckiej:

„My uczniowie i rodzice dobrze rozumiejąc zadania i obowiązki szkolnictwa względem młodzieży, często doznajemy zawodu, gdyż uczniom daje się nie to co trzeba.

W podręczniku 'Nauki Społeczne' czytamy: 'Patriotyzm jest jednym z najlepszych wrodzonych przejawów... Wyraża się on miłością do kraju w którym urodziliśmy się i wyrosli, miłością do jego historii'... Jak mogą uczniowie zaznajomić się z przeszłością Litwy jeżeli Historia Litewskiej SSR J. Jurginisa, zawierając zaledwie sto stron, jest jednostronna, a A. Gaigalaite także historia (140 stron) omawia jedynie działalność ruchu rewolucyjnego oraz okres powojenny? Tymczasem Historia Związku Sowieckiego liczy cztery tomy, razem 650 stron. Dlatego też uczniowie wiedzą dużo o Pugaczowie, Piotrze I, i innych, a prawie nic nie wiedzą o czcigodnej przeszłości Litwy?

Największym złem jest wpajanie uczniom ateizmu przemocą. Mówi się, że religia jest w Związku Sowieckim sprawą prywatną, że konstytucja Związku gwarantuje wolność sumienia — praktyka w życiu świadczy co innego.

Religijni uczniowie często są ośmieszani, łajani za praktyki religijne. Ich karykaturami są 'ozdabiane' szkolne gazetki ściennne. Odbiera się uczniom medaliki i krzyżyki. Zdarza się że nauczyciele zabierają religijne dzieci z kościoła, np. w czasie pogrzebu.

Religijni uczniowie są zmuszani do wypowiedzi ustnych i piśmiennych sprzecznych z ich przekonaniami, lub do rysowania anty-religijnych karykatur. Odmawiający tej dwulicowości dostają dwójki i jedynki. Nauczyciele zmuszają swych religijnych wychowanków do wstępowania do ateistycznych organizacji i kółek, i nakłaniają do dwulicowości. Część nauczycieli wykorzystuje swe wykłady dla ateistycznej propagandy. Ateizm jest głoszony w szkole i poza nią, nawet stosując oszustwa np. pokazując 'cuda', ośmieszając lub złośliwie przeinaczając zasady wiary katolickiej.

Czasami stopnie ze sprawowania są obniżane jedynie za uczęszczanie do kościoła. Do charakterystyki (kartoteki) wpisywana jest religia, co uczniom utrudnia dostęp do szkół wyższych.

Uczniowie muszą często odpowiadać w ankietach na pytania dotyczące wierzeń religijnych. Nie rozumiemy dlaczego przemocą wdzierać się do sumień? Wielu uczniów nie chcąc ujawniać swych przekonań odpowiada na te pytania niezgodnie z prawdą. Po co to jest potrzebne? Dosłownie dla kogo jest to pożyteczne? Wspomnieliśmy tylko niektóre wypadki gwałcenia sumień uczniów, lecz i te zmuszają do myślenia, że władzy sowieckiej nie tyle zależy na nauczaniu i wychowywaniu, co na szerszeniu bezbożnictwa.

Takie 'wychowanie' podrywa autorytet szkoły, a uczniom wyrządza szkodę nie do naprawienia.

Nadojadło nam już przymusowe narzucanie bezbożnictwa i to wywołuje reakcję — odwracanie się od przemocą narzucanych idei. Dlaczego tak się dzieje w szkolnictwie, skoro konstytucja głosi wolność sumienia?

Dlatego też prosimy Ministerstwo oświaty o ukrócenie tych szkodliwych objawów w szkołach, aby nikt nie krępował wolności sumienia uczniów.

1973 roku w marcu (14.284 podpisy — 25 % uczniów)".

Odkryte przed kilku laty w Suwalszczyźnie pokłady ropy naftowej okazały się zbyt skąpe do uruchomienia produkcji. Ostatnio znaleziono nieco większe na Zmudzi. Przewidywane jest uruchomienie produkcji po zakończeniu budowy wielkiej rafinerii w Możejkach.

Z okazji wielkich uroczystości 650-lecia założenia Wilna, obywatelstwo honorowe tego miasta otrzymał marszałek Bagramian. Nie można tu nawet zarzucać rusyfikacji, bo nazwisko jest typowo ormiańskie.

Zmarły ostatnio E. Łaucevicius poświęcił się historii papiernictwa i złotnictwa w W. Księstwie Litewskim i ułożył katalog próbek papierów z uwzględnieniem znaków wodnych, używanych do dokumentów w różnych okresach. Kto by chciał posługiwać się sfabrykowanymi nadaniami starodawnych tytułów — zaleca się ostrożność.

### Emigracja

W listopadzie ub. roku powstała w Nowym Jorku „Baltic World Conference” dla wspólnej akcji politycznej ośrodków emigracji estońskiej, litewskiej i łotewskiej. Działalność ta zaznaczyła się przede wszystkim akcją propagandową w związku z konferencją w Helsinkach.

Znane są wypadki rozdawania materiałów propagandowych uczestnikom konferencji, kłopotliwe pytania podczas konferencji prasowej, areszt wysłanników Bałtów i ich uwolnienie na interwencję amerykańskiego sekretarza stanu. Przypomniało to światu, że sprawa trzech republik bałtyckich nadal istnieje, i ich los nie jest prawnie przypieczętowany.

Po konferencji Departament Stanu zapewnił litewskiego Chargé d'affaires w Waszyngtonie, że sytuacja nie uległa zmianie i inkorporacja państw bałtyckich nie jest uznawana przez USA.

Obecnie na konferencji w Genewie Litwini mają swego obserwatora, występującego jako korespondent prasy litewsko-amerykańskiej.

Litwini nie mają rządu na emigracji, ale mają najzupełniej legalnie wyznaczonego Szefa Dyplomacji (b. ministra spraw zagranicznych St. Łozoraitisa (liczy on 75 lat), zamieszkałego w Rzymie. Podlega mu kilkanaście placówek uznawanych raczej nieoficjalnie, jako przedstawicielstwa dyplomatyczne czy też częścię konsularne. A więc w Waszyngtonie i Montevideo — chargé d'affaires i konsulaty lub nieoficjalne przedstawicielstwa w Chicago, Nowym Jorku, Los Angeles, Bogocie, Bonn, Paryżu, Londynie i Watykanie.

Akcję polityczną prowadzi Nacz. Komitet Wyzwolenia Litwy (VLIK) na którego czele stoi dr Vilunas (50 lat), a poza tym istnieje Światowa Wspólnota Litewska (Zrzeszenie Uchodźców). Na początku września br. odbył się czwarty sejm tej organizacji, przy udziale licznych delegatów z USA, Argentyny, Australii, Brazylii, Kanady, Kolumbii, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Wenezueli, i Nowej Zelandii.

Emigracja stawia sobie zadania: dążenie do odzyskania niepodległości, utrzymanie litewskości, krzewienie kultury i utrzymanie jedności.

Spośród wielu uchwał warto wymienić koordynację akcji między Wspólnotą, Dyplomacją, VLIKiem (również w dziedzinie finansowej), przyjęcie w skład Wspólnoty nowo-powstałego Światowego Związku Młodzieży Litewskiej; informowanie wolnego świata o ucisku na Litwie i informowanie kraju o rozwoju kulturalnym na Zachodzie i o osiągnięciach emigracji (m.in. zabieganie o litewskie audycje we „Free Europe”), utrzymywanie kontaktów z rodakami w kraju, zwłaszcza między młodzieżą.

W dziedzinie kulturalnej sejm stwierdza, że twórczość artystyczna i naukowa jest w kraju prawie uniemożliwiona (względnie bardzo skrzepowana), wyraża uznanie tym twórcom i naukowcom, którzy zdołali przezwyciężyć piętzące się trudności, i zaleca utrzymywanie kontaktów i wymianę osiągnięć w tych dziedzinach między rodakami w kraju i na emigracji.

Jest to raczej *novum*, bo dotychczas kontakty w dziedzinie kulturalnej i naukowej z komunistyczną Litwą były bardzo źle widziane.

W dziedzinie religijnej sejm zaleca, by w litewskich parafiach, chociaż jedna msza była odprawiana w języku litewskim, a w krajach gdzie tych parafii jest więcej, aby wyłoniono zwierzchnictwo dla koordynowania działalności. Z praktycznych zaleceń dla emigracji warto wymienić nie tylko grupowanie się wokół ośrodków przez współdziałanie, ale i osiedlanie się w większych skupieniach narodowych, oraz wymianę kulturalną, wizyty inżynierów, zespołów tanecznych, sportowców itd. między skupis-

kami litewskimi w poszczególnych krajach osiedlenia. To ostatnie zalecenie może być czymś nowym dla polskiego czytelnika, ale Litwini od dawna stosują międzypaństwowe zawody koszykówki, tury zespołów tanecznych itd.

Aczkolwiek w tekście uchwał nie wymieniona, w przemówieniach wyrażona była troska o utrzymanie litewkości również tych, którzy już zapomnieli języka ojczystego, oraz o wpajanie młodemu przywiązania do litewkości, a nie miłości do starego kraju, którego nigdy nie widzieli.

W stosunkach z rodakami z kraju należy polegać na własnym uświadomieniu, sumieniu i poczuciu godności narodowej.

Między liniami daje się wyczuć taki bieg myśli: Cel — odzyskanie niepodległości jest daleki; dążąc do niego przede wszystkim należy wytrwać. Litwin wyrosły na emigracji nie ulegnie zarazie komunistycznej, natomiast wielu się wynarodowi.

Należy przy tym pamiętać, że emigracja litewska, w odróżnieniu od polskiej, od prawie dwudziestu lat nie ma dopływu nowych emigrantów.

Z dziedziny kulturalnej można odnotować iż rok 1975 będzie obchodzony, jako rok Czurlionisa — w setną rocznicę jego urodzin.

Litwini czasem umieją chodzić koło swoich spraw. Australijczyk, związany z niedawno powstałym w Sydney instytutem sztuki współczesnej, powiedział pół żartem, że spośród wszystkich malarzy, instytut ma największą kolekcję przezroczy dotyczących właśnie twórczości Czurlionisa.

Zmarły ostatnio sławny rzeźbiarz J. Lipschitz uważał się za Litwina żydowskiego pochodzenia.

Córka L. Tołstoja, żyjąca w Nowym Jorku i przechowująca archiwum swego ojca, oświadczyła litewskiemu historykowi, że L. Tołstoj twierdził iż jest litewskiego pochodzenia, że jego prooplasta zwał się niegdyś Indris.

W czerwcu bież. roku odbyła się w Sztokholmie konferencja Bałtystów, z udziałem naukowców z 12 krajów. Spośród 70 wykładów, 11 poświęcono Litwie. Kilka było z dziedziny językoznawstwa, a poza tym poruszano najrozmaitsze tematy: „Rola litewskich emigrantów ze Szkocji w czasie rewolucji rosyjskiej” (wygłosił Szkot), „Bałtowie w twórczości Sołżenicyna”, „Stosunki szwedzko-litewskie za Gustawa III”, „Sytuacja kościoła na Litwie w roku 1940”, „Bałtystyka na Węgrzech”, „O Bałtach w archiwach emigracji rosyjskiej”.

Wśród uczestników było kilku Amerykanów, Szkot, Węgier, Niemiec, Szwed oraz po kilku Litwinów, Łotyszów i Estończyków.

W Chicago istnieje Instytut Lituanistyki i ma powstać biblioteka wspominków, apelująca o nadsyłanie wspomnień, pamiętników itd.

W prasie australijskiej ukazało się zawiadomienie, że w Alice Springs odbędzie się przedstawienie sztuki St. Witkiewicza. Premiera odbędzie się w małym miasteczku, zamieszkałym w połowie przez czarnych tubylców, odległym o tysiące kilometrów pustyni od najbliższego miasta, a odwiedzanym przez bogatych turystów. Dlaczego w Australii — zawiadomienie wyjaśnia: „Witkacy jest jedynym wybitnym europejskim dramaturgiem, który pisał o Australii” (Owoc jego podróży w towarzystwie antropologa Bronisława Malinowskiego).

Ale dlaczego wystawia sztukę litewski emigrant, Algis Butavičius (młody ale już znany reżyser australijski)? Może sentyment do współziomka? Bowiem gniazda rodzinne i miejsca urodzenia obojga rodziców Witkacego, to powiat szawelski na Żmudzi.

W związku z twierdzeniem, powtarzanym z isticie litewskim uporem, że red. Giedroyc winien się pisać Giedraitis, warto przypomnieć, że Litwini amerykańscy w roku 1900 wnieśli petycję o kanonizację biskupa M. Giedraitisa — co po dziś dzień nie dało rezultatu. Może w starych archiwach Watykanu jest dokumentacja dotycząca biskupa Giedroycia, a nie można się doszukać Giedraitisa i stąd zwłoka w rozpatrzeniu sprawy?

E. ŻAGIELL

Białostockie Wydawnictwo Prasowe rozpoczęło w br. wydawanie kwartalnika w języku litewskim *Auszra*. Kwartalnik poświęcony jest życiu społeczno-kulturalnemu środowiska litewskiego w Polsce, historii narodu litewskiego i stosunkom polsko-litewskim. Kwartalnik zamieszcza również poradnik językowy. Prenumeraty zagraniczne przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Warszawa, ul. Wronia 23. Adres kwartalnika: 16-500 Sejny, ul. Zawadzkiego 15.

## Kronika czeska i słowacka

*Dyskusja prawnicza...*

Po literatach, kompozytorach, artystach itp. przyszła kolej na prawników. Nie na tych, co to w urzędach prokuratorskich, w sądach i innych instytucjach typu represyjnego stosują „linię partii” — ci nie mieli nigdy żadnych

skrupułów natury moralno-teoretycznej, być może z powodu nader nikłych wiadomości z dziedziny teorii prawa — lecz na tych, co to na uniwersytetach mają głosić wyższość prawa socjalistycznego nad kapitalistycznym. Dlatego na pierwszy ogień idą teorie o „czystej” nauce prawniczej, to znaczy takiej, która nie jest zależna od aktualnej, tzn. równie chwiejnej „generalnej linii partii”. Taka jest pierwsza teza „analizy ideowego rozwoju ogólnej teorii państwa i prawa” opublikowanej na łamach czasopisma *Právník*. „Analiza” zajmuje się opublikowanym jeszcze w roku 1967 podręcznikiem teorii państwa i prawa i stwierdza, że podręcznik ten problematyce społeczno-politycznych (klasowych) podstaw państwa i prawa poświęca „jedynie dwie strony”, co oczywiście jest za mało. Następny zarzut, to „abstrakcyjność”, to znaczy w oderwaniu od aktualnych potrzeb lansuje się zasady interpretacji prawa, pozbawioną „klasowego” uzasadnienia teorię niezawisłości sędziów itp. „Analiza” atakuje dalej „negatywistyczne odrzucanie dotychczasowego rozwoju państwa socjalistycznego”, co oczywiście jest na rękę jedynie rewizjonistom wszelkiej maści. Najistotniejsze jednak w całej tej dyskusji (powtarzamy: przedmiotem krytyki jest podręcznik wydany w roku 1967) jest zaatakowanie pojmowanej przez teoretyków prawa koncepcji suwerenności państwa. Autorzy podręcznika pominęli bowiem pewien istotny element — mianowicie to, że z „punktu widzenia suwerenności decydującym momentem jest dyktatura proletariatu i socjalistyczny internacjonalizm”. Jest to zatem — *post factum* — zarzucanie autorem tego, że nie przewidzieli że w dwa lata po tym wyskoczy ze swą teorią Breżniew... Autorzy podręcznika skoncentrowali się bowiem na zewnętrznej stronie suwerenności, formułując ją zgodnie z ówczesnymi sowieckimi teoriami. „Analiza” wytyka im ponadto, że w formułowaniu tzw. suwerenności wewnętrznej pominęli milczeniem problem dyktatury proletariatu, czyli przodującej roli partii. Cóż, na polu teorii państwa i prawa wyrastają nowe pojęcia, które tak odbiegają od tego, co do niedawna uważane było za normy powszechnie obowiązujące...

Miroslav Holub, pisarz i poeta, opublikował na łamach dziennika *Práce* list stanowiący „samokrytykę” jego dotychczasowej działalności. Holub odrzuca i potępia swą działalność „w latach kryzysu”, przede wszystkim zaś atakuje emigrację, ale nie zapomina również o takich nazwiskach, jak Ivan Klima, Ludvík Vaculík czy Pavel Kohout. Trudno ustalić bezpośrednie powody wystąpienia Holuba — nacisk ze strony reżymu jest z pewnością silny — ale mimo to pozostaje on w wyraźnym kontraście w porównaniu ze wspomnianym wyżej Pavlem Kohoutem, który udzielił wywiadu telewizji austriackiej, ostro krytykując panujące w Czechosłowacji stosunki, w szczególności na odcinku literatury. Kohout stwierdził, iż z socjalizmem czuje się związany, przeciwny jest „kapitalistycznym społeczeństwom konsumpcyjnym, które pogłębiają wyobcowanie i poniżenie człowieka”. Niemniej jednak podkreślił, iż nikt nie może mieć monopolu na głoszenie prawdy, zaś Czechi mają stare tradycje kacerskie. Kohout solidaryzuje się z tymi, którzy ostrzegają przed polityką odprężenia w Europie bez wolności w krajach Europy Wschodniej i podkreśla, że jednostronne odprężenie niewiele jest warte.

Teraz, po wywiadzie Kohouta zrozumiałe stają się ataki reżymu czechosłowackiego na Austrię, której zarzuca się nawet uprawianie szpiegostwa przeciw Czechosłowacji. Należy pamiętać, że telewizja austriacka odbierana jest w wielu dzielnicach Czechosłowacji i że władze uznały ją — obok tradycyjnej już — Free Europe — za istotne ogniwo w „dywersji ideologicznej”.

Karol SZWEDOWICZ

**Kraj**

## List « Kultury » do literatów w Kraju

Począwszy od maja bież. roku w warszawskim *Miesięczniku Literackim*\* ukazuje się co miesiąc publikacja zatytułowana „Gombrowicz podsłuchany”. Redakcja zaprezentowała ją jako „zapisy” z rozmów z Gombrowiczem, dokonane przez argentyńskiego dziennikarza Marcos de Quebrado. „Tłumaczenia” (oraz „doboru” i „montażu”) tych „zapisów” podjął się Maciej Szybist.

Cała rzecz ma charakter pirackiej mistyfikacji bez precedensu: Gombrowicz „podsłuchany” jest w niej po prostu Gombrowiczem okradzionym i ocenianym. Można wątpić czy w ogóle istnieje argentyński dziennikarz Marcos de Quebrado, istnieje natomiast Maciej Szybist, któremu redakcja *Miesięcznika Literackiego* powierzyła „przekład” i „przyrządzenie” nieistniejących zapisów z nieistniejących rozmów Gombrowicza z kimś kogo nazwano Marcos de Quebrado. P. Szybist wywiązał się z zadania za pomocą nożyc buszujących po trzech tomach *Dziennika* i pióra, które między wyciętymi z kontekstu fragmentami dopisało coś w rodzaju „słowa wiążącego”. Ślady nożyc widać również w obrębie dobranych fragmentów, gdy chodzi o szczególnie „nieortodoksyjne” myśli Gombrowicza.

Nie wykluczone wcale, że po ukończeniu druku serii „Gombrowicz podsłuchany” na łamach *Miesięcznika Literackiego*, autorzy pirackiej mistyfikacji planują wydanie wszystkich odcinków w książce.

\* *Miesięcznik Literacki* redagowany jest przez zespół: St. Witold Bałicki, Anna Bukowska (zastępca redaktora naczelnego), Jan Danecki, Marian Drozdowski, Jerzy Kossak, Henryk Kurta, Andrzej Kuśniewicz (zastępca redaktora naczelnego), Andrzej Lam (zastępca redaktora naczelnego), Andrzej Mencwel, Edmund Osmańczyk, Marian Piechal, Marek Siemek, Jerzy Skórnicki, Włodzimierz Sokorski (redaktor naczelny), Jerzy Stajuda, Władysław Terlecki, Andrzej Wasilewski, Andrzej Wasilkowski, Aleksander Wiczorkowski (sekretarz redakcji), Jan Wołoskiuk.

Tak wygląda ukartowana w Warszawie operacja „przywrócenia” Gombrowicza Polsce Ludowej, „zaszczepienia” go w kraju. Posługując się mało chwalebny procederem „zaszczepia się” dowolnie przystrzyżoną i okaleczoną gałąź jego trzynomowego dzieła, które przed śmiercią obwarował wyraźnym i kategorycznym warunkiem: *gdyby chciano w Polsce drukować moje utwory najpierw musi ukazać się Dziennik w integralnej treści: albo wszystko — albo nic.*

Jako wydawca „Dzieł Zebranych” Gombrowicza i posiadacz jego praw autorskich na język polski — niezależnie od zamiaru ścigania tej operacji na drodze sądowej — zwracam się do Zarządu Głównego ZLP i do Zarządu Polskiego Oddziału PEN-KLUBU:

Gombrowicz jest w Polsce i na świecie pisarzem wysoko cenionym, w Polsce uważa się go za chlubę naszej współczesnej literatury. Nie ulega wątpliwości, że ten wybitny i do końca bezkompromisowy artysta zasługuje by w obronie nienaruszalności jego dorobku pisarskiego stanęły dwie najpoważniejsze organizacje pisarskie w kraju. Kiedy w całym „bloku” — zwłaszcza w Rosji — wzmaga się walka o godność literatury, należy oczekiwać, że kierownictwa ZLP i PEN-KLUBU zaprotestują przeciwko haniebnym zabiegom jakim w Warszawie poddaje się twórczość największego polskiego pisarza ostatnich dziesięcioleci.

Gdyby jednak Zarząd Główny ZLP i Zarząd PEN-KLUBU zlekcewały swój elementarny obowiązek — inspiratorzy i wykonawca operacji „Gombrowicz okradziony i ocenzurowany”, tj. zespół redakcyjny i współpracownicy *Miesięcznika Literackiego* powinni dobitnie odczuć co o nich myśli ogół pisarzy polskich.

Jerzy GIEDROYC  
Redaktor Kultury

List ten został wysłany 9 listopada 1973 do Zarządu Polskiego Oddziału PEN-Klubu w Warszawie i do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w Warszawie.

## Glossy do historii współczesnej

Dominika Morawskiego „Korespondencja z Rzymu” (*Kultura* nr 5/308, 1973) stała się przedmiotem ostrej polemiki, choć sta-

nowiska krytykujących bynajmniej nie są uzgodnione. *Na Antenie* stawia pod znakiem wiarygodności wywiadu, a przy najmniej to, czy osoba go udzielająca była upoważniona do zabierania głosu w imieniu episkopatu, zaś organ organizacji Żydów Polskich w Sztokholmie, *Przegląd*, odwrotnie, wyciąga wniosek że stanowisko w sprawie żydowskiej wyłuszczone w wywiadzie nie tylko jest stanowiskiem episkopatu ale i redaktora *Kultury*.

Nie wiem nic o źródłach informacji Morawskiego i nie zamierzam na ten temat dyskutować.

Ponieważ wiem, że nic nie jest równie źle udokumentowane jak dzieje współczesne, ponieważ często widzę jak idzie w niepamięć prawda a utrwała się dezinformacja, przeto, dość odległy od Kościoła katolickiego, czuję się w obowiązku dać świadectwo temu co wiem w poruszanej materii.

A więc: Kampania antysemicka — lub jak woli respondent Morawskiego: antysyjonistyczna — zaczęła się, jak wiadomo, latem 1967 roku, w toku wojny sześciodniowej. Władze PRL (vide niedawny wywiad Gierka dla prasy francuskiej) zwykły powtarzać, że kampania władz była reakcją na wyrazy sympatii ludności żydowskiej dla Izraela. Otóż władze o wiele więcej były poirytowane wyrazami sympatii społeczeństwa polskiego, odczuwającego powszechną radość z powodu tego, że „nasi Żydzi biją ich Arabów”.

Gdy zaczęła się kampania antysemicka ks. kardynał Wyszyński zareagował na nią szybko i drastycznie: W ostatnich dniach czerwca 1967 roku w kościele św. Anny odprawił nabożeństwo dziękczynne z powodu zwycięstwa oręża Izraela. Kościół św. Anny znajduje się na placu Zamkowym, więc wieść o mającym nastąpić nabożeństwie szybko dotarła do kół intelektualnych i studentów. Kościół był przepełniony. Nie tylko zresztą wiernymi. Na nabożeństwie była obecna również pewna ilość dość zresztą przypadkowo poinformowanych Żydów, nie reprezentujących żadnych organizacji którzy, zwiędzawszy się w ostatniej chwili, zapragnęli wziąć w nabożeństwie udział. To szczególnie zirytowało władze — Żydzi w katolickich manifestacjach patriotycznych irytowali już Rosjan przed ponad stu laty, przed Powstaniem Styczniowym.

Jeden z obecnych, Artur Fiszer, wręczył Kardynałowi kwiaty wraz z serdecznym podziękowaniem. Po kilku dniach Fiszer otrzymał od Kardynała obszerny, jeśli mnie pamięć nie myli to czterostronicowy list, z wyłuszczeniem poglądów na antysemityzm w ogóle, a na akcję antysemicką władz PRL w szczególności. Był to list przeznaczony nie tylko dla adresata — szedł pocztą i był cenzurowany, był więc w jakimś stopniu przeznaczony i dla „wiadomości” władz. Artur Fiszer zapoznał mnie z treścią bodajże w dzień po otrzymaniu listu. Ponieważ adresat listu jest teraz w Izraelu i mam nadzieję, że list ten opublikuje, przeto nie chciałbym cytować go na podstawie zawodnej pamięci. Stwier-



dzę tylko, że list ten zarówno w ustaleniach jak i w tenorze różnił się zasadniczo od „Korespondencji z Rzymu”.

Dodam również, że aczkolwiek Fiszera trudno nazwać byłoby prominentem reżymu, należał jednak do kategorii, której respondent Morawskiego zdecydowanie nie lubi: wywodzący się z żydowskiej biedy komunista, skazany przed wojną kilkakrotnie na długoletnie więzienie, w czasie wojny oficer polityczny, później publicysta i pisarz, o czym w kurii metropolitalnej na Miodowej doskonale wiedziano. Kardynał zwrócił się do Fiszera chyba nie *mimo to*, ale *właśnie dlatego*. Jako szczegół mniejszego znaczenia dodam, że z powodu udziału w nabożeństwie i korespondencji z Prymasem Fiszer został usunięty z PZPR, czego ostatecznie sam chciał, jak i z pracy, czego może nie chciał, ale przewidywał. Wydano również zakaz pracy w dziennikarstwie.

Jak więc widzimy, Ks. Kardynał nie miał latem 1967 roku wątpliwości, że Kościół winien przeciwdziałać podejmowanej wówczas kampanii antysemickiej. Dlaczego zabrakło więc głosu Kościoła, gdy był on najbardziej potrzebny i to nie tylko jako przestroga, ale również dlatego, że manifestacja stanowiska katolicyzmu polskiego leżała w jego własnym interesie?

Pytanie to zadawano sobie nie tylko w Polsce ale i za granicą i sam fakt powstawania takiego pytania na pewno nie leżał i nie leży w interesie kościoła. Próbowałem dociec przyczyn milczenia. Komentarze, które otrzymywałem na gorąco z rozmaitych lepiej lub gorzej poinformowanych źródeł nie były jednolite. Pozwolę je sobie w krótkim zarysie przedstawić.

Wyjaśnienie pierwsze: Wiosną 1968 roku władze dokonały swego rodzaju puczu, mającego zdławić opór społeczeństwa i wprowadzić o wiele ostrzejszą niż w latach 1956-1967 dyktaturę, bo o to przecież, a nie o Żydów chodziło. W zamiarach władz leżało więc również rozprawienie się z Kościołem. Zajęcie stanowiska w sprawie antysemickiej hecy ułatwiłoby władzom działanie, byłoby pójście drogą upragnioną przez moczarowców.

W tym kontekście oceniano, że stanowisko zajęte przez rozgłośnie „Wolnej Europy” oraz przez zespół „Instytutu Literackiego” stanowi wystarczająco jasne wyłuszczenie poglądów wolnej polskiej opinii.

Wyjaśnienie drugie: Aczkolwiek wyższa hierarchia kościelna oraz intelektualiści katolicycy sympatyzowali wyraźniej z prześladowanymi Żydami, co więcej, dość krytycznie oceniali niektóre nie najlepsze tradycje katolicyzmu polskiego, to obawiano się, chyba nie bez powodu, że uczucia i poglądy hierarchii nie zawsze podzielane są przez jakąś część niższego, prowincjonalnego zwłaszcza kleru, związanego z drobnomieszczańską, tradycyjnie antysemicką atmosferą. W tej sytuacji otwarte zajęcie stanowiska przez episkopat pchnęłoby jakąś grupę proboszczy i wikarych w objęcia PAX-u i „księży-patriotów”.

W rezultacie Kościół zajął w okresie kampanii antysemickiej 1968 roku stanowisko milczącej dezaprobaty. Nie jest moją rzeczą wyrokowanie, co byłoby najwłaściwsze w ówczesnej sytuacji, czy należało się kierować ogólnym interesem katolicyzmu w Polsce czy też przeciwnie, należało zwracać główną uwagę na to, by Kościół nie doznał istotnego uszczerbku w tak jednoznacznej sytuacji.

Nie należy jednak lekceważyć i milczącej dezaprobaty. Władzom dość zależało na tym, by wciągnąć do akcji antysemickiej ludzi, którzy by mogli lepiej niż PAX reprezentować społeczeństwo i katolicyzm, ale takich nie znaleźli.

Chodzi o to, że chcąc lub — jak wynika z omawianej publikacji — *nie chcąc*, musimy zrezygnować z rozpatrywania urzędowego antysemityzmu w Polsce jako czysto i wyłącznie wewnętrzного, polskiego problemu. Nie sposób nie dostrzec, że osoba udzielająca wywiadu Morawskiemu nosi dość zacieśniające spojrzenie okulary. Antysemityzm urzędowy (państwowy, etatystyczny czy jak tam jeszcze) jest problemem międzynarodowym z powodu międzynarodowej nań reakcji. Ale nie tylko o to chodzi. Łopatologicznie mówiąc, a okazuje się, że czasem musi się wbić coś łopata do głowy, antysemickie poczynania władz w Polsce są rezultatem i częścią kampanii antysemickiej w ZSSR. Antysemityzm w ZSSR od dłuższego czasu budzi szczególną uwagę światowej opinii publicznej. Szwedzki kwartalnik *Synergi* opublikował np. zupełnie niedawno wynik ankiety, przeprowadzonej wśród przywódców wszystkich „poważnych” partii politycznych w Szwecji. Okazuje się, że wszystkie one — od pryncypali do przywódcy komunistów Hermanssona — potępiają władze sowieckie za prześladowania Żydów, zaś premier Palme (socjaldemokrata) poświęcił tej sprawie dość obszerną wypowiedź. Jak to się często jednak zdarza, ponieważ ZSSR jest silny i praktycznie niedotykany, przeto odium spada na Polskę i Polaków.

Czas kończyć przydługą już glosę. Podałem w niej to, co jest mi wiadome w poruszanej sprawie. Sprawa jest jednak zbyt wielkiej wagi, by mogła ograniczyć się do mojej wypowiedzi. Episkopat polski nie jest zmuszony do tak głuchego milczenia jak sugeruje publicysta *Na Antenie* i niejednokrotnie znajdował okazję do publicznego zajęcia stanowiska. W grę wchodzi zarówno interes katolicyzmu polskiego jak i interes Narodu.

Józef LEWANDOWSKI

P.S. Artykuł niniejszy pisałem krótko przed wznowieniem działań wojennych na Bliskim Wschodzie. Korektę robię gdy leje tam się krew. Broniąc egzystencji Narodu walczą na wzgórzach Golan i na półwyspie Synaj nie tylko potomkowie emigrantów z Polski lecz wręcz chłopcy i dziewczęta, których językiem ojczystym jest polski a których poetami są Mickiewicz i Baczyński.

Wyjechali z Polski wypędzeni przez antysemityzm a giną w walce z wrogami wyszkolonymi w Dęblinie, Radomiu, Radzynie, Toruniu, postępującymi się m.in. sprzętem bojowym wyprodukowanym w Łabędach, Chorzowie, Mielcu, Rzeszowie...

Nie mam wątpliwości, że — jak tyle innych rzeczy — dzieje się to nie tylko bez woli, ale wręcz wbrew woli narodu polskiego. Ale sprawa jest zbyt ważna, zbyt drastyczna, by pozwolić przyszczać się jadowi oficjalnej indoktrynacji.

Okoliczności października 1973 roku nadają incydentowi związanemu z „Korespondencją z Rzymu” może niezupełnie nowy, ale być może że przez niektórych wcześniej nie dostrzegany wymiar.

J. L.

## CONTRA PUBLISHING

PRZEDSTAWICIELSTWO

POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ W LONDYNIE,  
INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

i

OFICYNY POETÓW I MALARZY W LONDYNIE

- Doręcza wyłącznie drogą pocztową książki wymienionych wyżej wydawnictw.
- Przyjmuje prenumeratę na miesięcznik *Kultura*, kwartalnik *Zeszyty Historyczne*, tygodnik *Wiadomości* i *Dziennik Polski*.
- Wszystkie książki wysyła się odwrotną pocztą po otrzymaniu zamówienia. Zamówienia płatne z góry. Do ceny książek należy doliczyć 10 % na koszty przesyłki.
- Katalogi wysyła się bezpłatnie.
- Sprzedaż książek wyłącznie drogą pocztową.

CONTRA PUBLISHING  
54, NORMAN AVENUE,  
BROOKLYN, N.Y. 11222.

## Sprawy i troski

### List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Po mych uprzednich korespondencjach posypały się pioruny zarówno na *Kulturę*, że śmie drukować takie bezceństwa, jak i na mnie, która cynicznie opluwam własne gniazdo i oszczerstwa z brudnego palca wysysam, i że to wcale nie tak, że *de facto* „polskie” życie funkcjonuje wzorowo, tylko moje niechętnie oko we własnej wyobraźni przemienia je w karykaturę. Do ataku ruszyli nie byle jacy eksperci od życia w Londynie, bo aż z USA, Australii, Południowej Afryki i Wenezueli, nie mówiąc już o regionach bliższych tym Wyspom, które mi udzielają azylu. Przy czy — o dziwo — najmniej porwano za broń w samym Londynie! Padła nawet wrzuszająca propozycja (typowa dla mentalności, u której pieniądź jest radykalnym rozwiązaniem nawet najbardziej złożonych zagadnień), by zorganizować na mnie składkę, ponieważ pluję tym jadem z powodu nieszczęśliwych przeżyć wojennych, złego zdrowia, osamotnienia i ubóstwa. Nie wiem skąd pochodzą te dane biograficzne, ale spieszę zaniepokojonych uspokoić, że tak źle jeszcze ze mną nie jest i że na swe potrzeby potrafię niezgorzej zarobić. Proszę przeto o wysłanie tych pieniędzy Bibliotece Polskiej w Londynie lub Związkowi Inwalidów Wojennych. I wie Pan, Panie Redaktorze, że od tego powszechnego wzburzenia, i od wypominek, że skoro w Polskim Londynie nie funkcjonuję, to po co zabieram głos, trąciły mnie resztki sumienia i pomyślałam sobie: może rzeczywiście *vox populi* ma rację? Ze szkolnej jeszcze ławy pamiętam, co dogmatyka mówi o ogólnym przekonaniu: że mianowicie nie może być mylne. W dogmatyce jest to wprawdzie jeden z walnych dowodów istnienia Boga, ale jest oczywiście, że skoro *vox populi* potrafi udowodnić tak wielki dogmat, bez którego wszystkie inne

tracą sens, to o ile łatwiej potwierdzi wszelkie mniejsze prawdy i półprawdy! I wie Pan, po tych rozważaniach ogarnęła mnie skrucha, aż straciłam apetyt i nawet zaczęłam brzydzić się własnego cienia. No i pomyślałam: od tylu lat unikasz Emigracji i rzeczy Jej, najwyżej krzątasz się po Jej peryferiach i strzyżesz uszami, a przecież życie idzie naprzód, od twych niesmacznych prób zawarcia z Nią przyjaźni wiele musiało się zmienić, i to — bądźmy choć raz optymistami — na lepsze. Tyle przecież lat żyjemy na Zachodzie, niejedno mieliśmy okazję oglądać, i przy okazjach nawet się czegoś nauczyć, rozszerzyć swe horyzonty. A porachowawszy się z pomienionymi resztkami sumienia poczułam skruchę i, jak Bóg przykazał, uczyniłam mocne postanowienie poprawy. Skąd zrodziła się decyzja: wyjść ze swej pustelni, pójść w lud i doświadczać na staro i nowo, sprawdzić stare uprzedzenia, przekonać się naocznie, że pora je odstawić tam, gdzie ich miejsce przyrodzone: na Śmietnisko Historii.

Może Pan pamiętać jak pisałam, że naszych organizacji i zebrań (które są treścią życia tychże organizacji, ponieważ zastępują czyny) unikam jak czart święconej wody, przede wszystkim z powodu oszalałego gadulstwa. Moje na tym polu doświadczenia sięgają zamierzchłych czasów. W tych dalekich latach, gdy miało się jeszcze młodzieńczą naiwność — bo cynikiem się nie rodzi, tylko staje — widywałam zebrań takie i owakie, dorosłe i młodzieżowe, te ostatnie podczas studiów na jednym z tutejszych uniwersytetów. Było tam kilkunastu Rodaków, którzy się co prędzej zjednoczyli dla dobra Ojczyzny (bo jednoczenie to my mamy we krwi, jako konieczny wstęp do rozłamów). Powstało więc *Polish Circle* i co miesiąc odbywało wiece, no i oczywiście ścierało składki na „nasze cele”. Na najlepszą część roboczego popołudnia zasiadało się w studenckim klubie i przelewało z pustego w próżne, chyba że zaszła okazja do czynów, tj. trzeba było wybrać któregoś z panów na sejm Zrzeszenia Studentów w Londynie. W tych zamierzchłych czasach członkowie *Polish Circle* o wiele lepiej mówili po polsku niż po angielsku, a parę osób, które po angielsku mówiły tak prawie biegle jak po polsku, zdradzał cudzoziemski akcent. Nic więc dziwnego, że na tych naszych (jak to się dziś uderzająco trafnie nazywa w PRL) nasiadówkach dyskutowało się wzniośle *de publicis*, o naszych londyńskich papieżach i antypapieżach (z rezerwą) i o PRL (z ostrym potępieniem), oraz o propagowaniu Sprawy Polskiej wśród tubylczych kolegów, co na szczęście pozostało w sferze deklamacji, bo łatwo sobie wyobrazić prymitywno-ośmieszająco-sło-

ganowy poziom takich uświadomień. Ale najważniejszą dziedziną działalności Prezesa było organizowanie dla nas specjalnych mszy na różne udziwnione intencje i wysyłanie imiennych pozwów do stawienia się na nie w niemożliwych porach o świcie — nie darmo przecież jesteśmy Przedmurzem, a zwłaszcza tu, gdzie otacza nas morze herezji i pogaństwa. Przy okazji ujawniły się zapędy inkwizycyjne, gdy Prezes (dość paradoksalnie student biologii) uczynił straszne odkrycie: że bez zezwolenia Władzy Duchownej czytuję klasyków herezji (z obowiązku) oraz Niemoralne Dzieła Potępione Przez Stolicę Apostolską (dla rozrywki), i postanowił zawrócić mnie na Ścieżki Pańskie. Był przy tym zajadły jak pies gończy i odczepiłam się od niego z największą trudnością, o czym można by zresztą napisać niezgorszą farsę.

*Polish Circle* było więc czymś w rodzaju nieoficjalnej sodalicy i, choć członkowie uczyli się dobrze, niektórzy nawet bardzo dobrze, nie było tam żadnej indywidualności — po prostu na dwie płci rozdzielony, lecz poza tym identyczny typ Polaka-Katolika, tego, którego organizatorzy składek zwykli dla pobudzenia do hojności zaliczać już na kredyt do Ludzi Dobrej Woli. Nic więc dziwnego, że szybko zbrzydziłam sobie zrzeszanie się i sejmikowanie *modo polonico* i przestałam się udzielać, przez co popadłam w podejrzenie, że Sprawę Polską mam Gdzieś, w sercu zaś Bezbożny Reżym Warszawski. Dlatego nie wiem jak ułożyły się dalsze losy członków *Polish Circle*, bo jeszcze podczas studiów straciłam ich z oczu. Że jednak przeważająca większość sposobila się do dobrze płatnych zawodów, to nie trudno zgadnąć jeśli się zna tę odmianę tutejszego Rodaka: świetnie zarabiają, porośli w nieruchomości i limuzyny (oczywiście najnowsze modele, z przewagą koloru białego i żółtego). Poza pracą, która jest godna uwagi ponieważ dostarcza tych dóbr (a nie przez jakieś staromodne „powołanie”), nie interesują się niczym, polskim czy angielskim, co wymaga choć troszkę umysłowego wysiłku i masowo świecą nieobecnością tam, gdzie wypadałoby sięgnąć do kieszeni na jakiś godny poparcia cel publiczny. (Tu już widzę, jak jakiś spośród nich unikat pisze do Pana grzmiący list, że to wszystko oszczerstwo, bo ON właśnie płaci, a nawet czyta — za własne pieniądze, a nie pożyczoną — *Kulturę!*) Na telewizji — oczywiście kolorowej, albowiem uwielbiają Postęp Technologiczny — oglądają najbardziej kretyńskie programy, nie czytają niczego, co ma jakąkolwiek wartość, o niczym nie wiedzą, niczego nie prenumerują (prócz angielskich brukowców w gazeciarni za rogiem, a z polskich wydawnictw najwyżej jakąś klerykalną gazetkę, której wspaniały poziom dobrze znamy) i mimo dyplomów są wprost niewiarygodnie prymitywni.

A swoją drogą, nie najgorsze to były czasy, gdy tak naiwnie ale jednak trapiły nas zagadnienia polskiej teraźniejszości. Co to wszystko dziś obchodzi naszą Przyszłość Narodu, która jest ni pies ni wydra, ni to Anglik, ni Polak? A nawet jeśli obchodzi, to czy potrafi wyrazić to płynnie w ojczystym języku? W języku, do którego trzeba przynukiwać jak dziecko do rycyny, że to wcale nie takie okropne, i zachęcać zełganą pochwałą? Czy zauważył Pan z naszej prasy, jakie na tym odcinku zapanowały obyczaje? Na różnych akademiach i innych nabożeństwach nasi centralni i lokalni Mężowie Opatrznościowi każdą tej, pozał się Boże, Przyszłości Narodu całkiem żenująco, że była łaskawa wygłosić jakieś kretyńskie wierszyki zapewnijające, że nic tylko w dzień i w nocy marzy o powrocie pod ojczystą strzechę (w co, rzecz jasna, nikt nie wierzy, nawet gdyby zaistniały możliwości, ale biada tym, co by to głośno powiedzieli!). I na podstawie tego „wygłoszenia” wspomnieni mężowie zachwycają się jej przepiękną (ach ten precudny akcent!) polszczyzną, oraz dziękują — tak, *dziękują unizienie!* — że w ogóle raczyła łamać sobie język. Czy można poniżyć i siebie i przy okazji ten język, gorzej niż tym uroczystym załganiem?

Ale pora wrócić do rzeczy, która tym razem szczególnie mnie interesuje: do nieśmiertelnych wśród nas tradycji sejmikowania. Jak się rzekło, w swym dość długim życiu oglądałam różne nasiadówki, także i dorosłe, ale żadna nie da się porównać z zebraniem-*monstre*, które w latach pięćdziesiątych przeżyłam w jednym tu polskim obozie. Było to doroczne walne zebranie Zjednoczenia Mieszkańców w celu wysłuchania sprawozdania ustępującego zarządu i wybrania nowego, oraz omówienia bieżących spraw obozu i programu imprez kulturalno-patriotycznych (od religijnych był komitet kościelny) na nadchodzący rok. Jak zwykle, działo się to w niedzielę i nad całością nadzorował ksiądz proboszcz znany z przekonania o naturalnych skłonnościach Laikatu do złego i stąd niespuszczający go z oka gdziekolwiek się zeszedeł, niekoniecznie dla wspólnej modlitwy. A więc, po wstępnym kazaniu o godności Stanu Kapłańskiego, przystąpiliśmy do wysłuchania sprawozdania z ostatniego zebrania, zbadania stanu kasy i innych ciekawych rzeczy. Jak zwykle mówiono mnóstwo, rozlaźle i nie na temat: każdy przecież uwielbiał być słuchany i ani myślał z tego rezygnować. To jednak było tylko tło, tak jak bitwa, podczas której rozgrywają się tysiące drobnych potyczek, i na tym tle szły o wiele ciekawsze rozgrywki indywidualne: o króliki i kury, które wlażyły w szkodę, o babskie pyskówki, czyje dziecko się przeżywa albo nawet się bije, i sto podobnych

zagadnień. A także *de publicis*: o korupcji w sylwestrowych wyborach obozowej Miss Polonii (że lekki zez i grube nogi), o dwu Skarbach Narodowych: który prawdziwy, a który — jak powiadano — ukradziony (i w związku z tym, kto z obecnych jest zdrajcą Sprawy Polskiej), który rząd w Londynie jest legalny, a który lipny, i przy tym zjadliwe uwagi pod adresem miejscowego oddziału SPK ze strony jego miniaturowego odłamu działającego pod obelżywą dla macierzy nazwą Związku Żołnierzy Wiernych Przysiędze. Pań nie było wiele, ale za to ekipa doborowa i języki nie od parady, a ich rola ograniczała się głównie do podjudzania panów, tak że byli i tacy, co zrywali się z krzesel i podkasując rękawy wzywali przeciwników do wyjścia *na pole*. Potem oczywiście na Poczytnych Łamach ukazało się uroczyste sprawozdanie z tej imprezy (pióra obozowego wieszczą, zażywającego tytułu redaktora), które tak się miało do oryginału jak pięść do nosa. Po tylu latach już nie potrafię dokładniej odtworzyć tych — jak je nazywają nasi piewcy publicznych wypadków — „obrad”, zresztą co roku były takie same. Jeśli ta nasiadówka utkwiała mi w pamięci, to tylko ze względu na czas, jako jedyny w swoim rodzaju maraton. Zaczęła się około 3-ej, a skończyła nie wiem kiedy, bo po godzinie miałam dość, a do końca wytrwali tylko najzjadlejsi. W trakcie tego turnieju mój ojciec, który obowiązki społeczne zawsze brał bardzo serio, przyszedł do domu na podwieczorek, przejrzał gazetę, powiedział „dom wariatów”, ale wrócił spełniać obywatelski obowiązek. Potem przyszedł na kolację, wspomniął coś o Kulparkowie, zjadł, pokręcił się po ogródku, i znów wrócił. Około 10-ej wieczór zapragnął herbaty, wpadł do domu i tym razem już został, bo jak opuszczał salę „obrad”, to daleko jeszcze było do wyboru nowego zarządu, udzielania absolutorium i innych niezmiennych części liturgii, a o świcie trzeba było przecież wyruszyć do roboty. W każdym razie wszystko odbyło się poprawnie, żelazny prezes-pluralista rozpoczął nową kadencję, zorganizował pół tuzina akademii i tuzin dochodowych potańcówek, więc wszystko szło jak należy i życie kulturalno-patriotyczne biło jak krynica. Zostawiona przez wojsko biblioteka butwiała gdzieś w kącie i na zakup paru nowych książek jak zwykle zabrakło pieniędzy. Bo i dla kogo — dla tych kilku dziwaków, co marnują czas na czytanie, którym irytująco demonstrują, że uważają się za „coś lepszego”? Co jest zresztą dokładnym odbiciem stosunku zamożnej na ogół, a częściowo nawet bogatej, Emigracji do jej centralnego księgozbioru — Biblioteki Polskiej w Londynie. O czym by warto pomówić osobno.

Zresztą nie jest to jedyna analogia między mikro- i makro-mosem, między zagrzebanym na geograficznej i umysłowej prowincji obozem a Drugą Wielką Emigracją. Można by te podobieństwa mnożyć a mnożyć, ale już choć z grubsza trzymajmy się tematu. Gdy więc zaczęły we mnie walić gromy Miłych Czytelników, ogarnęła mnie skrucha i poszłam w lud, umocniona nadzieją, że gdzie jak gdzie, ale w tej wielkiej metropolii rozszerzyliśmy przez tyle lat swe horyzonty. Tak, Panie Redaktorze, to niesłychane, ale rozpoczęłam rekolekcje prowadzące do moralnej regeneracji. Zaczęłam mianowicie kursować po zebraniach, tym najważniejszym przejawie „życia polskiego” służącego, podobnie jak akademie, do zachowania więzi między Rodakami. Można na nich oglądać jak na scenie tę elitę, która jest wrażliwa na sprawy dotyczące naszej tu społeczności oraz Ojczyzny, i badać na gorąco trapiące ją — czyli nas — zagadnienia. Myślę, że doceni Pan wielkość mego poświęcenia, bo wystarczy sobie uprzytomnić wartość wolnego czasu dla człowieka pracującego, przez cały tydzień podległego tyranii zegara i marnującego ładną część życia na same dojazdy do pracy. Ale cóż — mój duch ekspiacji przemógł te wszystkie względy. Gdy tylko Poczytne Łamy zapowiadały jakieś zebranko, głodna i zmęczona po pracy zostawałam w mieście by wziąć w nim udział, a nawet w *week-end*'y trysnęłam się po kilkanaście mil do różnych lokali, gotowa na wszelkie ofiary w imię współpracy z tym ogólnym przekonaniem, które nie może być mylne.

I teraz trapię się jakby zdać Panu zwięzłe sprawozdanie, przy czym nie chodzi mi o formalne różnice między tymi imprezami, kto je zwołał i po co, tylko o to, co mają wspólnego, jak wygląda zebranie typowe. Otóż przede wszystkim łączy je atmosfera — że tak powiem — intelektualna, poziom zainteresowań i sposób obradowania, tak że w pamięci obserwatora zlewają się w jedno i już po paru dniach trudno sobie przypomnieć o co na którym chodziło i jakie były wolne wnioski — dla mnie najciekawsza część programu. Rezultat jest zresztą zawsze ten sam: słowa — słowa — i przeminęło z wiatrem. Aby więc się nie powtarzać, opiszę Panu wszystkie razem jak jeden długi turniej — dobrze, że nie o Wielki Puchar Emigracji, bo doprawdy nie wiedziałabym komu przyznać pierwszeństwo.

A więc do rzeczy. Imprezę zwołano na 7.30, więc przyszedłam o 10 minut wcześniej. Wchodzę na pustą salę i, mimo wszystko nie wyzbywając się resztek podejrzliwości, zajmuję strategiczną pozycję koło drzwi gwarantującą łatwość odwrotu. Siedzę 5 minut i jeszcze 5, aż zaczynam się niepokoić czy aby trafiłam we właściwe miejsce. Już mam rozpocząć poszukiwania, aż tu zaczyna wkraczać nieliczni Rodacy, za nimi Prezesi, Sekretarze,

Skarbnicy i Komisje Rewizyjne ze złowroźnie wypchanymi tekami. Sala jednak nadal pustawa i gdy wreszcie za kwadrans ósma uciszono nas okrzykami „proszę państwa”, to aż echo zadudniło po tej pustce. I dudniło dalej, gdy zaczął się obrządek powoływania do Prezydium różnych osób. Potrwało to trochę nim się zmateriałizowały i zasiadły, po czym jakaś persona wita nas uroczysto dziękując za Łaskawe Przybycie. Podają program obrad, Prezes już wyciąga z teki jakieś papiery i gardło sposobi chrząkaniem, więc dla zachęty dajemy *burnyje i prodotžitelnyje aptodismienty*. Aż tu raptem zjawia się — dywersja. Dywersja wygląda niewinnie, taki sobie starszy pan, suchutki jak chleb świętojański i pachnie lawendą, ale cóż za perfidia! Musi przecież zaznaczyć swą obecność, więc stawia żądanie, żeby szósty punkt przenieść na miejsce trzeciego. Jest to całkiem bez znaczenia, mowa-trawa, ale ogarnia nas konsternacja, że jak to? Wywiązuje się zawzięta dyskusja, jedni byliby „w zasadzie” za gdyby, inni z przyczyn formalnych nie mogą i poczuwają się do obowiązku zgłoszenia zastrzeżeń. Debata toczy się zajadle, rozpatrujemy wszelkie aspekta zagadnienia, mija kwadrans i drugi. Wreszcie wzburzenie zaczyna opadać i spoglądamy po sobie ze zdumieniem, jakbyśmy się właśnie obudzili i nie mieli pojęcia co się dzieje. Rzeczywiście nic, więc burza szybko przemija, punkty zostają jak były i zaczynają się właściwe Obrady. A więc najpierw odczytanie listów od różnych osób, z wykrętami czemu nie mogły przybyć oraz życzeniami Pomyślnych Obrad — bardzo pouczająca lektura. Potem sprawozdanie Prezesa, Sekretarza i jeszcze coś na dokładkę — nie mogę powiedzieć, nawet na temat, ale okropnie rozwlekłe, z *à propos*'ami, dygresjami i fryzowaniem. Wiadomo: mowa zwięzła jest podejrzana, ujmuje sprawie ważności i świadczy o braku polotu u mówcy. A tym czasem za mymi plecami sala napełnia się powoli. Ósma — ósma dwadzieścia — a tu ciągle ktoś wchodzi, lustruje publiczność, rozrzuca ukłony, wyrzuca nas z miejsc i wreszcie sadowi. Chwilę spokój i już ciągną nowi. Patrzę i krew mnie zalewa: cóż za obrzydliwy naród! Przecież *week-end* i Londyński Transport akurat nie strajkuje, więc łatwo obliczyć kiedy wyjść z domu żeby zdążyć. Ale co ich to obchodzi, miny mają zadowolone i święte przekonanie, że wszystko w porządku. Zegar pracuje, a ruch nie słabnie — przeciwnie, nasila się i teraz już płynie w obu kierunkach: jedni wychodzą za tzw. potrzebą (bo jak długo człowiek może wytrzymać?) i ci wracają szybko; inni idą do baru posilić zwątlone siły (bo ile Polak wytrzyma bez jadła?) i ci wracają później. Patrzę na zegarek: program Obrad przewiduje 8 punktów, my zaś ugrzęźliśmy na trzecim (tym spornym i nieistotnym) i ani kroku dalej, a tu już dziewiąta.

Ale nic, wreszcie przerywamy się do czwartego, który brzmi całkiem obiecująco: pytania i wolne wnioski. Sadowię się wygodniej, ciekawa co też lud będzie miał do powiedzenia *pro publico bono*. Robi się *oziwienie na zalie*, statyści rejestrują się do głosu, no i wreszcie go mają. Nie, wcale nie tak jak w obozie! Jeśli o kurach, królikach i pyskówkach nie ma mowy, to tylko dlatego, że warunki życia w wielkim mieście nie narzucają takich problemów. No i maniery całkiem inne, do bicia nikt się nie bierze, najwyżej obrażeni demonstracyjnie opuszczają salę. Poza tym — istny obóz: rzeczowych i zwiększonych wypowiedzi tyle, co na lekarstwo. Większość degeneruje się w osobne oracje nudne i rozlazłe, z „prawda”, „tego”, „zasadniczo”, „w tych okolicznościach” i „że tak powiem”. Strzelają szeroko na boki, mało kto ma do powiedzenia coś, co by warto słyszeć, ale za to jakże kochają dźwięk własnego głosu, przymuszanie bliźnich do słuchania! Nikt nie chce się wyrzec tego prawa, toteż tromtadracja zrobiła się niesamowita, niech się schowa austriacka Galicja! Przewodniczący oczywiście niczego nie robi żeby to przykroć, mowy nie ma o przydzielaniu dwu minut na mówcę i odbieraniu głosu, bo Myśliciele i Statyści śmiertelnie by się obrazili. Aniele Stróżu, kiedyż to się wreszcie skończy?! Ogarnia mnie wściekłość i nagle — uszom nie wierzę — zaczyna się dziać coś ciekawego. Krępy pan o dowcipnie błyszczących oczkach pragnie się poinformować u Szanownego Zarządu jaki jest jego stosunek do wyjazdów do Polski. Bo przecież w zeszłym roku Zjednoczenie Polskie zajęło wobec nich zdecydowanie negatywne stanowisko, a skoro nasza organizacja należy do Zjednoczenia, to czemu dała dowody, że te wyjazdy aprobuje? Oho, ten strzelił celnie! Siada zadowolony, a zaspane audytorium ożywia się i daje mu brawo, aczkolwiek ciągle jeszcze bez *wsie wstajut*. To też u Rodaków typowe: mniejsza o meritum sprawy, grunt że ktoś komuś przyłożył. Oglądam się i widzę, że klaszczą wszyscy, a chyba najgłośniejsi ci, co regularnie jeżdżą do Polski i niech by im ktoś spróbował zabronić! Żyć bez tego nie mogą, bo gdzie indziej na świecie znajdują takie wdzięczne audytorium, które by adorowało ich stroje, samochody i twarde waluty przeliczane na poczekaniu w imponujących wartościach czarnorynkowych, a także kosmopolityczne szpikowanie mowy angielszczyzną? No i te wspaniałe, gigantyczne, *non-stop* wyzerki! Ale oklaski już cichną i Wolne Wnioski płyną dalej, ciurka bzdurka, całkiem jakby Szanowni Mówcy wzorowali się na dziele *Swada Polska y Łacinska*. Idiotyczne pomysły rozpatruje się ze śmiertelną powagą, chyba że wyjątkowo Prezydium proponuje odłożenie tych „ciekawych sugestii” do rozpatrzenia w Zarządzie i następnego zebrania. Debatujemy zawzięcie czym (nieistniejąca) Komisja Młodzieżowa różni się od (nieistniejącej)

Komisji Do Spraw Młodzieży, co szczególnie pasjonuje żelaznych młodzieńców pod pięćdziesiątkę odczuwających pałacą potrzebę takiej organizacji. Ach Panie Redaktorze, cóż za niezapomniane przeżycie! Jeszcze Młodzież nie całkiem przycichła, aż tu jakiś figlarz wali złośliwie a podstępnie z najcięższej armaty: ni mniej ni więcej tylko świętokradzko żąda zmiany Statutu (tak, tej świętości, której gotowiliśmy bronić do upadłego!), zaistniała bowiem pałacą potrzeba zwiększenia Komisji Rewizyjnej z pięciu do dziewięciu co najmniej osób. Obok mnie jakiś cynik wyrwa się, że i ta co jest przez ostatnie pięć lat nie miała okazji do działania, ale ta interesująca informacja tonie w ogólnej wrzawie, znów wszyscy mówią, a nikt nie słucha. I kto wie co nas jeszcze czeka? Może — jak mi opowiadał pewien nałogowy bywalec zebrań typu militarnego — znów wstanie jaki Stary Wiarus, by w Wolnych Wnioskach zadekklamować patriotyczny wierszyk dla młodzieży i zebrać huczne brawa za ideową postawę?

Jezus Maryjo, już po dziesiątej — pociągi staną zanim dobiją do domu! Jak ścigana wyskakują na korytarz i tu raptem, w półmroku, rozbijam się o gromadę *pożytych* panów, którzy rzucają się na mnie i, spostrzegłszy pomyłkę, z powrotem odskakują pod ściany. A to co, wykidają czy tajniacy? Rzecz wygląda złowrogo, więc zaintrygowana staję z boku, by zagadkę rozwiązać metodą empiryczną. Po chwili już jestem w domu: przecież to dyżurna ekipa do całowania rączek! Obskakują wychodzące niewiasty i jeśli są to (a przeważnie są) te, o które chodzi, robi się wokół nich ścisk i kłębowisko.

Minęła północ, gdy wreszcie pełna wrażeń dobiłam do swej pustelni, sunąc z duszą na ramieniu po opustoszałych ulicach i dla uprzyjemnienia spacerku rozmyślając o różnych napadach i biciu samotnych przechodniów, które z taką lubością opisują brukowce. Na co to pożądanicy nawrócenia człowiek nie narazi się w imię pokuty! Lecz niestety, Mili Czytelnicy z Macierzy-Europy i zza oceanów, których ogólne przekonanie nie może być mylne: nie spotkałam żadnych chuliganów i dotąd nikt mnie nie obić, pozbawiając Was zasłużonej satysfakcji. I teraz nie opuszcza mnie uczucie niesmaku płynące z mych ostatnich prób wzięcia udziału w „życiu polskim”, bo żeby taka stara wróblca mogła być tak naiwna i oczekiwać — czego, o Rodacy? No powiedzcie sami: CZEGO?

Co zaś do porzuconego zebrania, to potem opowiadano, że skończyło się przed północą i bardzo pospiesznie, bez załatwienia mnóstwa okropnie ważnych spraw, ponieważ zamykano lokal. I że na sali, prócz Zarządu i Prezydium, wytrzymało do końca aż czterech starszych panów (w tym jeden przedstawiciel tzw. Młodzieży) oraz jedna polska matrona o rączkach wyciąłowanych na

glanc. Zaś z uroczystego sprawozdania, jakie się wkrótce ukazało na Poczytnych Łamach (a które, jak to obozowe, pominęło te wszystkie szczegóły, które ja tu dla dobra Przyszłych Historyków odnotowuję) dowiedziałam się również, że pomienione osoby przyjęły jednogłośnie sprawozdania, rachunki i plany dalszej działalności (tj. zwołania za rok następnego zebrania), wybrały na nowo starą gwardię z żelaznym Prezesem na czele, oraz bez żadnych zastrzeżeń udzieliły absolutorium, oczywiście z gorącym podziękowaniem. No cóż, Panie Redaktorze, przynajmniej to jedno możemy stwierdzić z zadowoleniem: że nareszcie w naszym narodziu przestaje straszyc koszmarny upiór *liberum veto*.

Grażyna NOWAK

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chciesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

## Kronika kulturalna

### Kajetan Morawski

Znałem Kajetana Morawskiego przez blisko 50 lat; byłem mu przedstawiony, jako najmłodszy urzędnik MSZetu, w lutym 1926 roku; nazywano go wówczas często na korytarzach Pałacu Bruehla „Kademor'em” skrót Kajetana DZIERżykraj-MORawskiego); ale ta znajomość była czysto jednostronna; myślę, że wcale mnie nie pamiętał, choć łaskawie ze mną parę razy rozmawiał, i raz nawet udzielił mi kilku wskazań, przestróg i pouczeń — jakich? dzisiaj też nie pamiętam. Wszystko co moge o nim z tych czasów powiedzieć (był właśnie świeżo upieczonym wiceministrem Spraw Zagranicznych przy Aleksandrze Skrzyńskim, który komulował stanowiska premiera i ministra Spraw Zagranicznych), to to, że uderzył mnie swym wzrostem, i swą chudością; poza tym w ciągu 50 lat mało co się zmienił. Mam wielki mankament, gdy chodzi o skreślenie jego sylwetki: nie znam zupełnie jego *background'u*, by użyć doskonałego angielskiego wyrażenia. Oczywiście wiedziałem zawsze kim byli wielkopolscy Morawscy, spotkałem w życiu wielu członków tej rodziny, znanej nie tylko z zasług ziemiańskich i rycerskich, ale i z tradycyjnego zamiłowania do pióra, do literatury, do poezji, jak mało w innym rodzie; znałem względnie dobrze — o ile różnica wieku i pozycji na to pozwala — dwóch stryjów Kajetana Morawskiego w Krakowie, mianowicie prezesa Akademii Umiejętności w Krakowie — Kazimierza Morawskiego, i jego brata, „Excellencję” Morawskiego, byłego ministra dla Galicji. Obaj byli zresztą ludźmi wielkiej kultury i ogłady, a „Excellencja” miał prawdziwy „charmik”, coś bardzo miłego i serdecznego w obejściu. Ale Kajetana Morawskiego poznałem naprawdę dopiero w czasie wojny, w Londynie, głównie dzięki jego uroczej córce, Basi, dzisiejszej Ledóchowskiej, z którą nawet przez krótki czas współpracowałem. Kajetan Morawski czasem zachodził, by zabrać do domu córkę, kiedy jego obowiązki w MSZecie mu na to pozwalały, i tak, od nitki do kłębka, doszło do dobrej znajomości, i nawet

przyjaźni, pomimo różnicy wieku, i jeszcze większej — stanowiska. Ta przyjaźń się pogłębiła, gdy z początkiem lat sześćdziesiątych zamieszkał w Paryżu; zarówno Kajetan Morawski, jak i jego śp. małżonka często i łaskawie mnie gościli w swym mieszkaniu na rue de l'Université; a do starej przyjaźni z córką tej pary doszły zażyłe stosunki koleżeńskie z młodszym synem Kajetanów Morawskich, Maciejem. Wszystko to może się wydać zbędne, ale wyjaśni luki i braki tego wspomnienia, które nie jest ani biografią, ani nawet sylwetką, tylko zbiorkiem luźnych, przypadkowych, osobistych impresyj.

W Poznaniu byłem tylko raz w życiu, w roku 1923, już nie pamiętam z jakiego powodu, czy jakiej okazji; wiem tylko, że ten pobyt trwał zaledwie 24 godziny, i że z Poznania zapamiętałem jedynie dawny pałac cesarski. Pamiętam, że nie mogłem zrozumieć, dlaczego tej ohydnej landary nie zburzono. Poza tym Wielkopolski, jej atmosfery, jej klimatu nie znam zupełnie. Znam Kresy, Kraków, Warszawę, Małopolskę, Królestwo, i nawet dzisiaj, po tylu latach emigracji, łatwo mi uplasować każdego nowego znajomego, który przybywa z tych stron, czy tym bardziej z dalekich Kresów Wschodnich, utraconych już w Trakcie Ryskim. Ale prawie że nie miałem znajomych z Poznańskiego, z wyjątkiem Rogera i Edwarda Raczyńskich, *nota bene* dwóch najbliższych przyjaciół K. Morawskiego; ale tych braci bym raczej zaliczył do Krakowian, tak bowiem byli nawet akcentem i sposobem mówienia związani z Klanem z „Pod Baranów”. Wszędzie istnieją nieujawnione klany, hierarchie, swoiste „masonerie”, jeżeli tego terminu użyć w sensie najszerszym; wszędzie są ludzie, którzy pozornie nie zajmują specjalnego stanowiska, a jednak *de facto* są na świeczniku; i tak jest we wszystkich krajach. Mentalność Poznaniaków, jeżeli pominąć najgrubsze i najbanalniejsze uogólnienia, jest dla mnie księgą zamkniętą. Dopiero po śmierci Kajetana dowiedziałem się od jego córki, że w czasie jego ostatniej choroby największą mu sprawiała radość, recytując mu Horacego; nigdy bym Morawskiego nie podejrzewał aż o tak wielką znajomość i umiłowanie łaciny. Od Basi także dowiedziałem się, że w ostatnim okresie życia, gdy już prawie nic jeść nie mógł — a był zawsze smakoszem i ceniał dobre wino — ochotę miał naprawdę tylko na jedno danie — na kwaśne mleko. Jeszcze jedna wielka dla mnie siurpriza. Nigdy bym Kajetana Morawskiego nie podejrzewał o tak rodzime, wiejskie, omal dziecinne gusty!

Ale chciałbym omówić sylwetkę Kajetana Morawskiego, jako polityka, dyplomaty, wielokrotnego dygnitarza. W żadnym biurze, w żadnym charakterze nie pracowałem bezpośrednio pod kierownictwem K. D. Morawskiego, więc znowuż moje ściśle osobiste zdanie, czysto z zewnątrz, może być mylne. Wydaje mi się, że Kajetan Morawski był w gruncie rzeczy człowiekiem sprzed 1914 roku, że był z natury człowiekiem o poglądach i typie umysłowym do pewnego stopnia konwencjonalnym, *d'un lettré*, jak

mówią Francuzi, a nie *d'un homme de lettres* (to dwie rzeczy zupełnie różne), ze środowiska zarówno ziemiańskiego, jak i uniwersyteckiego, a także politycznego, ale bez osobistej żyłki do walk politycznych, i bez pasji do władzy. Wydaje mi się, że człowiek tego typu jest raczej stworzony na doradcę, na wysokie, ale drugie miejsce, nie na pierwsze. Morawski nie był człowiekiem decyzji: powiedział swoje, doradzał, dyskutował, ale raczej był gotów przyjąć decyzję szefa rządu, względnie szefa swego resortu. Najtrwalszym zainteresowaniem Morawskiego była służba dyplomatyczna, tylko ona naprawdę go pasjonowała. Stąd jego działalność, na przykład na stanowisku podsekretarza stanu w ministerstwie Skarbu można od biedy pominąć przy kreśleniu sylwetki Morawskiego, który nie uważał siebie za wielkiego specjalistę od skarbowości, finansów czy gospodarki. Morawski miał wiele danych na klasycznego ambasadora, czy klasycznego wiceministra spraw zagranicznych przy energicznym i rozsądnym, i także klasycznym, ministrze. Był z natury taktowny, bardzo ostrożny, nieskłonny do intryg, do obraźliwości, do pchania się, do robienia sobie złudzeń, czy to na temat własnej pozycji, czy pozycji Polski. Można było z nim być spokojnym, że nigdy nie palnie głupstwa, nigdy nie robi *faux-pas*, nigdy nie wda się w kabałę, nigdy nie przekroczy swych instrukcyj, a to są wszystko zalety bardzo cenne u ambasadora i u dyplomaty. Morawskiemu zarzucano nieraz nadmierną miękkość, i nadmierną pasywność; i w tych zarzutach, jak zawsze zresztą, tkwiła część prawdy. Morawski może się nie nadawał na rokowania z partnerem trudnym, tym bardziej wrogim, bo był na pewno bardzo skromny i nadto ustępliwy z natury; był to, że tak powiem, typowy ambasador u alianta, był od pogłębiania dobrych stosunków, nie od odparowywania sztychów i chwytów; a i tacy są potrzebni, i to nie tylko dla państw tak słabych, jak Polska, ale nawet dla takich kolosów, jak USA i Rosja. Charles Bohlen — który miał być jednym z najzdolniejszych dyplomatów amerykańskich, i który dodatkowo, jak mało kto z jego kolegów, mówił znakomicie po francusku — tak sobie zraził de Gaulle'a pewnością siebie i obcesowością, że trzeba było go z Paryża odwołać. Podobnie Abrasimow, który świetnie (z punktu widzenia rosyjskiego) spełniał funkcje Repnina w Berlinie Wschodnim, okazał się katastrofą w Paryżu; już po pół roku Kreml musiał go odwołać. Morawski, jak już mówiłem, nadawał się dużo lepiej do dyplomacji sprzed 1914 roku, niż do tej, która operowała między wojnami, cóż dopiero teraz.

Ale od początku kariery dyplomatycznej Morawskiego miała luki, które zapewne zaważyły ujemnie na jego losach. Podczas gdy jego rówieśnicy, Edward Raczyński i Lipski, terminowali o 10 lat dłużej od Morawskiego jako sekretarze i radcowie ambasad, albo jako urzędnicy centrali — Morawski został ministrem pełnomocnym (przy Lidze Narodów) już w roku 1924, w wieku 32 lat, a wiceministrem Spraw Zagranicznych już w rok później. Błyskawiczna kariera, w tak młodym wieku, jest zawsze naje-



zona niebezpieczeństwami; co prawda Morawski był tak układny i taktowny, że jego wyróżnienie nie zrobiło mu wrogów ani wśród kolegów, ani wśród klasy politycznej, ale jednak tylko ludzie zupełnie wyjątkowi mogą marzyć o wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach przed ukończeniem 40-tu lat. Jestem przekonany, że Beck, Matuszewski, i Miedziński — że wymienię tylko tych trzech najzdolniejszych „pułkowników” — znacznie lepiej wywiązałyby się ze swych ról, gdyby dłużej czekali na awanse i władzę: wysokie stanowiska, nawet czysto administracyjne, wymagają dojrzałości, którą może dać tylko wiek. Co prawda, o Kajetanie Morawskim nieraz mówiono, że nigdy nie był młodym, i znowuż było coś w tym prawdy, ale upieram się przy zdaniu, że gdyby za młodu „pieczone gołąbki nie leciały mu same do gąbki”, to by się lepiej bronił i obronił, gdy era parlamentarna się skończyła na rzecz rządów wojska; bo za rządów „sanacyjnych”, to wojsko stało się czynnikiem miarodajnym w całym państwie. Dostosowanie się do nowych ośrodków władzy powinno było przyjść Morawskiemu równie łatwo, jak np. Lipskiemu, bo Morawski nie był z natury ani partyjnikiem, ani opozycjonistą; nie było żadnego rozsądnego powodu, by go zwalczać, sekować, czy choćby pomijać. Gdyby Morawski był starszy i dojrzały, jako wiceminister, to nigdy by się nie dał ubrać w kierownictwo MSZetu w gabinecie Witosy, na które nie miał ani ochoty, ani warunków; byłby twardo i stanowczo powiedział, że nie posiada kwalifikacji na ministra Spraw Zagranicznych, choćby tylko na parę dni, w gabinecie parlamentarnym, i że żąda mianowania doświadczonego parlamentarzysty na tak eksponowane stanowisko — choćby St. Strońskiego, który palił się do tej teki. Innym ważnym mankamentem tak w karierze Morawskiego, jak i wielu innych, był brak stażu na Wschodzie. Siłą inercji nasze MSZ było podzielone na klan Zachodni i Wschodni, i były to dwa różne światy, mówiące innymi językami, o innej optyce, a nieraz i o radykalnie różnych zapatrywaniach na koncepcję całości polskiej polityki zagranicznej. Właśnie ten brak choćby paroletniego stażu na Wschodzie, i to nie tylko w ambasadzie w Moskwie, ale także w konsulatach naszych w Rosji, sprawił, że i Morawski, i Lipski, i nawet Edward Raczyński nie doceniali i charakteru i niebezpieczeństwa świata rosyjskiego. A z drugiej strony nasi tzw. eksperci od Rosji nie zdawali sobie zupełnie sprawy, jak w oczach Zachodu granice i nawet niepodległość państw tego regionu wydawały się drugorzędne w porównaniu z Tradycyjną pasją mocarstw Zachodniej Europy do prowadzenia ich odwiecznej gry o *balance of power* nad Renem i na Morzu Śródziemnym.

Z tym wszystkim jestem przekonany, że Kajetan Morawski byłby dużo lepszym ambasadorem polskim w Paryżu, niż Alfred Chłapowski czy Juliusz Łukasiewicz, przynajmniej tak długo, jak długo Beck nie był ministrem Spraw Zagranicznych. Francuzi mają swe *bêtes noires*, zawsze je mieli, i wówczas ścigają je nawiścią aż poza grobową deskę. Francuzi i Quai d'Orsay dosko-

nale stawili sześćoiletnie rządy Augusta Zaleskiego na Wierzbowej, choć oczywiście wiedzieli, że Zaleski nie był frankofilem, ale od zawsze zdecydowanym anglofilem, jak zresztą cała nasza zawodowa i tradycyjna dyplomacja. Podłoże tej orientacji stworzył już Paderewski, potem kontynuował ją Sapieha, potem Skirmunt, który może, na swój spokojny, jakby indyferentny sposób, najbardziej się przyczynił — zrazu z Wierzbowej, potem z Londynu — do skryształizowania czegoś, co można by nazwać polską doktryną polityki zagranicznej. Doktryna ta, głęboko pro-zachodnia, dążąca do uregulowania naszych stosunków z Niemcami, ale bez żadnych ofiar terytorialnych z naszej strony, *de facto* rezygnująca z wszelkiej ekspansji na Wschodzie, wychodziła z założenia, że dominującym mocarstwem w Europie po-Wersalskiej jest Anglia, a nie Francja, i że nasza taktyka powinna być, o ile możliwości, skalkowana na pozycji i taktyce brytyjskiej, nie narażając się jednak z tego tytułu Francji, ale unikając wszelkich anty-angielskich i anty-niemieckich akcentów. Sam Marszałek Piłsudski przyłączył się po zamachu majowym do tej ostrożnej koncepcji, którą uprawiali po kolei Skirmunt, Al. Skrzyński, August Zaleski, a nawet Beck, tylko hałaśliwie i niezręcznie. Przy słabości Francji, przy zmienności jej rządów, trudno było z Francji zrobić zasadniczy czynnik naszej polityki zagranicznej; to nie znaczyło, rzecz jasna, iż wolno było ją sobie zrażać, bo i po co? Nie wyobrażam sobie, by Morawski mógł radykalnie poprawić stosunki polsko-francuskie, by mógł, jako ambasador w Paryżu, nawet bez Becka w Warszawie, przekonać Francuzów, iż mają podporządkować swe próby porozumienia z Niemcami interesom Polski, przyznać Polsce jakby prawo weta, gdy chodziło o stosunki Francji czy to z Niemcami, czy to z Rosją. Gdyby takie możliwości istniały — w co nie wierzę — to reżym sanacyjny musiałby wysłać do Paryża na ambasadora Sosnkowskiego; on jeden miałby może szansę poważnych rozmów z Francuzami na temat wagi i przyszłości sojuszu polsko-francuskiego. Ale gdyby Morawski był przed wojną przez długie lata w Paryżu, to atmosfera stosunków polsko-francuskich byłaby na pewno dużo lepsza, uniknięto by wielu zupełnie niepotrzebnych tarć i sporów, i może Morawski byłby w stanie lepiej i trafniej informować rząd w Warszawie o prawdziwych intencjach i zamiarach zarówno rządu, jak i sztabu francuskiego. Morawski w Paryżu nie mógłby oczywiście przeszkodzić decyzji Anglii i Francji niebronienia Czechosłowacji, bo opinia publiczna obu tych krajów nie zniósłaby interwencji zbrojnej w obronie Czechów. Ale może jego rozsądne depesze — a Morawski był człowiekiem nadzwyczaj rozsądnym — sprawiłyby, iż Polska zachowałaby się w sprawie Monachium dużo bardziej neutralistycznie, nie żądałaby np. Śląska Cieszyńskiego, a to by nam mogło wyjść tylko na dobre.

Ale Morawski został ambasadorem we Francji przy de Gaulle'u, i to w Algierze, i dopiero w roku 1943. Cóż można było wówczas zrobić? Morawski nie reprezentował już nic. De Gaulle, przejęty troską o uratowanie choć stołka, choć zydelka dla Francji

w koncercie mocarstw, nie mógł nam w niczym pomóc. Nasze losy w czasie wojny spoczywały do pewnego stopnia w rękach Edwarda Raczyńskiego, ale nigdy Morawskiego; stąd roli i znaczenia tych dwóch dyplomatów nie można porównywać. W każdym razie jestem przekonany, że Morawski zrobił co tylko mógł by de Gaulle'a pozyskać dla naszej sprawy; a że te sympatie de Gaulle'a dla Polski, zapewne szczere a bardzo serdeczne dla Morawskiego osobiście nic nam nie dały, to znowuż nie było winą ani Morawskiego, ani nawet de Gaulle'a: w okresie Jałty, i potem, Francja nie liczyła się wcale.

Po wojnie tylko nasze emigracje wojenne w całości, wzmocnione Polonią tam, gdzie istnieje, mogą odgrywać rolę naszych ambasad niepodległościowych; ale jest rzeczą pożądaną, by ludzie wytrawni, wyrobieni, doświadczeni starali się te akcje indywidualne, czy grupowe, jakoś koordynować i wygładzać. Mamy zawsze więcej temperamentu, niż namysłu, i mamy wszyscy skłonność do przesadnego optymizmu i do grubego przesadzania naszych możliwości. Rola polskich „ambasadorów *in partibus*” jest więc nie tylko trudna, ale i bardzo niewdzięczna. Ze Kajetan Morawski tak bezinteresownie tę swoją taczkę w Paryżu do końca życia ciągnął, to zwiększa dług, który my wszyscy mamy wobec jego pamięci.

W. A. ZBYSZEWSKI

## 30-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego w New Yorku

(próba prezentacji)

Pod numerem 381 przy Park Avenue South w Nowym Jorku ma swą siedzibę ważna polska placówka naukowa. Jest nią Instytut Józefa Piłsudskiego, prowadzący badania nad najnowszą historią Polski. Instytut posiada dobrze wyposażoną bibliotekę, której kierownikiem jest były minister oświaty w Polsce Niepodległej, emerytowany profesor dr Wacław Jędrzejewicz.

Właśnie biblioteka jest miejscem szczególnie dobrze dostosowanym do prowadzenia badań naukowych, a to z racji bogatych zbiorów zarówno książek jak i czasopism oraz archiwum, w którym przechowywanych jest wiele cennych dokumentów. Do niedawna pewien kłopot sprawiał brak maszyny do kopiowania dokumentów, dziś jednak ta trudność została przezwyciężona, i Instytut może we własnym zakresie dokonywać fotokopii cen-

nych materiałów, bez czego prowadzenie nowoczesnych badań byłoby poważnie utrudnione. Biblioteka nie wypożycza w zasadzie swych zbiorów osobom prywatnym, z przywileju tego mogą jednak korzystać inne placówki naukowe.

Biblioteka posiada opracowany katalog kartkowy; nie wydano natomiast drukowanego katalogu zbiorów.

Co roku Instytut wydaje Biuletyn (w języku polskim i angielskim), zawierający sprawozdanie z działalności, sprawozdanie finansowe, listę członków wreszcie informację dotyczącą ostatnich publikacji.

### Historia Instytutu

#### 1. W Polsce

Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce jest przedłużeniem placówki o tej samej nazwie (z wyjątkiem oczywiście słów „w Ameryce”) istniejącej i działającej przed II Wojną Światową. Stworzony w roku 1923 Instytut Badań Najnowszej Historii Polski związany był ściśle z Wojskowym Biurem Historycznym. W roku 1936 Instytut przybrał imię Józefa Piłsudskiego i przeniósł się do lokalów Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych.

Już wówczas Instytut posiadał szereg cennych dokumentów dotyczących m.in. Polskiej Partii Socjalistycznej, Związku Strzeleckiego z czasów I Wojny Światowej, Legionów Polskich i innych polskich formacji wojskowych, powstania wielkopolskiego (1918-1919), trzech powstań śląskich (1919-1921), polskich formacji wojskowych w Rosji (1917-1918) i we Francji, działalności politycznej Polaków w USA tudzież wielu innych problemów i dziedzin.

Oficjalnym organem Instytutu w Warszawie był periodyk *Niepodległość* pod redakcją Leona Wasilewskiego a po jego śmierci St. Szpotańskiego. Do lipca 1939 roku wydano 19 tomów w 55 zeszytach, zawierających około 200 stron każdy. Prezesami Instytutu byli kolejno: znawca spraw mniejszości Leon Wasilewski, następnie byli premierzy Walery Sławek i Aleksander Prystor.

Instytut wydał około 20 tytułów prac naukowych, wśród nich kilka wielotomowych. Ważnym dorobkiem Instytutu było wydanie „Pism zbiorowych” Józefa Piłsudskiego w 10 tomach (Warszawa 1937-38), które do dnia dzisiejszego stanowią podstawę badań dla wielu naukowców.

#### 2. W Stanach Zjednoczonych

W roku 1943 wskrzeszono działalność Instytutu na ziemi amerykańskiej. Postanowiono zmienić status Instytutu w tym kierunku, że jego siedzibą miały być Stany Zjednoczone. Władze stanu Nowy Jork oraz Departament Skarbu wyraziły zgodę na

działalność Instytutu jako placówki naukowej o celach niekomercyjnych.

Do zadań Instytutu należy nabywanie, przechowywanie oraz prowadzenie badań nad dokumentami dotyczącymi najnowszej historii Polski od roku 1863 do chwili obecnej, wydawanie prac naukowych, organizowanie odczytów oraz wspieranie innej działalności naukowej. W tym celu Instytut nawiązał kontakt z szeregiem amerykańskich instytucji naukowych.

Działalność Instytutu finansowana jest drogą składek członkowskich, jak również drogą darów od fundacji i od osób prywatnych.

Bratnia organizacja o identycznej nazwie i celach znajduje się w Londynie: jest nią Instytut Józefa Piłsudskiego, 240 King St. London, W.6., England.

## Zbiory

### 1. Dokumenty archiwalne

Poważną część archiwum składa się z dokumentów wywiezionych z Polski w okresie kampanii wrześniowej 1939 roku. Dokumenty te są skatalogowane i udostępnione dla badań naukowych. Wśród nich znajduje się tzw. „archiwum belwederskie” — dokumenty kancelarii wojskowej Marszałka Piłsudskiego z okresu piastowania przezeń urzędu Naczelnika Państwa oraz Naczelnego Wodza Wojska Polskiego. Obejmują one okres od roku 1918 do grudnia 1922 roku i zawierają ponad 40.000 stron. Podzielone są one na 7 zespołów: dokumenty wojskowe (13 tek); Czechosłowacja, Ukraina, Litwa, Rosja (32 teki); Niemcy, Austria (8 tek); Francja (Polski Komitet Narodowy) (6 tek); Anglia, Stany Zjednoczone, Włochy, Rumunia, państwa neutralne (15 tek); Węgry i Czechosłowacja (3 teki); sprawy wewnętrzne (4 teki). Ponadto kilka tek obejmuje miscelanea, wśród których 4 teki zawierają dokumenty francuskiej misji wojskowej w Polsce przebiegającej tam w związku z działaniami wojennymi roku 1920.

Zbiory te wykorzystane zostały w różnych badaniach i pracach naukowych, a w szczególności: Johna Bradleya: *Allied Intervention in Russia, 1918-1920* (London, 1968); M. K. Dziewanowskiego: *Joseph Piłsudski, a European Federalist, 1918-1922* (Stanford, 1969); Piotra Wandycza: *Soviet-Polish Relations, 1917-1921* (Harvard Univ. Press, 1969) oraz licznych artykułach.

Szczególnie wartościowe dla badaczy są 3 teki dokumentów generała Tadeusza Rozwadowskiego, sęfa Sztabu Głównego w roku 1920. Jest tu oryginalna korespondencja z francuską misją wojskową w Polsce, listy i depesze do Marszałka Piłsudskiego, wiele autografów generała Weyganda, zawierających jego rady i sugestie w czasie bitwy o Warszawę w sierpniu 1920 roku.

Z tego samego okresu pochodzą dokumenty ukraińskiej misji wojskowej w Polsce. W 5 tekach mieści się m.in. korespondencja atamana Petlury z władzami polskimi, oryginalny tekst polsko-ukraińskiej konwencji z kwietnia 1920 roku, dane o organizacji armii ukraińskiej w Polsce itp. Większość dokumentów w języku ukraińskim.

Inna obszerna grupa dokumentów dotyczy powstań na Górnym Śląsku w okresie 1919-1921. Większość z nich odnosi się do trzeciego powstania z maja-czerwca 1921. Dokumenty te stanowiły przedmiot szczególnej troski w okresie września 1939 roku, bowiem obok spraw czysto wojskowych znajdowały się tam listy imienne powstańców i dostanie się ich w ręce niemieckie mogłoby spowodować rzecz jasna szczególne akty represji. Zbiór ten jest skatalogowany i dobrze zachowany.

Wiele tek zawiera materiały gabinetu ministra spraw wojskowych z okresu gdy urząd ten sprawował Marszałek Piłsudski. W wielu tekach mieszczą się charakterystyki generałów i wyższych oficerów. Liczne dokumenty pochodzą z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920. Dokumentami tymi posłużył się w swych badaniach Waław Jędrzejewicz w pracy „Sprawa Wilna w lipcu 1920” (Paryż, *Zeszyty Historyczne* Nr 17, 1970).

Dokumenty generała Rydza-Smigłego z okresu operacji pod Dźwińskiem (Łotwa) zimą 1919-1920 były opracowane w studium prof. Tarasa Hunczaka *Operation Winter and the Struggle for the Baltic (East-European Quarterly, 1970, Vol. 4, No. 1)*.

Archiwum Aleksandra Prystora (5 tek) zawiera wartościowe dokumenty dotyczące Litwy Środkowej w czasie 1920-1922.

Kilka tek naświetla działalność I Brygady Legionów jak też Polskiej Organizacji Wojskowej z lat 1914-1918.

Ważne materiały zawiera także 25 tek dokumentów komisji gen. Żeligowskiego powołanej do zbadania wydarzeń związanych z przewrotem wojskowym z maja 1926 roku. Dokumenty te są dobrze zachowane i szczegółowo opisane. Owa unikalna kolekcja służyła prof. Josephowi Rotschildowi za źródło w jego pracy *Piłsudski's coup d'état* (New York, 1966).

Instytut jest również w posiadaniu wielu dokumentów Marszałka Edwarda Smigłego-Rydza za okres 1936-39.

Z czasów dawniejszych, w szczególności z okresu powstania styczniowego 1863 roku szczególną wartość posiada tzw. Archiwum Płatonowa. (Płatonow był synem faworyta Katarzyny II Płatonu Zubowa. Jako wysoki urzędnik administracji carskiej wysłany został w roku 1861 do Królestwa Polskiego w celu zbadania przyczyn wstąpienia. W Polsce pozostał on przez okres powstania, a następnie wyemigrował do Francji). Jego archiwum zawiera ponad 200 pozycji skatalogowanych i uporządkowanych. Spośród zawartych tam dokumentów najciekawsze to bez wątpienia dokumenty dotyczące powstania, sytuacji gospodarczej w kraju wreszcie korespondencja (w różnych językach) z takimi oso-

bistościami jak hr. Berg, Górczakow, Paskiewicz, margr. Wielopolski i innymi.

Cenne zbiory pozostawił Michał Sokolnicki, ambasador RP w Ankarze. Obszerne to archiwum (60 tek) zawiera dokumenty o ruchu podziemnym w okresie przed i podczas I Wojny Światowej. Są tam także materiały z okresu gdy sprawował on urząd ambasadora w Turcji, tzn. w latach 1937-1945. Wśród nich na szczególną uwagę zasługują 24 tomy zakodowanej korespondencji między Ambasadą RP w Ankarze a Ministerstwem Spraw Zagranicznych na okres 1923-1945, jak też 4 teki dotyczące działalności Sokolnickiego na stanowisku posła w Kopenhadze (1931-1936).

Dużą wartość przedstawia również archiwum Michała Mościckiego dotyczące sprawy polskiej na konferencji w Paryżu w 1919. Mościcki był wtedy sekretarzem delegacji polskiej na konferencję. Dokumenty Mościckiego (w liczbie 785, poza tym wiele wyinków z prasy polskiej i francuskiej) zgromadzone zostały w 17 tekach.

Pośród materiałów poświęconych polskiej polityce zagranicznej na uwagę zasługuje także archiwum Ambasady RP w Londynie za okres 1920-1937. W 91 tekach mieszczą się raporty z placówki londyńskiej oraz innych placówek dyplomatycznych jak również instrukcje Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie.

W grupie tej znajdują się sprawozdania (w 31 tekach) ambasadora RP w Berlinie Józefa Lipskiego. Dokumenty te wykorzystał Wacław Jędrzejewicz w swej książce: *Diplomat in Berlin, 1933-39. Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland* (N. Y., Columbia Univ. Press, 1968). W archiwum znajdują się również materiały dotyczące działalności Lipskiego na emigracji w latach 1939-1958.

Podobny zespół dokumentów stanowi obejmujące 7 tek archiwum ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza. Także i ten zespół został wykorzystany przez Jędrzejewicza w jego kolejnej pracy: *Diplomat in Paris, 1936-39. Papers and Memoirs of Juliusz Łukasiewicz, Ambassador of Poland* (N. Y., Columbia Univ. Press, 1970). Także i on pozostawił wiele notatek o swej działalności politycznej na emigracji w latach 1939-1951.

Okres II Wojny Światowej naświetla wiele dokumentów rządu polskiego na emigracji w Londynie. Wśród nich są papiery generała Kazimierza Sosnkowskiego z okresu 1939-1941 dotyczące tworzenia i działalności Związku Walki Zbrojnej. Wiele dokumentów traktuje o powstaniu warszawskim 1944 roku.

Wiele oryginalnych dokumentów pochodzi z obozów jenieckich w Murnau i Ingelstadt. Syndykat Dziennikarzy Polskich w Niemczech, założony tuż po zakończeniu wojny, w roku 1945, przekazał Instytutowi poważny zbiór publikacji wydawanych przez Syndykat. W posiadaniu Instytutu znajdują również materiały dotyczące Polaków przebywających w Niemczech po zakończeniu II Wojny Światowej obejmujące sprawy polskich

organizacji, szkolnictwa i opieki społecznej. Jest to ogromna kolekcja licząca setki tek.

W Instytucie Piłsudskiego reprezentowane są również materiały dotyczące działalności organizacji polskich w Ameryce. W szczególności z organizacji starszych są to archiwa Komitetu Obrony Narodowej za okres od roku 1913 do roku 1920 i lat późniejszych. Jeśli chodzi o okres II Wojny Światowej, to Instytut posiada wszystkie materiały dotyczące Narodowego Komitetu Amerykanów Polskiego Pochodzenia — w sumie około kilka tysięcy dokumentów. Z organizacją tą był związany znany polski polityk i publicysta Ignacy Matuszewski. Pozostawione przezeń papiery za okres emigracji (1939-1946) czekają na opracowanie przez naukowców.

Rzeczą samą przez siebie zrozumiałą jest, iż Instytut noszący imię Józefa Piłsudskiego zbiera skrupulatnie wszelkie materiały o Jego życiu i działalności. Kolekcja ta obejmuje listy, notatki, sprawozdania z rozmów oraz liczne materiały ikonograficzne. Wśród zbiorów znajdują się 22 listy pisane własnoręcznie przez Piłsudskiego z okresu wyprawy do Tokio w roku 1904 jak również pochodzące z tego samego okresu 46 listów późniejszego prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. W zbiorze tym znajdują się ponadto liczne materiały dotyczące Polskiej Partii Socjalistycznej.

## 2. Biblioteka

Biblioteka Instytutu posiada ponad 5000 książek i innych druków z najnowszej historii Polski od roku 1863 do czasów obecnych, w większości w języku polskim i angielskim. Zaprowadzono kartkowy katalog autorów oraz katalog rzeczowy obejmujący 68 działów (np. Katyń, Mniejszości narodowe, Okupacja, Obozy koncentracyjne, Powstanie warszawskie 1944 itp.). Wiele tytułów to prawdziwe białe kruki.

Biblioteka posiada także ponad 3500 innych druków, nie skatalogowanych, lecz ułożonych tematycznie. Dzisiaj owe cienkie broszurki, których inne biblioteki nie kolekcjonują, stanowią bezcenne źródło badań dla historyków.

Lista periodyków obejmuje ponad 1500 tytułów, w większości w języku polskim. Zakres czasowy: lata przed I Wojną Światową, Polska niepodległa 1918-1939, II Wojna Światowa, Polska powojenna do chwili obecnej. Nie wszystkie czasopisma są w komplecie. Szczególną troską otoczone są egzemplarze oryginalne oraz kopie fotostatyczne publikacji prasy podziemnej w Polsce w latach 1939-1944 oraz wielki, prawdopodobnie pełny zbiór prasy polskiej w Niemczech z okresu bezpośrednio po zakończeniu wojny.

## 3. Zbiory fotograficzne

Przeszło dwanaście tysięcy fotografii przechowywanych w Instytucie usystematyzowano według klucza osobowego (np. I. Mo-

ścicki, J. Piłsudski — bardzo obszerny zbiór przeszło 1500 fotografii — W. Sikorski, E. Śmigły-Rydz, A. Zaleski itp.), rzeczowego (np. Kampania Wrześniowa 1939, Armia Polska we Francji, Powstanie warszawskie, Zniszczenia wojenne itp.) wreszcie geograficznego (Warszawa, Wilno, Lwów, Zamość itp.).

#### 4. Kolekcja map

Instytut jest w posiadaniu poważnej kolekcji map, w większości operacyjnych w skali 1:300 000. Wykorzystywane są one do studiów nad działaniami wojennymi w Polsce w czasie I Wojny Światowej, wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920 oraz II Wojny Światowej.

#### 5. Publikacje

Mimo ograniczonych środków finansowych Instytut wydał wiele prac naukowych. Organem Instytutu (również londyńskiego) jest periodyk *Niepodległość*, będący przedłużeniem ukazującego się przed II Wojną Światową pisma o tej samej nazwie. Wydawanie pisma wznowione zostało w Londynie. Do chwili obecnej ukazało się 8 tomów — po około 300 stron każdy. Zawierają one artykuły, wspomnienia, przeglądy bibliograficzne oraz inne informacje dotyczące okresu 1863-1939.

Karol SZWEDOWICZ

Nakładem Instytutu ukazały się następujące pozycje książkowe:

- Gromada, T.: ed., *Essays on Poland's Foreign Policy, 1918-1939* (przedruk z *Polish Review*). New York, 1970. 75 str.
- Jędrzejewicz, W., ed., *Józef Piłsudski, Wybór pism*. New York, 1944. 303 str.
- Jędrzejewicz, W., ed., *Poland in the British Parliament, 1935-1945*. 3 Vol. New York, 1946-1962. 1842 str.
- Jędrzejewicz, W., *The Polish Plan of a „Preventive War” against Germany in 1933* (przedruk z *Polish Review*, New York, 1966. 32 str.
- Jędrzejewicz, W., *Polonia Amerykańska w polityce polskiej*. New York, 1954. 303 str.
- Kasprzycki, T., *Joseph Piłsudski and his Ideas on International Peace*. New York, 1967. 40 str.
- Kasprzycki T., *Polityka pokoju i mocy zbiorowej w epoce Józefa Piłsudskiego*. New York, 1967. 40 str.
- Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. New York, 1944. 69 str.
- Matuszewski, J., *Wybór pism*. New York, 1952. 296 str.
- Piłsudski, J., *O Powstaniu 1863 roku*. New York, London, 1963. 276 str.
- Piłsudski, J., *The Year 1920: The Battle of Warsaw and the Polish-Soviet War of 1919-1920*. New York, London, 1971. 292 str.
- Sokolnicki, M., *Dziennik Ankarcki, 1939-43*. New York, London, 1965. 540 str.
- Sokolnicki, M., *Rok Czernasty*. New York, Londyn, 1961. 387 str.
- Sosnkowski, K., *Materiały historyczne*. New York, London, 1966. 688 str. 1953. 21 str.
- Wandycz, D. S., *Polish-Americans and the Curzon Line*. New York, 1953. 31 str.
- Wandycz, D. S., *Zapomniany list Piłsudskiego do Masaryka*. New York,

## 40-lecie torontońskiego «Związkowca»

W Kanadzie ukazują się obecnie w języku polskim 4 tygodniki i jeden pół-tygodnik. Wydawany od końca grudnia ub. roku *Kurier Polsko-Kanadyjski* jest pismem dwujęzycznym. Tylko jedno z tych pism — *Czas* — ukazuje się w Winnipegu — pozostałe zaś w Toronto.

*Głos Polski*, organ Związku Narodowego Polskiego, ukazuje się od 1950 roku; *Kronika Tygodniowa* — tygodnik komunistyczny — wychodzi w Toronto od 1941 roku. Najstarszym pismem jest *Czas*, ukazujący się od kwietnia 1915 roku.

*Związkowiec* zaczął wychodzić w styczniu 1933 roku jako miesięcznik, od października 1935 roku jako tygodnik, a od marca 1957 roku jako pół-tygodnik. Jest to jedyny pół-tygodnik polonijny w Kanadzie. W artykule redakcyjnym z okazji jubileuszu redaktor naczelny pisma, Benedykt Heydenkorn, zaznaczył m.in.: „Nie zamierzamy chwalić się ani wywyższać, natomiast stwierdzamy, że *Związkowiec* przez 40 minionych lat dobrze i wydajnie służył Polonii Kanadyjskiej, walczył o należne jej miejsce w społeczeństwie kanadyjskim, w tym kraju osiedlenia, a przy tym nigdy nie tracił łączności z Polską, krajem urodzenia, względnie pochodzenia gdy chodzi o pokolenia młodsze. *Związkowiec* przez wszystkie lata swego istnienia głosił zasadę utrzymywania więzów z Polską, z narodem polskim, i nigdy ich nie zrywał. Nie było to — i nadal nie jest — równoznaczne z utożsamianiem się z politycznym systemem czy ustrojem w Polsce, ale wyrazem prawdziwych i głębokich więzów tradycyjnych i kulturowych w najszerszym tego słowa znaczeniu”.

„Pismo z charakterem” — w ten sposób określa *Związkowiec* dr Tadeusz Brzeziński, b. konsul generalny RP w Montrealu, który poznał je dobrze w latach urzędowania i wielu następnych. W bardzo trudnych latach wojennych na ukształtowanie się pisma, na umocnienie jego pozycji, przemożny wpływ miał Franciszek Głogowski, który po ukończeniu studiów prawniczych w Warszawie przybył w 1938 roku do Kanady jako instruktor harcerek. Jemu przypadło zadanie wypracowania linii działania w nowej sytuacji: zarówno w Polsce, gdzie system rządów został narzucony przez Moskwę, ale gdzie znajdował się jeszcze Stanisław Mikołajczyk, jak i w Kanadzie — dokąd napływały rzesze nowych emigrantów z szeregów wojskowych oraz z niemieckich obozów koncentracyjnych i z zesłanych na przymusowe roboty. W owym czasie istotnym problemem był rząd emigracyjny w Londynie oraz Skarb Narodowy. Dla starej emigracji były to zagadnienia obce, dla nowej bliskie. Głogowski głosił hasło „rozpakowania walizek”, mocnego usadowienia się w Kanadzie, zapraszając nowoprzybyłych do Związku Polaków — a przecież wielu z nich marzyło o nowej wojnie. Powstawała więc co najmniej rozbieżność, jeśli nie wręcz płaszczyzna tarć. Już to wystarczało, by żywot redaktorów *Związkowca* był ciężkim pasmem zmagania i walk.

W styczniu 1957 roku do redakcji wszedł jako zastępca red. Głogowskiego Benedykt Heydenkorn, zawodowy dziennikarz, b. sprawozdawca polityczny *Agence Havas*, współpracownik pism warszawskich, agencji prasowych itp., który w latach 1952-1956 pracował w *Głosie Polskim*.

Pociągnęło to za sobą wiele zmian poczynając od tego, że w marcu 1957 roku, pod nieobecność red. Głogowskiego, *Związkowiec* przekształcił się w

pół-tygodnik. Oznaczało to rozbudowę pisma: powstały nowe działy, zaczęły znikać przedruki, Heydenkorn zlikwidował drukowanie w odcinkach starych powieści i sięgnął po nowe, współczesne, autorów krajowych i emigracyjnych, wśród nich również zamieszkałych w Kanadzie. Od września 1964 roku — kiedy red. Głogowski opuścił pismo i w kilka miesięcy później powołany został jako sędzia do Imigracyjnego Trybunału Apelacyjnego — Heydenkorn stanął na czele pisma. Jego osobistą zasługą jest niewątpliwie zdobycie szeregu dobrych piór, które zasilają łamy *Związkowca*.

Heydenkorn zapewnił *Związkowcowi* pierwsze miejsce w prasie polonijnej. Pismo ma nie tylko wyraźne oblicze ale i odpowiedni poziom. Będąc bardzo kanadyjskie, bardzo polonijne, nie jest ciasne, zamknięte li-tylko w tych ramach. Zastępuje to tym bardziej na uznanie, iż dzieje się to w kraju o grubo mniejszej ilości Polaków aniżeli w sąsiedniej, bogatej Ameryce, gdzie pisma polonijne zamierają.

## Wystawa Teresy Lewandowskiej

W dniu 14 października w Upsali odbył się wernisaz wystawy Teresy Lewandowskiej na której przedstawiono publiczności szwedzkiej 61 obrazów związanych problemowo świadectwem martyrologii Żydów w czasie II wojny światowej.

Teresa Lewandowska jest Polką, córką współpracownicy Janusza Korczaka. Mieszkając tuż przy murach getta, czternaścieletnia wówczas Teresa Lewandowska była bezsilnym świadkiem dziejącej się za murami tragedii.

Jednocześnie z wystawą w Upsali nakładem Amnesty International ukażą się drukiem album, zawierający wybór 24 obrazów z wyżej wymienionej serii. Dochód z albumu przeznaczony jest na fundusz pomocy więźniom politycznym tej organizacji. Należy dodać, że Amnesty ma duże zasługi w dziele pomocy więźniom politycznym, zwłaszcza w krajach Europy Wschodniej.

Album poprzedzony jest słowem wstępnym czołowego szwedzkiego uczonego, prof. Bernhardta Tarschysa, który akcentując ludzkie wartości publikacji stwierdza jednocześnie, że dzieło Teresy Lewandowskiej jest wielką sztuką. Podobnie ocenia recenzent dziennika *Uppsala Nya Tidning*, stwierdzający, że zarówno wystawa jak i wydrukowana teka są „dziełami najwyższej klasy”.

Miarą zainteresowania teką jest to, że była ona już wystawiona w 21 miastach Szwecji.

## Sprawy (nie tylko) wydawnicze

### Catch-as-catch-can i łaskotanie czytelnika

Czwartek 25 października 1973 zastał mnie jeszcze przy pisaniu tych kilku stron. Radio z godziny na godzinę powtarzało informacje o nocy ZSSR z poprzedniego wieczoru, o ogłoszonym pogotowiu bojowym sił zbrojnych USA. Do późnych godzin wieczornych utrzymywało się napięcie: wojna, czy „tylko” demonstracja siły, konfrontacja dwu potęg nuklearnych, czy „tylko” potrząsanie kułakiem — na wiadomość o wyjściu czołgów amerykańskich na granice NRF-NRD słuchacze poczuli się na krawędzi katastrofy światowej.

Ale wystarczyło przesunąć nieco czerwony pasek na skali aparatu radiowego — i z Warszawy popłynęły spokojne komunikaty o czynach produkcyjnych, wykonaniu planów, plagach egipskich. Z Moskwy zapowiadano inaugurację kongresu „sił walczących o pokój”, informowano o mnóstwie większych i mniejszych radości produkcyjnych na wsi i w mieście. Dopiero po sesji Rady Bezpieczeństwa Moskwa poinformowała o pogotowiu bojowym jako o manewrze Nixona wobec trudności wewnętrznych, pomijając oczywiście milczeniem własną notę i groźbę interwencji zbrojnej na Bliskim Wschodzie.

Komunikat Moskwy, powtórzony przez Warszawę i inne stolicy państw Paktu Warszawskiego zdumiał uważnego słuchacza. Był to pierwszy od wielu miesięcy przypadek wymienienia nazwiska Nixona bez życzliwych przymiotników i przymilnego schlebiana (w ustawicznym kontekście „przełomowej wizyty towarzysza Leonida Breżniewa w Stanach Zjednoczonych”). W *Prawdzie* nie wahano się nawet ocenzurować (z naruszeniem Konwencji Genewskiej, UCC 1952) ostatniego przed śmiercią wiersza Pablo Neruda: wykreślono cztery linijki oskarżające Nixona i imperializm amerykański.

Informacja stała się w naszych czasach artykułem pierwszej potrzeby tym powszechniejszej im powszechniejsza staje się oświata. Informacja, wiedza o świecie, płody kultury narodowej

i światowej sterowane, cenzurowane, dawkowane przez rządzącą partię polityczną: jak funkcjonuje w Polsce to sito decydujące o tym co ma dotrzeć do świadomości szarego obywatela? I drugie pytanie niepomiernie ważniejsze — czy stale działający system doboru informacji i środków oddziaływania kulturalnego napotyka niezmiennie na sprzeciw krytycznego czytelnika, słuchacza, widza? Czy też szatańska goebelsowska zasada — stałe powtarzanie = przekonywanie — znajduje w Polsce Ludowej nowe potwierdzenie i stosowany system informacji powoduje nieodwracalne niemal zmiany w świadomości coraz to liczniejszej części społeczeństwa?

W Polsce może jeszcze nie, ale w ZSSR magicy od informacji i ideologii wierzą w orwellowskie zamroczenie społeczeństwa, pozbawionego samodzielności krytycznego sądu, własnych ocen moralnych, umiejętności odróżniania dobra i zła. Tylko przekonaniem o całkowitej znieczulicy moralnej społeczeństwa można wyjaśnić wydrukowanie w *Literaturnoj gazietie* relacji o drugim wyroku Amalrika. W najkrótszym streszczeniu: dyrektora agencji *Novosti* poprosił przedstawiciel UPI o informację za co skazany został powtórnie Amalrik. Powiadomiony więc został, że Amalrik w czasie odbywania kary więzienia przekazał żonie „na widzeniu” niezgodne z prawdą informacje, szkalujące ZSSR. Sprawę rozpatrywał sąd okręgowy na posiedzeniu jawnym, chociaż „ze względów technicznych” przeprowadzonym na terenie więzienia. Sąd okazał wyjątkowe względy dla oskarżonego i skazał go „tylko” na dalsze 3 lata więzienia, mimo że Amalrik jest „recydywistą” i to niepoprawnym. Pointa: tow. dyrektor oburza się i grozi sankcjami — UPI zamieściła pełny tekst „wyjaśnienia” Agencji *Novosti*, opatrując, je komentarzem, że podobnego „procesu” i wyroku nie można sobie wyobrazić w żadnym innym kraju.

*Literaturnaja gaziet*a zamieszcza tę relację w głębokim przekonaniu, że czytelnik podzieli oburzenie *Novosti* i nie uwierzy w istnienie jakiegos kraju na świecie, który by puścił więźniowi płazem zbrodnie opowiadania żonie o stosunkach panujących w więzieniu. Czy *Lit-gaziet*a ma słuszość? Jaki odsetek czytelników, jaki odsetek obywateli ZSSR współczuje Amalrikowi, a oburza się na jego oprawców? Nikt takich badań nie przeprowadzi.

A w Polsce? Gdybyśmy mogli przeprowadzić w Polsce podobny test, przypuszczam, że otrzymalibyśmy wynik jednoznaczny: ogromna większość czytelników wyraziłaby mniej lub więcej aktywnie protest przeciwko takim metodom. Sądzę, że większość obywateli PPR pozostaje wrażliwa na „ponadklasowe” pojęcia krzywdy i sprawiedliwości.

Zagadnienie staje się poważne i dramatyczne dopiero jednak przy rozważaniu, czy JESZCZE pozostaje wrażliwa, czy też znieczulica ogarniać będzie w Polsce, podobnie jak w ZSSR, coraz szersze kręgi społeczne?

Spółczeństwo polskie trwa bowiem w typowym dla państw komunistycznych podziale na wiele kręgów wtajemniczenia. Szary obywatel zdany jest na PAP-kę informacyjną, dostarczaną przez prasę, radio, telewizję. Członkowie partii otrzymują tej informacji nieco więcej, czasem informacja dla nich jest tylko nieco wcześniejsza. Specjalne zebrania partyjne, listy do członków partii, poprzedzające ważniejsze wydarzenia, mają m.in. pozorować przynależność członków partii do kręgu wtajemniczonych.

Tak naprawdę to dopiero aparat partyjny i aparat bezpieczeństwa i wojska stanowią rzeczywisty pierwszy krąg wtajemniczenia. Tu docierają specjalne biuletyny informacyjne, organizowane są systematyczne odprawy i rozsyłane instrukcje. Mamy tu do czynienia właściwie z systemem koncentrycznych kręgów wtajemniczenia. Im węższy krąg, tym obfitszy i bardziej wielostronny staje się potok informacji. Wokół punktu środkowego — kierownictwa partii — gromadzi się już niewielka grupka osób Najwyższego Wtajemniczenia: pierwsi sekretarze wojewódzcy, czołówka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i wojska. Tu docierają wszystkie informacje: nasłuchy radia zagranicznego, przeglądy prasy światowej informacje cenzury (osławione pismo *Sygnaty*, publikujące ważniejsze skonfiskowane artykuły i fragmenty książek), streszczenia meldunków terenowych i zagranicznych Bezpieczeństwa, wojsk, Min. Spraw Zagr., Najw. Izby Kontroli itp.

Dwa są założenia — oba fałszywe — tego całego nadzorowanego przez cenzurę systemu dozowania informacji: wiara w możliwość dowolnego niemal sterowania monopolistycznym potokiem informacji (założenie: społeczeństwo dowie się tylko o tym, o czym my chcemy, by się dowiedziało), oraz pogarda dla szero-kich kręgów społeczeństwa, dla szarych obywateli (założenie: uwierzą we wszystko, co im się powie, lub wydrukuje). Nie wiele pomaga fakt, że każdy kryzys polityczny dowodzi czegoś wręcz przeciwnego: po październiku 1956, marcu 1968, grudniu 1970 wśród czołowych żądań społeczeństwa znalazł się postulat pełnej, szczerzej informacji, a wśród dawanych pośpiesznie obietnic kierownictwa partii — zapowiedź niezwłocznego zrealizowania tego postulatu w imię „zaufania do klasy robotniczej, do narodu”. Ale po krótkim z reguły przesileniu wraca wszystko do dawnych form przestłaniania, zakłamywania rzeczywistości.

W dziedzinie informacji w krajach komunistycznych ustalił się nieznan na Zachodzie podział społeczeństwa według uprawnień do uzyskiwania informacji. Jednym z najbardziej w Polsce cenionych przywilejów tych, co sprawują władzę, lub przynajmniej dobrze z „władzą” żyją, jest dostęp do informacji. Zewnętrznymi atrybutami uzyskanego szczebla w karierze dygnitar-skiej są nie tylko wartości materialne: uposażenie, marka samochodu służbowego, rozmiary i umeblowanie gabinetu i sekretariatu, bateria telefonów (z tym najważniejszym bezpośrednio włą-

czonym do sieci Bezpieczeństwa, jednym z 200 telefonów Osób Najważniejszych w kraju). O pozycji w tym kraju decyduje w równej mierze czy dygnitarz otrzymuje „tylko” różowe kartki Biuletynu Specjalnego PAP, czy również białe kartki nastuchu radia zagranicznego, *Kulturę*, numerowane supertajne ekstrabiuletyny. Przywilej lepszej informacji, pozycja obywatela nie zdanego bezradnie na krajowe środki informacji wyróżnia Osoby Ważne nie tylko w stolicy, czy w mieście wojewódzkim. W najmniejszych nawet ośrodkach powiatowych i gminnych spotykałem się zawsze z opinią, nie pozbawioną zawiści, o tych co mają styk z władzą, co bywają w stolicy, czy chociażby w województwie, lub powiecie: „Ten to chociaż wie co się w kraju i na świecie dzieje”.

Pamiętam ogromną radość przechodniów czytających w marcu 1968 roku wielkie transparenty na gmachu Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu: „PRASA KŁAMIE”, „CZYTAJCIE ŚWIERSZCZYKA — JEDYNĄ UCZCIWIE REDAGOWANĄ GAZETĘ POLSKĄ” itp. Jeśli kiedyś powstanie poważna naukowa monografia polskich środków masowego przekazu, rok 1968 przyjęty będzie jako początek wzmrożonej, a po grudniu 1970 szczególnie intensywnej akcji władz i redakcji na rzecz pozyskania zaufania czytelników. Niezrównany Machejek, wykładający jak zawsze bez bawienia się w dyplomację, kawę na ławę, określił to dosadnie: „Od łaskotania czytelnika przeszło się do tego, że każdy chwyt wobec niego jest dozwolony” (warszawska *Kultura*, Nr 41, 1973).

Przyjmując definicję Machejka najpierw o łaskotaniu czyli o różnych, przejmowanych od Zachodu i od przedwojennych „czerwoniaków”, metodach werbowania czytelników, widzów i słuchaczy — amatorów sensacji, łatwej lektury, licznych ilustracji i krótkich tekstów. W PRL zaczęło się od prototypu już w r. 1946, kiedy Rafał Praga zaczął wydawać *Express Wieczorny* o pewnych jeszcze ambicjach kulturalnych i dobrej publicystyce. Z wpływem lat powstał w prasie, radio i następnie w telewizji, w całym rozbudowanym „przemysle rozrywkowym”, ten sam co na Zachodzie drugi nurt kultury przez maleńkie „k”. Wytykana krajom kapitalistycznym, jako rzekomy grzech przeciw Kulturze (przez wielkie K), pod wzgardliwą nazwą *mass-culture* — istnieje również w Polsce i musi istnieć: kultura masowa dla najliczniejszej grupy społeczeństwa.

*Mass-culture* — sam tak przed laty sądziłem — w krajach kapitalistycznych stanowi subkulturę dla szerokich mas tak szatańsko pomyślaną, by możliwie podwyższyć próg dzielący ją od prawdziwej kultury, Kultury dla elity. Próg ten rzeczywiście istnieje i na przykład w NRF niełatwe jest przejście od „czytania” Springerowskiej *Bildzeitung* (ilustracje z krótkimi sensacyjnymi lub sentymentalnymi tekstami) do czytania *Die Zeit* lub nawet *Der Spiegel*. Sęk jednak w tym, że 5 milionów czytelników *Bildzeitung* — a przynajmniej ich przyniatająca większość nie

przeczyta ani jednego artykułu znakomitych nawet publicystów poważnej prasy — nawet gdyby *Die Zeit* okazała się pewnego dnia jedyną gazetą NRF. W warunkach teoretycznej próżni, absolutnego braku innego słowa drukowanego czytałyby *Die Zeit* tak, jak czyta szary obywatel moskiewską *Prawdę* (informacja z autopsji): ograniczyłyby się do depeesz z kraju i ze świata, do podpisów pod ilustracjami i karykaturą polityczną.

Błąd mój i innych piszących na tematy kultury polegał więc nie na stwierdzeniu istnienia na Zachodzie progu między kulturą masową i kulturą dla elity, ale na negowaniu jego istnienia w Polsce. W Polsce Ludowej przejście od prostszych do pełnych form korzystania z dorobku kulturalnego, od „dolnych” do „górnym” rejonów kultury miało być ułatwione. Cała rewelacyjna prawda polega na tym, że nie jest.

Na korzyść polskich środków masowego przekazu w porównaniu z Zachodem można zapisać jedynie znacznie mniejszą codzienną porcję opisów zbrodni i gwałtów, oraz drastyczne ograniczenie stopnia obnażenia dziewcząt, czemu w druku sprzyja jeszcze fatalny poziom techniczny reprodukcji. Ale nie to stanowi przecież o wysokości wspomnianego progu, oddzielającego nie gorzej niż na Zachodzie dwa izolowane od siebie rejony kultury.

W prasie, prymityw intelektualny popołudniówek i większości prasy prowincjonalnej nie różni się wiele od prasy masowej Zachodu. Inne są oczywiście tematy, inni bohaterowie i bohaterki, ale poziom, pozał się Boże, publicystyki i reportażu większości 44 gazet (nakład jednorazowy przeszło 7 milionów egzemplarzy) na pewno nie jest wyższy. Nie ma na ten temat badań uogólniających, ale jeśli już nie sposób dotrzeć do tych wszystkich Głosów, Ech, Expressów każdej wojewódzkiej stolicy, to wystarczy ocenić ich poziom na podstawie oślich łączek z cytacjami z prasy prowincjonalnej w tygodnikach społeczno-literackich („Coś z życia” *Polityki*, czy krakowski *Zywocik Literacki*).

Badania przeprowadzano jedynie — i to kilkakrotnie — nad najbardziej rażącym przejawem prasowej subkultury, nad powieściami w odcinkach. W 1963 roku wyniki jednego z takich badań wydane zostały nawet jako druk poufny. Wyniki były tak alarmujące, że powołano specjalną komisję, która miała wpływać na dobór powieści. Nic jednak nie pomogło. Najgorsze kryminały zagraniczne i krajowe, sentymentalna grafomania, powieści awanturnicze najgorszego kalibru były tak skutecznym wabikiem, że redaktorzy do dziś głusi są na żądania pięknoduchów. Prosty rachunek: nazajutrz po wydrukowaniu ostatniego odcinka powieści nakład spadał o 25-40%. Więc co prędzej sięga się po nową powieść brukową i nakład wraca do normy.

Niepublikowanie wyników badań na wstydlivy temat kultury masowej w Polsce jest regułą. Nigdzie nie ma nawet wzmianki o znanych mi badaniach na temat przyczyn popularności audycji o rodzinie Matysiaków w polskim radio i *show’ów* w



polskiej telewizji. O innych badaniach nie wiem — ale i tego wystarczy, by poznać prawdę o petryfikacji uwarstwienia kulturalnego społeczeństwa. Istnienie i poziom prasy wiejskiej, *Kulisów* i *Panoramy* (Machejek — *op. cit.*: „...oba pisma zresztą zastużone”), audycji dla maluczkich i najprostszych śpiewanek, najłatwiejszej muzyczki — wszystko to potwierdza stosowanie niezmiennie metod „łaskotania”. Najszersze kręgi widzów, radiosłuchaczy, expressoczytelników stanowią bierni użytkownicy „dóbr kulturalnych” drugiego nurtu, zwolennicy najbardziej przystępnej informacji, najprostszej rozrywki.

Do metod „łaskotania” czytelnika zalicza Machejek, z nieukrywaną satysfakcją, zabiegi *Literatury* o nowe, niezainteresowane bynajmniej literaturą zastępy czytelników. Bo też *Literatura* niczym nie pogardza: już po pierwszych miesiącach literackiego „dziewictwa” — całe kolumny o sporcie, modna powieść amerykańska, najdalsza od realizmu, a ostatnio niemal podwojenie nakładu dzięki Marylin Monroe (życie duchowe bez obłonek i zdjęcia także — co za plecy!).

Tyle o łaskotaniu. Co miał na myśli Machejek (wiadomo, konspirator) mówiąc, że się tego lata przekonał, że każdy chwyt wobec czytelnika jest dobry — nie nam zgadywać. Sięgnijmy więc do pierwszego z brzegu przykładu z własnej lektury — przykładu — powiedzmy to od razu — szczególnej wagi.

Od czasu Helsinek sprawa swobodnego przepływu informacji i wymiany dóbr kulturalnych stała się, jak wiadomo, problemem numer jeden w pertraktacjach Wschód-Zachód. Jakaś tam była pewnie w kraju odprawa, spotkania międzynarodowe na różnych szczeblach i rozpoczęła się w Polsce według zasady *catch as catch can* zmasowana kampania z udziałem czołówki polskich publicystów.

Chodzi o odwrócenie kota ogonem — o przekonanie społeczeństwa polskiego, że to Zachód odgradza swoich obywateli od dorobku kulturalnego krajów komunistycznych, że gdyby nie te niecne przeszkody czynione na Zachodzie swobodnemu przepływowi myśli ludzkiej...

M. Rakowski: „Jeszcze przez długie lata nie przekonamy Zachodu o wyższości naszych obrabiarek. Mamy za to ogromną możliwość przekonania o wyższości kultury w Polsce” (*Kultura* (warszawska), Nr 41, 1973). A Wiesław Górnicki (*Polityka* Nr 41, 1973) wręcz stwierdza, że prócz *musicalów* pornograficznych „Hair” i „Oh, Calcutta” oraz filmów o James Bond’zie oraz innej miernoty — wszystko co wartościowe na Zachodzie przyswaja się polskiej kulturze. Posłuchajmy: „Trudno wręcz pojąć, czym jeszcze moglibyśmy usatysfakcjonować pewne środowiska zachodnie skądinąd rozpaczliwie nieoczytane w kulturze (styl, Panie Wiesławie! — A.B.) krajów socjalistycznych. To raczej my moglibyśmy wystąpić z żądaniem, aby Zachód nadrobił *najpierw* swe opóźnienia w wymianie autentycznych wartości kulturalnych, za-

*nim* zaczniemy z nim rozmawiać na temat np. redukcji zbrojeń (gdzież tu logika? — A.B.)”.

Polska, zdaniem Górnickiego, tłumaczy 25 razy więcej książek z literatury zachodniej, niż Zachód z literatury polskiej, sprowadza 15 razy więcej filmów z Zachodu niż Zachód z Polski. Co za chwyt wobec czytelnika! Jakie słuszne i głęboko patriotyczne oburzenie narodu: żądamy parytetu kulturalnego! Prowadź Wiesławie (Górnicki) pod ambasadę Francji: ani jednego egzemplarza Balzaka więcej, dopóki oni też nie wydadzą 113 tomów Kraszewskiego w dwu i pół milionach egzemplarzy!

Górnicki używa nieuczciwego chwytu, bo przecież doskonale wie o co chodzi. Każdy Polak gorąco pragnie, by kultura polska, jej najcenniejszy dorobek, był jak najlepiej i jak najszerszej prezentowany zagranicą. Ale postulat: „książka nie zna granic” nie oznacza między państwowej umowy o parytecie w imporcie i eksporcie praw autorskich i dóbr kulturalnych. Nie oznacza i nie może oznaczać. Chodzi natomiast o to, by zmusić na przykład rząd szwedzki<sup>1</sup> do zniesienia cenzury prewencyjnej i wszelkich zakazów wydawania przekładu jakiegokolwiek książki zagranicznej, którą obywatele szwedzcy pragną czytać. By każdy obywatel szwedzki mógł nabyć każdą książkę zagraniczną bez żadnej kontroli paczki na poczcie, czy w księgarni. I by tak było we wszystkich innych krajach świata, nie wyłączając Portugalii, Grecji i Polski.

Nie należę do pięknoduchów, którzy by potępiali istnienie *Kulis*, idiotycznych powieści w odcinkach brukowych gazet, rodziny Matysiaków w radio; nie postuluję idealnego modelu Piękną i Kultury, pozbawiającego ludzi tego, co chcą czytać i tej rozrywki, której pragną. Można wpływać na zmiany w uwarstwieniu kulturalnym społeczeństwa, ale nie zniknie ono ani za pięć, ani za dwadzieścia lat. Najgroźniejsza jest jednak hipokryzja: wmawia się społeczeństwu, że wyrównane zostały wszelkie różnice w osiągniętym poziomie rozwoju kulturalnego. Wmawia się po to, by tym łatwiej łaskotać dla dobrego samopoczucia, stosować każdy dozwolony i niedozwolony chwyt dla zakłamania rzeczywistości.

Adam BROMBERG

Uppsala, 3 listopada 1973.

1. Pragnąc uniknąć nieporozumień wyjaśniam, że przykład jest abstrakcyjny. W Szwecji nie ma ani cenzury prewencyjnej, ani ograniczeń w imporcie książek.

## Z teki informacyjnej

### Przedwczesność, serendypizm a twórczość naukowa

(Z dygresją o Koperniku)

Różnica pomiędzy twórczością naukową a artystyczną, między charakterystycznymi cechami produktów tych twórczości, dałaby się sformułować w następujący sposób. Tylko wynik twórczości artystycznej (a więc poetyckiej, muzycznej, czy plastycznej) może stanowić obiekt wyjątkowy, jedyny i niepowtarzalny. Gdyby nie było Beethovena, to nie istniałaby i nigdy nie mogłaby powstać „Eroica”, gdyby nie było Mickiewicza, to nigdy by nie mogły istnieć „Dziady”, gdyby nie było Leonardo da Vinci, to nigdy by się nie mogła do nas uśmiechać Mona Lisa.

Natomiast rezultaty twórczości naukowej, technicznej i filozoficznej, a więc koncepcje, hipotezy i systemy teoretyczne zdają się być obiektami nieuniknionymi. W pewnym stadium rozwoju wiedzy muszą się one pojawić i pojawiają się niezależnie od osobowości twórców. Gdyby nie było Archimedesza, to „eureka” wykrzyknąłby jakiś inny odkrywca zasad hydrostatyki, gdyby nie istniał Newton, to prawo ciężenia powszechnego byłoby odkryte i sformułowane, w sposób najzupełniej równoważny, przez kogoś innego.

Koncepcje techniczne (tzw. wynalazki) nie tylko są notorycznie konstruowane przez różnych autorów, ale w wielu wypadkach, nawet niemal w tym samym okresie czasu. Fakt ten stanowi jedną z najbardziej fascynujących stron historii nauki i technologii. Przynajmniej jeżeli różne jej szczegóły nie są pomijane milczeniem z powodu takich czy innych stronnicych tendencji (np. „patriotycznych”).

Drugą, może równie fascynującą a zagadkową cechą wielu teoretycznych koncepcji i wynalazków jest serendypizm — tj. szczęśliwe a nieoczekiwane odkrycie, dokonane w niespodziewanym miejscu i chwili, przy mozołnym poszukiwaniu czegoś zupełnie innego, lub nawet bez poszukiwania czegokolwiek określonego. Przypadków takich można by cytować tuzinami z historii wynalazków i odkryć. Wystarczy może przypomnieć jedno z ostatnich, wielkiego znaczenia odkryć — penicylinę.

Alexander Fleming zanotował już w 1928 roku przypadkową obserwację zabójczego efektu pewnej pleśni (zresztą błędnie wtedy zidentyfikowanej) na hodowle bakterii chorobotwórczych. Nikomu jednak nie przyszło wtedy na myśl, że mogłoby być warte zachodu bliższe zbadanie tego zjawiska i dopiero w dziesięć lat później Howard W. Florey i E. B. Chain przeprowadzili serię systematycznych badań, które pozwoliły wyciągnąć praktyczne, a epokowe dla medycyny wnioski z serendypizmu odkrycia Fleminga.

Z drugiej strony obserwację Fleminga można by również traktować jako przykład odkryć przedwczesnych, ale termin ten słuszniej będzie zachować dla koncepcji lub wynalazków w pełni świadomych, docenianych przez odkrywcę, a które mimo to, będąc „przedwczesne” nie doznały uznania ani zastosowania.

Prof. Gunther S. Stent (Berkeley) zaproponował następującą definicję „przedwczesności” w nauce. Koncepcja czy odkrycie są przedwczesne jeżeli ich implikacje nie dadzą się powiązać przy pomocy szeregu logicznych konstrukcji z kanoniczną, a więc powszechnie uznaną wiedzą (dla wynalazków technicznych można by dodać — „lub z powszechnie znaną technologią”).

Klasycznym przykładem przedwczesnej teorii naukowej w dziejach nowoczesnej wiedzy jest teoria dziedziczenia, którą stworzył, uzasadnił, eksperymentalnie stwierdził i szczegółowo opisał w roku 1865 austriacki mnich, znakomity naturalista-ogrodnik, Gregor Mendel. Teoria ta nie wywołała wtedy żadnego oddźwięku, żadnej reakcji, pozytywnej czy negatywnej — nie skłoniła nikogo do sprawdzenia opisanych eksperymentów, prowadzących do „dziwacznych” wyników, nie dlatego, jak można by uważać, że Mendel był skromnym przyrodnikiem o statusie uczonego amatora bez wysokich kwalifikacji akademickich, ale po prostu dlatego, że koncepcja „elementarnych jednostek” dziedziczenia (które później nazwano „genami”) nie mogła być w żaden sposób powiązana i uzgodniona z wiedzą anatomii i fizjologii jaka istniała w połowie XIX stulecia. Ponadto, technika statystycznego wnioskowania potrzebna dla wyprowadzenia koncepcji Mendla (jak w ogóle matematyczne opracowywanie obserwacji) nie była jeszcze wtedy stosowana w badaniach biologicznych. A więc była to dodatkowa cecha „ekscentryczności”.

Dopiero kiedy w końcu stulecia udoskonalona technika mikroskopowa pozwoliła obserwować podział komórki ze stadiami mitozy i mejozy oraz procesem dzielenia się chromosomów, wtedy koncepcja „jednostek dziedziczości” dała się powiązać z wiążącymi szczegółami struktury żywej komórki. Trzej uczeni, H. de Vries (Holandia), C. Correns (Niemcy) i E. Tschermak (Austria) niezależnie od siebie (i nie znając rozprawy Mendla) ponownie odkryli w roku 1900 koncepcję „genów”, po czym grupa uczniów de Vriesa przypadkowo odnalazła zapomniany artykuł Mendla.

Innym nowoczesnym przykładem przedwczesnej koncepcji

naukowej może być teoria adsorpcji gazów, którą M. Polanyi rozwinął i opublikował w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej. Naturalnie, wojna utrudniła komunikację wiadomości naukowych, ale nie to było przyczyną tak zdecydowanego odrzucenia i potępienia teorii, że gdyby Polanyi nie zaniechał polemiki i obrony swej teorii, to mogłoby to spowodować złamanie dalszej jego akademickiej kariery. Przyczyną było to, że właśnie ostatnio wtedy odkryta i powszechnie uznana teoria roli pól elektromagnetycznych w budowie materii zdawała się być kompletnie sprzeczna z wnioskami wynikającymi z teorii Polanyiego, która wysuwała tak „dziwaczny” postulat jak to, że siły wiążące molekułę gazu z powierzchnią ciała stałego są niezależne od obecności innych molekuł w polu sił. Dopiero, kiedy w przeddzień drugiej wojny światowej zyskała uznanie nowa teoria sił przyciągania międzymolekularnego, oparta na koncepcjach mechaniki kwantowej, wtedy teoria, którą wysuwał Polanyi została (w 1950 roku) ponownie „odkryta”, przestawszy mieć charakter „przedwczesności” i zyskała prawo obywatelstwa w nauce.

Wśród przedwczesnych wynalazków technicznych można by przypomnieć jeden z pierwszych udokumentowanych przykładów: Leonardo da Vinci wykonał rysunek i narysował pierwsze wersje łożysk kulkowych. Ten, przedwczesny wtedy wynalazek (jak i kilka innych Leonarda), czekał parę stuleci na ponowne odkrycie.

Z niejakim uzasadnieniem można by też uważać teorię Kopernika za „przedwczesną” w tym czasie kiedy została ona opublikowana, zarówno w streszczeniu, w dziełku „Narratio prima” jakie ogłosił w 1540 roku Georg Joachim von Lauchen, *alias* Reticus, jak i w pełnym tekście „De revolutionibus orbium coelestium, libri VI”, wydanym pod nazwiskiem Kopernika w Norymberdze w 1543 roku.

Z drugiej jednak strony „przedwczesność” teorii Kopernika była nieco innego rodzaju, choć bowiem jej implikacje pozostawały w sprzeczności z powszechnie wówczas uznawanymi koncepcjami astronomicznymi, to zapewne ważniejszy był ich konflikt ze znacznie szerszym, nadrzędnym zakresem koncepcji filozoficznych w ogóle, a teologicznych w szczególności.

Nie ulega wątpliwości, że Kopernik zdawał sobie zupełnie jasno sprawę z tej sytuacji, a jednocześnie będąc przekonany o słuszności swej koncepcji, zarówno godził się z potrzebą przekazania wyników i zasad swej teorii ograniczonemu kołom specjalistów, jak zwlekał z ogłoszeniem i powszechnym udostępnieniem swego dzieła „O obrotach”. Dlatego też streszczenie swej teorii, które napisał zaraz po powrocie do Kraju z Włoch, znane pod nazwą „Commentariolus” (pełen tytuł: „Nicolai Copernici de hypothesibus motuum coelestium a se constitutis commentariolus”) nie było wydane drukiem, ale w licznych rękopiśmiennych kopiach krążyło z rąk do rąk, tak samo jak odpisy tablic astronomicznych, które, obliczone przez Kopernika w oparciu

o jego teorię, stanowiły bardzo poważne udoskonalenie powszechnie wtedy używanych „Tablic Alfonsjańskich”.

Z tegoż powodu w pracy, w której Reticus podaje obszerniejsze omówienie teorii, napisawszy ją pod okiem Kopernika, na jegoż wyraźne żądanie ani razu nie wymienia nazwiska autora teorii, ukrywając je pod kryptonimem „mój mistrz”.

A wreszcie kiedy ostatecznie, u schyłku życia, Kopernik zgodził się na ogłoszenie drukiem swego *opus magnum*, którego rękopis trzymał pod kluczem przez dwanaście lat, Andreas Osiander, który doglądał druku w Norymberdze, poprzedził dzieło (anonimową) przedmową, zalecającą uznanie przedstawionej koncepcji układu planetarnego nie jako teorii rzeczywistej struktury kosmicznej, ale jako propozycję eksperymentalnej hipotezy, której celem i zadaniem jest uproszczenie obliczeń astronomicznych i zredukowanie uciążliwych błędów, jakie zakumulowały się przez oparcie obliczeń na układzie ptolemeuszowym.

Przedmowa ta stała się przedmiotem dyskusji na całe wieki, jako że jej bezpośrednim efektem było osiągnięcie wątpliwego uspienia czujności cenzury filozoficznej i teologicznej za cenę faktycznej denigracji twórczego wysiłku naukowego, sprowadzającej konstrukcję teorii odkrywczą do poziomu czysto technicznego, kalkulacyjnego zabiegu matematycznego.

Spierano się o to czy Osiander, sam zarówno uczony jak duchowny, dodał tę przedmowę własnowolnie (z życzliwości dla autora aby sparować spodziewane ataki) czy też uczynił to po porozumieniu się i z aprobatą Kopernika. Wiemy że Osiander przeprowadzał w tej sprawie korespondencję z Kopernikiem. Listy te zaginęły bezpowrotnie, ale jeszcze Kepler jakoby oglądał je i czytał (co zresztą nie jest całkowicie pewne, jako że nigdzie ich treści nie cytuję *verbatim*, mimo że w gwałtownych dyskusjach na temat przedmowy występował, powołując się na tę korespondencję). Może wiedział o niej z drugiej ręki, zupełnie dlań wiarogodnej? Może w zapale polemicznym chciał w niej wyczytać to co uważał że tam być powinno? Historycy i publicyści, którzy opowiadają się za lub przeciw wersji zgody czy aprobaty Kopernika, opierają się w istocie wyłącznie na własnych domysłach, wyczuciach, lub życzeniach.

Mimo prawdziwej powodzi artykułów, przemówień, wykładów, a nawet dzieł na cześć Kopernika nie wydaje się aby, poza szczupłym gronem fachowców, zrozumienie na czym polega wielkość i wartość teorii Kopernika było rzeczywiście dość powszechne.

Istotą rzeczy nie jest to, że Kopernik „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię” jak śpiewał poeta. Idee układu heliocentrycznego, oraz jego poszczególne elementy nie stanowiły bynajmniej nowości w czasach Kopernika. Przeciwnie, zainteresowanie podobnymi koncepcjami było od dawna (od wieków) dość szerokie. Sam Kopernik cytuje wiele nazwisk filozofów i astronomów — od starożytności, aż po swego imiennika, kardynała de Cusa i nauczyciela swych nauczycieli, Johanna Müllera vel Monte-

regio, znanego pod imieniem Regiomontanus, którzy omawiali i dyskutowali zasady systemu heliocentrycznego.

Ale koncepcja heliocentryczna to jest jeszcze sprawa dość odległa od zagadnienia heliocentrycznego układu planetarnego. Stworzenie tego układu to nie jest wyobrażenie sobie, czy narysowanie wszechświata w postaci centralnego słońca, dokoła którego krążą planety, ale wykoncypowanie takiego mechanizmu powiązań, który pozwoliłby obliczyć gdzie np. za miesiąc, rok, czy dekadę znajdować się będzie na firmamencie ta, czy inna planeta. Taki mechanizm układu planetarnego to jest stworzenie szeregu funkcjonalnych stosunków, inaczej mówiąc szereg sformułowań matematycznych — wzorów i metod obliczeń. To właśnie stanowi odkrycie Kopernika i wielkość jego układu planetarnego. Sam pomysł heliocentryzmu i nie wystarczyłby i nie byłby nowością.

System planetarny Kopernika pozwalał wyeliminować wiele błędów obliczeniowych i przewidywać pozycje planet, nawet na dłuższy okres czasu z dużą dokładnością. Stanowił on olbrzymi krok naprzód w rozwoju naukowej astronomii przez zdecydowane zerwanie z koncepcją „idealnych krzywych” i „idealnych ruchów ciał niebieskich”, ale, naturalnie, było to dopiero pierwsze przybliżenie do rzeczywistości. Kepler udoskonalił system Kopernika, gdy zastosowując ten system obliczeń do wielkiego zbioru obserwacji Marsa, które latami dokonywał ze zdumiewającą dokładnością Tycho Brahe, wpadł na pomysł, że planety mogą poruszać się nie po krzywych cykloidalnych (jak zakładał Ptolemeusz i wciąż przyjmował Kopernik) ale po krzywych stożkowych. Ta koncepcja nie tylko spowodowała dalsze uproszczenie mechanizmu ruchów planetarnych, ale także pozwalała wyjaśnić zagadkowe zjawisko niejednostajnych szybkości ruchów planet na różnych odcinkach ich orbit. Rozwiązanie innej wielkiej zagadki — mianowicie czy i dlaczego planety w ogóle muszą się poruszać — czekało wiele jeszcze lat na Newtona, który znalazł rozwiązanie w stworzonej przez siebie koncepcji ciężenia powszechnego i „praw ruchu”.

Sądzę że 400-lecie urodzin Kopernika upoważnia do włączenia dygresji, mimo że tylko ubocznie łączy się ona z tematem.

Mogąc z pewnym uzasadnieniem przypisywać teorii Kopernika „przedwczesność” można by również dopatrywać się w niej „serendypizmu”. Bowiem system planetarny Kopernik odkrył niejako przypadkowo, przy poszukiwaniu rzeczy nieco innej, a mianowicie udoskonalenia sposobu obliczania pozycji planet w stosunku do „domów” zodiaku. „Znakomity nasz astronom”, za jakiego, nawiasem mówiąc my, Polacy zaczęliśmy uważać Kopernika gdzieś dopiero w końcu XVIII stulecia (Uniwersytet Jagielloński był *ostatnim* z wielkich wszechnic europejskich, który wprowadził w wykładach system Kopernika zamiast systemu Ptolemeusza) był niewątpliwie wybitnym umysłem, genialnym humanistą, ale nie był wcale przez współczesnych uważany za astronoma. (Tak samo astronomem nie był Galileusz ani New-

ton). Oczywiście, jako typowy XVI-wieczny humanista, miał on szeroki zakres zainteresowań i studiów. Nie wyłączając lingwistycznych. Tłumaczył on przecież literackie utwory (sielankowe, nie teologiczne) z greki na łacinę. Prawda że studiował w Krakowie astronomię, ale obok astrologii i alchemii. Były to w tym okresie trzy dyscypliny pomocnicze i niezbędne do studiów medycyny. W XV i XVI stuleciu medycyna na poziomie „naukowym” była nie do pomyślenia bez astrologii, a wuj Kopernika, Łukasz Watzelrode (który objął opiekę nad rodziną Mikołaja po śmierci jego ojca) chciał go wykształcić na swego przybocznego lekarza, prywatnego sekretarza i dyplomata do specjalnych poruczeń (a może nawet następcę na stolicy biskupiej). Tu trzeba przypomnieć, że Biskup Warmii w XVI wieku to była pozycja na najwyższych szczytach społecznych, to był udzielny książę, władca feudalny, tym bardziej niezależny, że miał dwóch Suzerenów. Jednym był Król Polski, a drugim Papież. Biskup był władcą Warmii nie tylko duchownym, ale również świeckim. Miał on okazały dwór z całą wytworną etykietą i pełną kancelarią do administrowania swym krajem, prowadził wielką politykę państwową, utrzymywał jeżeli nie przedstawicielstwa, to przynajmniej agencury, zarówno przy królewskim dworze polskim, jak przy Kurii rzymskiej i posługiwał się dyplomatami, swymi posłami, podróżującymi po wielu stolicach europejskich.

Po czteroletnim pobycie Mikołaja w Krakowie, aby go finansowo usamodzielnic, przy najbliższej okazji wakansów, biskup mianował go (tak samo zresztą jak jego brata Andrzeja) kanonikiem przy katedrze we Frauenburgu (który Kopernik lubił nazywać Gynopolis). Kanonik, to było w tym czasie stanowisko urzędnika administracyjnego na poziomie menadżerskim, z odpowiednim dochodem finansowym, ale bynajmniej nie godność duchowna. Kopernik nie miał (i nigdy nie przyjął) wyższych święceń kapłańskich — był zwykłym klerykiem, jak zazwyczaj każdy abiturient uniwersytecki w owych czasach. W całej kapitule frauenburskiej na szesnastu kanoników tylko jeden miał święcenia kapłańskie i mógł odprawiać mszę.

Niezwłocznie po mianowaniu kanonikiem, Kopernik dostał urlop z Kapituły i wyjechał do Włoch na studia medycyny w najbardziej wówczas renomowanej uczelni, w Bolonii, a następnie w Padwie. Rok jubileuszowy, tj. 1500, spędził w Rzymie, gdzie jak się domyślamy (bez zachowanego udokumentowania) zaznajamiał się z działalnością dyplomatycznego przedstawicielstwa Warmii przy Kurii, a także, w charakterze „wędrownego magistra”, wygłosił serię wykładów z matematyki (astronomicznej). Następnie udał się do Ferrary, gdzie po dwuletnich studiach otrzymał doktorat z prawa kanonicznego i niezwłocznie potem wrócił do Kraju, gdzie przez następne sześć lat przebywał w rezydencji biskupów warmijskich w zamku w Heilsbergu, jako przyboczny lekarz, zaufany sekretarz, urzędnik do specjalnych poruczeń i ulubieniec biskupa. Dalszą karierę Mikołaja przerwał nagły a niespodziewany zgon biskupa w roku 1512. Kopernik

musiał przenieść się do Frauenburga i zadowolić się do końca życia pozycją kanonika. Biskupem warmijskim został wysoce uzdolniony dyplomata, doświadczony dworzanin wielu władców europejskich, syn piwowara z Gdańska, Johannes Flachsbuger, znany w naszej historii jako Jan Dantyszek.

Koperniański układ planetarny, stanowiąc system heliocentryczny, nie tylko wchodził w konflikt z powszechnie przyjmowanym systemem kosmograficznym, ale również zawierał elementy szerszej koncepcji filozoficznej, z której groźnej wymowy zdawał sobie doskonale sprawę sam Kopernik, ale które, z drugiej strony czyniły jego teorię interesującą i atrakcyjną dla ówczesnej „lewicy intelektualnej” humanizmu. Postawienie słońca w pozycji nieruchomego ośrodka całego ówczesnego wszechświata nie tylko zaprzeczało twierdzeniu Biblii, że „Jozue wstrzymał słońce”. Fundamentalizm biblijny miał duży wpływ w ośrodkach protestanckich (a i tu większy na Melanchtona niż na Lutera, którzy obaj, z tego właśnie względu sypali potępienia na głowę Kopernika) ale był znacznie mniej poważnie traktowany w świecie katolicyzmu. Jednakże wyniesienie słońca na pozycję „władcy” układu kosmicznego nabierało podejrzanych barw „ubóstwienia” słońca.

Kult „boga słońca”, którego rywalizacja z chrześcijaństwem do pozycji religii państwowej w Imperium Rzymskim była rozstrzygnięta tylko osobistą decyzją Konstantyna Wielkiego, mimo wpływu dwunastu stuleci nie został zapomniany przez teologów i filozofów Kurii, tym bardziej że elementy tego kultu nie zostały kompletnie unicestwione. Tlił się on nie tylko w tajemnych praktykach pokątnych guślarzy, ale także w półjawnych prądach, grupach i stowarzyszeniach zwolenników „filozofii hermetycznej”, gdzie pod zewnętrzną powłoką ćwiczeń i doświadczeń intelektualnych nurtowały gnostyczne i okultystyczne tradycje wywodzone od osobowości mitycznego Hermesa Trismegistosa (inaczej Har-m-akhi) — egipskiego boga-słońca.

Dziś dla nas takie skomplikowane parantele mogą się wydawać komicznym dziwactwem, ale w czasach Renesansu były to sprawy śmiertelnie poważne. (Ten przymiotnik nie jest hyperboliczny. Doświadczył tego w niewiele lat później Giordano Bruno, który wbrew propagowanym legendom został stracony nie za głoszenie idei kopernikańskich ale hermetyzmu).

Zagadnienie „przedwczesności” koncepcji teoretycznych ma tę charakterystyczną cechę, że w każdym konkretnym przypadku możemy ją rozpoznać dopiero wtedy gdy przypadek przestanie być „przedwczesny”. A nie możemy sądzić, że nasza wiedza jest rozwinięta tak już wysoko, że spodziewać się można tylko stopniowych ulepszeń, ale nie prawdziwie epokowych czy rewolucyjnych dla nauki odkryć i koncepcji. Otóż tak nie jest. Nie tylko możemy wiedzieć że oczekują nas odkrycia wielokrotnie przewyższające swym znaczeniem wszystko co dotychczas zostało odkryte i zrozumiane, ale możemy nawet wskazać w jakich dziedzinach zjawisk takich odkryć należy się spodziewać.

Dotychczasowa nasza znajomość wszechświata opiera się wyłącznie na danych jakie otrzymujemy za pośrednictwem promieniowań elektromagnetycznych, obejmujących całe spektrum fal od promieni cieplnych i światła widzialnego, po fale ultrafioletu, radiowe i promienie kosmiczne. Ale cała ta gama przekazów informacji zawarta jest w zakresie pól i sił elektromagnetycznych. Wiemy jednak że siły magnetyczne to jest tylko jeden z czterech rodzajów sił jakie istnieją w świecie materii. Jeżeli siły te uszeregujemy według skali wielkości, to po jednej stronie sił magnetycznych będziemy mieć siłę ciężenia powszechnego (najślabszą z sił naturalnych), a po drugiej będą dwie większe siły, które w braku lepszego określenia nazywamy: słaba siła jądrowa (ssj) i mocna siła jądrowa (msj).

Dotychczas dla poznania rzeczywistości wszechświata umiemy wykorzystać tylko fale jakie powstają w polu sił elektromagnetycznych. Ale, jak się zdaje jesteśmy już w przededniu odkrycia fal powstających w polu sił grawitacyjnych (choć wciąż jeszcze nie rozwiązane są technologiczne zagadnienia obserwacji i mierzenia tych promieniowań). Możemy także podejrzewać, że zarówno pole ssj jak pole msj generują odpowiednie zakresy fal (promieniowań). Choć nie mamy jeszcze żadnych koncepcji ani co do charakteru takich promieniowań, ani, tym bardziej, co do możliwości ich wykrywania i wykorzystania, to jednak nie ulega kwestii, że są to dziedziny przyszłych eksploracji.

Intuicje, domysły i proroctwa to nie są czynniki stosowane w nauce — przynajmniej świadomie i celowo — ale mają one jakiś, i nie mały udział w „serendypizmie” odkryć i wynalazków. Czy, i jeżeli tak, to w jaki sposób są one — jak i wiele innych „nieortodoksyjnych” przejawów rzeczywistości, związane z działaniem innych, poza elektro-magnetyczną, sił naturalnych, tego oczywiście nie można jeszcze nawet spekulacyjnie postulować, ale można się spodziewać.

J. P. HORZELSKI

#### PIONEER 10

W dopisku do artykułu z Nru 3/306 należy uzupełnić, że w dniu 15 lutego br. statek kosmiczny *Pioneer 10* pomyślnie minął pas asteroidów. Wbrew pierwszemu danym z sygnałów wysłanych z pierwszych dni podróży w pasie asteroidów, okazało się że liczba cząstek materialnych wielkości od jednej tysięcznej milimetra do jednego milimetra jest tam mniejsza niż można się było spodziewać, będąc zaledwie trzykrotnie większa niż w przestrzeni między ziemią a księżycem. W całym pasie asteroidów, mającym szerokość prawie równą średnicy orbity ziemi, *Pioneer 10* nie spotkał ani jednej cząstki materialnej większej niż milimetr, a żaden z asteroidów nie znalazł się w zasięgu ani aparatów fotograficznych ani innych instrumentów pomiarowych statku. Przybycie statku w pobliże Jowisza spodziewane jest w pierwszych dniach grudnia.

## Książki

### Czeskie i słowackie nowości wydawnicze

Od wiosny 1972 roku, kiedy to w nrze 4/295 *Kultury* ukazał się mój artykuł pt. „Nowa emigracja czechosłowacka”, upłynęło półtora roku. Wydawało się, że przez tak krótki okres czasu nie zbiera się dostateczna ilość tytułów, które można byłoby referować w polskim czasopiśmie. Ale na szczęście życie literackie czeskich i słowackich uchodźców rozwija się dobrze, czego, niestety, nie można powiedzieć o sytuacji w ich ojczyźnie.

Najważniejsze czasopismo tzw. posierpniowej emigracji, monachijski *Text*, przestało wychodzić. Moim zdaniem chodzi tu o pewien symptom, dotychczas niezupełnie wyjaśniony. Czasopismo miało około pięciu tysięcy abonentów, a więc nie tak mało, tym niemniej strona finansowa dawała się coraz więcej we znaki. Poza tym czasopismo poświęcało uwagę prawie wyłącznie polityce, a doświadczenia ostatnich lat uczą, że czeska i słowacka emigracja daje wyraźnie pierwszeństwo beletrystyce przed polityką czy książkami fachowymi.

Na czele działalności wydawniczej czeskiej i słowackiej emigracji stoją dwa wydawnictwa: „68 Publishers” w Kanadzie oraz „Index” w Niemczech Zachodnich. Zaczniemy od wydawnictwa kanadyjskiego, którego właścicielem jest znany pisarz i profesor uniwersytetu w Toronto, Josef Skvorecki. W nr. 4/295 *Kultury* pisałem o jego powieści „Batalion pancerny”, przetłumaczonej w międzyczasie na kilka języków (po francusku ukazała się już po raz drugi u Gallimarda, niedawno po chorwacku w Jugosławii itd.). Powieść doczekała się już trzeciego czeskiego wydania w Kanadzie — i na pewno znów szybko zniknie z półek księgarskich. Jest to jak dotąd najlepsza książka tzw. posierpniowej czeskiej emigracji i w ogóle jedna z ciekawszych pozycji literackich w ostatnich latach. Kontynuując tradycje Hászka nie jest przy tym epigońska. Stwierdza to zresztą różnojęzyczna krytyka.

W międzyczasie ukazała się nowa powieść Skvoreckiego pt. „Cud”, napisana już w Kanadzie. Główny wątek powieści do-

tyczy autentycznego wypadku w Czechach w roku 1949, niedługo po komunistycznym puczu. Partia, w swej bezsensownej walce przeciwko religii, zainscenizowała za pomocą tajnej policji „cud” w wiejskim kościele we wschodnich Czechach. Później „zdemaskowała” miejscowego plebana jako wroga ludu, który chciał rzekomo wykorzystać religijność wieśniaków i przy pomocy prymitywnego „cudu” walczyć przeciwko komunistom. Pleban nie chciał pójść na rękę policji przy tym „demaskowaniu”, torturowano go za to długo, aż zmarł. Całą sprawę, o której dużo mówiono, szczegółowo opisywała czeska prasa w okresie „praskiej wiosny”, kiedy cenzura nie działała. — Drugim wątkiem jest opis „praskiej wiosny” i sowieckiej okupacji w sierpniu 1968 r. Powieść można uważać za pierwszy literacki bilans tego okresu. Skvorecki idzie śladem wielu czeskich pisarzy i stara się rozbić mity narodowe (co zresztą robił już w swoich „Tchórzach”, opisując wydarzenia w Czechach z roku 1945). Osławionego lidera praskiej wiosny „Saszę” jeden z bohaterów książki nazywa „miłym matosem”. Autor rozprawia się przy tym z emigracją, zwłaszcza tą jej częścią, która ciągle jeszcze wierzy, że Partia popełniała błędy do stycznia 1968 roku, ale swoje winy okupiła „praską wiosną”. Gdyby nie przyszli Rosjanie nastąpiłby chyba raj — ten prawdziwy, socjalistyczny...

„Cud” Skvoreckiego jest dziełem doświadczonego pisarza. Pewne ustępy są oczywiście zrozumiałe w całej pełni tylko dla tych, którzy w latach 1948-1968 żyli w Czechosłowacji, ale całość jest dostępna i dla nie-Czechów i powinna zainteresować zwłaszcza Polaków.

Żona Skvoreckiego, Zdena Salivarova, wydała powieść pt. „Honzlova”. Jest to w pewnym sensie książka autobiograficzna. Autorka była praską aktorką oraz śpiewaczką w czeskim odpowiedniku „Mazowsza”. Atmosferę kumoterstwa oraz drobnoburżuazyjnych manier, jaka panuje we wszystkich „ludowych” zespołach pieśni i tańca, pełniących zadanie artykułu eksportowego, przedstawiła Salivarova świetnie. Niektórzy krytycy są zdania, że talentem nie ustępuje ona swojemu, bardziej znanemu, mężowi. Wszyscy zgadzają się, że autorka — na szczęście — nie ulega jego literackiemu nawykowi. O „Honzlovej”, wydanej przez „68 Publishers”, a która ukazała się w angielskim tłumaczeniu pt. „Summer in Prague” w wyd. Harper and Row w USA, napisał Alan Silitoe:

„Jest to dzieło szerokiego zasięgu, którego brak powieściom angielskim... Każde słowo, każda sytuacja mają filozoficzny i polityczny kontekst; jest to książka głęboko ludzka... smutna, a jednocześnie pełna swoistego humoru”.

Graham Greene o tej samej powieści napisał:

„Przeczytałem książkę, która mi się bardzo podoba... Wydaje się, że ze Wschodu nadchodzi specjalny typ czarnego humoru, który bardzo mi odpowiada”.

„68 Publishers” wznawia również książki, które niegdyś ukazały się w Czechosłowacji, ale z powodów politycznych po krótkim czasie zostały skonfiskowane. Do nich należą np. powieść Arnoszta Lustiga (znajdującego się obecnie w Izraelu) pt. „Ukochana”, opisująca — autobiograficznie — przygody czeskiego korespondenta w okresie pierwszych walk izraelsko-arabskich w roku 1948. Według *Neue Zürcher Zeitung* Lustigowi wystarczyło pięćset stron, żeby opisać to, na co Leon Uris w „Exodus” potrzebował tysiąca stron. Książka ta została również przetłumaczona i zdobyła sobie uznanie.

Plany wydawnicze „68 Publishers” są bardzo ambitne, a dotychczasowe wyniki działalności pozwalają sądzić, że i w przyszłości nie zawiedzie swoich czytelników.

Wydawnictwo „Index” wydało już wiele książek i nie sposób wszystkich referować. Do najciekawszych należy powieść satyryczna Jerzego Hochmana „Jeleni Bród”. Autor, były komunistyczny dziennikarz, znajduje się w Czechosłowacji w więzieniu. Opublikowanie jego satyry na Zachodzie, dokąd wywieziono rękopis, na pewno nie ułatwiło mu życia. Treścią tej powieści jest obraz życia kacyków partyjnych w Czechach, po zdobyciu władzy w 1948 roku — stereotyp znany ze wszystkich krajów demokracji ludowej, ale okraszony specyfiką „swojską”, typową czeską. Obcy specjaliści, czytający po czesku, książkę chwala (jak np. F. P. Künzel we *Frankfurter Allgemeine Zeitung*). Wątpię jednak, czy czytelnik z niekomunistycznego kraju potrafi ją dobrze zrozumieć. Jedynie czytelnicy w PRL nie mieliby pod tym względem większych trudności, ale wydanie takiej książki w Warszawie długo jeszcze nie będzie możliwe.

Znany śpiewak, autor tzw. *protest-songs*, Karel Kryl (o którym były już wzmianki w *Kulturze*), wydał „Książkę Karola Kryla”, zbiór własnych piosenek i satyrycznych wierszy. Jest to ciekawy eksperyment — trudno przewidzieć czy jego teksty będą miały u czytelników takie samo powodzenie, jakie miały — i mają — jego piosenki śpiewane. Jego piosenki we własnym wykonaniu ukazały się ponadto na płycie.

Dziennikarz, Gabriel Laub (w Pradze tłumaczył m.in. Leca i Kofakowskiego), przebywający obecnie w Hamburgu i piszący także po niemiecku, wydał w wydawnictwie „Index” książkę „Największy proces historii” (ukazała się również po niemiecku). Jest to zbiór humorystycznych „mikroopowiadań”, czerpiący przede wszystkim z humoru żydowskiego.

Inny zbiór opowiadań, tym razem z nutką sentymentalną, wydał „ostatni więzień Novotnego”, Jan Benes (USA), pt. „Kiedy się ze mną przepisz... będziesz płakać”. Opowiadania mają różne daty powstania, łączy je jednak to, co moglibyśmy określić jako „czarną falę” w literaturze czeskiej lat sześćdziesiątych. Uważny polski czytelnik odkryłby pewne podkrewienie z Hłaską i innymi polskimi pisarzami tego kierunku z połowy lat pięćdziesiątych.

Powieść Ladislava Grosmana „Panna młoda” ukazała się po

raz pierwszy zaraz po okupacji sowieckiej, została jednak natychmiast skonfiskowana i jest w kraju praktycznie nieznaną. W międzyczasie wyszła również po hebrajsku i angielsku. Grosman — autor książki, według której nakręcono znany film czechosłowacki „Sklep na głównej ulicy” z Idą Kamińską — pochodzi ze wschodniej Słowacji. Tam też rozgrywa się — w czasie drugiej wojny światowej — akcja jego powieści, opisującej nieudane próby słowackich Żydów uratowania życia w ostatnich miesiącach wojny. Książka, napisana pięknym językiem, zasługuje na uwagę.

Jak dotąd jedynym słowackim autorem wydawnictwa „Index” jest głośny ex-komunistyczny dziennikarz Ladislav Mnacsko (przebywa w Wiedniu), o którym sporo pisano w Europie kilka lat temu. Jego satyryczna powieść „Towarzysz Münchhausen” (tłumaczona na niemiecki i francuski) opisuje *dolce vita* bratysławskich i praskich szyszek komunistycznych po roku 1945. Autor zna doskonale opisywane środowisko, gdyż przez długie lata był jego zadowolonym członkiem.

Egon Hostovsky (zmarł 7 maja br.) należał do emigracji z roku 1948 — tzw. po-lutowej. Znany już przed wojną, pisał w ostatnich latach po czesku i po angielsku. W wydawnictwie „Index” ukazała się jego książka „Wyzwoliciel wraca”, w której w formie dość niejasnej alegorii zajmuje się problematyką „kultu jednostki”. Hostovsky był znany głównie w świecie anglosaskim — do książki wydanej z okazji jego 65 urodzin (w bież. roku) napisali artykuły m.in. Lewis Mumford oraz Graham Greene. — Niedługo przed śmiercią Hostovsky (kuzyn Stefana Zweiga) w innym czeskim wydawnictwie emigracyjnym wydał powieść o Nowym Jorku „Trzy noce” (angielskie wydanie tej książki przychylnie ocenił Graham Greene).

Z publikacji Index'u, które nie należą do beletrystyki, należy wspomnieć przynajmniej o trzech.

Radoslav Selucky (obecnie w Kanadzie), były komunistyczny ekonomista, który przed laty opublikował w Pradze zbiór reportaży i rozważań pt. „Zachód to Zachód”, w którym starał się w miarę trzeźwo, odmalować Zachód, wydał na emigracji książkę pt. „Wschód to Wschód”, w której opisał swoje studia w Rosji sowieckiej oraz liczne podróże służbowe do komunistycznych krajów Europy i Azji. Książka przynosi ciekawe informacje o „bratnich” stosunkach między tymi krajami, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej.

Antonin Ostry, to pseudonim autora, żyjącego w Czechosłowacji. Jego książka „Problem czechosłowacki”, która jest próbą bilansu rozwoju tego kraju od roku 1948 do dziś, pisaną ze stanowiska partyjnego intelektualisty, zwolennika Dubczeka, stała się przedmiotem sporów na emigracji. Jest to ciekawa analiza mitu stworzonego przez czeskich intelektualistów komunistycznych: niektórzy do dziś dnia nie mogą bez niego się obyć, o czym świadczy nie tylko książka Ostrego, ale również działalność na emigracji Goldstückera, Szika czy Pelikana.

Na pewno najciekawszą pracą *non-fiction* są pamiętniki Juliusza Firta, przedwojennego praskiego wydawcy, przyjaciela K. Czapka, V. Nezvala, J. Masaryka i wielu innych, w latach wojny przebywającego na emigracji w Londynie, po wojnie posła w praskim parlamencie, a po roku 1948 znowu na emigracji (m.in. był on przez długie lata dyrektorem czechosłowackiej stacji Wolnej Europy). Historyk Europy Środkowej ostatnich pięćdziesięciu lat oraz historyk literatury czeskiej owego okresu nie będzie mógł obejść się bez tej książki.

Trzeba jeszcze odnotować, że niedawno ukazała się w „Index'ie” książka pt. „Grypsy z Ruzynie”. Są to autentyczne grypsy z politycznego więzienia (znajdującego się niedaleko praskiego lotniska Ruzynie), przemycone najpierw z więzienia a potem z Czechosłowacji. Jest to ważny dokument opisujący formy represji w dzisiejszej Czechosłowacji.

Pisząc o dwu najważniejszych wydawnictwach nie można oczywiście pominąć pozostałych. Z braku miejsca odnotujmy jedynie, że od sierpnia 1968 roku ukazało się na Zachodzie około 90 książek czechosłowackich autorów emigracyjnych (po sierpniu 1968 wyemigrowało około 30 czeskich i słowackich pisarzy-beletrystów i poetów).

Niektórzy autorzy emigracyjni wydają swoje książki tylko w obcych językach, niektórzy tylko niektóre. Tak np. Szkvorecky wydał historię czeskiego filmu tylko po angielsku pt. „All the Bright Young Men and Women”; A. J. Liehm wydał po angielsku wybór swoich wywiadów z czeskimi pisarzami, które ukazały się w *Literarnych Novinach* przed okupacją (przedmowę napisał J. P. Sartre). Gabriel Laub wydał już kilka książek napisanych po niemiecku — jego ostatnia ma nazwę „Ur-laub zum Denken” (Urlop dla myślenia); autor w dalszym ciągu czerpie z czesko-żydowskiego humoru. Ladislav Mnackzo wydał po niemiecku „Proces”: posługując się schematem powieści kryminalnej próbuje opisać sprężyny władzy w społeczeństwie — jest to u niego problem wprost obsesyjny, na co wskazuje również jego znana książka pt. „Smak władzy”. Filozof Ivan Switak wydał po niemiecku „Nienaukową antropologię”, a po angielsku monografię „Montaigne”.

Odrębną kategorię stanowią książki autorów czeskich, żyjących w kraju, wydawane na Zachodzie w tłumaczeniu na obce języki z rękopisów. Do nich należą liczne dzieła Pawła Kohouta (jak np. „Biała księga w sprawie prof. Juraczka...”, „Wojna na trzecim piętrze” itd.), ciekawa powieść Jerzego Szołoli „Waganci, lalki i żołnierze”, oraz szeroko dyskutowana książka marksistowskiego filozofa Milana Machova pt. „Jezus dla ateistów”. Czołowy dziennik niemiecki, *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, drukował przez długie miesiące powieść Oty Filipa „Podróż do nieba Łoży Lapaczka”, która wzbudziła żywe zainteresowanie czytelników, o czym świadczą opublikowane listy. Wydano i wystawiono w NRF sztukę teatralną Milana Kundery „Dwoje uszu

— dwa wesela”. — Można byłoby ciągnąć tak dalej, ale artykuł zamieniłby się wtedy w spis bibliograficzny.

Zainteresowanie literaturą czeską (i w znacznie mniejszym stopniu również słowacką) na Zachodzie trwa nadal. Tłumaczy się dzieła, które ukazały się w Czechosłowacji w okresie kiedy można było wydawać ciekawe książki. Według statystyk ilość książek tłumaczonych z języków czeskiego i słowackiego na języki europejskie odpowiada mniej więcej ilości tłumaczeń z języka polskiego (w niektórych krajach przeważają nieznacznie tłumaczenia z czeskiego, w innych z polskiego). Współczesna produkcja literacka czeska i słowacka jest w tych tłumaczeniach reprezentowana albo przez utwory bądź emigrantów, bądź autorów z kraju, które zostały wywiezione w rękopisach za granicę. W kraju ukazuje się bowiem tak mało ciekawych prac współczesnych, że praktycznie nie ma z czego wybierać. Miejmy jednak nadzieję, że w następnym przeglądzie najnowszej czechosłowackiej produkcji literackiej można będzie wreszcie znaleźć także i ciekawe książki ukazujące się w kraju.

Karel KLATOVSKY

## „Świat beze mnie się spełnia...”

1. Proza Filipowicza pobrzmiewa osiemnastowieczną filozoficzną powiastką; jest w niej epicki zaśpiew i konkretność, zdany zwrot do czytelnika. Jej styl jest przeźroczysty; bezosobowy nawet w opowiadaniach o tematyce najbardziej osobistej, narracja staroświecka, pełna elegancji. Jest to elegancja botanika, objaśniającego po kolei pięć jednakowych płatków.

Tytułowe<sup>1</sup> opowiadanie jest historią człowieka, który stanął doskonałe przeciwieństwo samego narratora. Był nim samym; nia oczystym rysunku gramatyczno-logicznym, nierzadko retorycznospelnioną możliwością jego osobowości. Na pytanie, dlaczego spełniła się pierwsza, nie ma odpowiedzi i nie o nią tu chodzi, a o tęsknotę za własnym negatywem, zdziwienie dwoistością ludzkiej natury, amoralną wszechmożliwością:

„Który z nas powiedział pierwszy słowo, które nas poróżniło? To też nie ma już żadnego znaczenia. Jedno jest tylko dla mnie pewne: do tamtego jesiennego dnia, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci, byłem przekonany że ja sam umarłem już znacznie wcześniej. Może nie śmiercią zupełną, wystarczającą jednak, aby to śmiercią nazwać... Teraz jednak przekonałem

1. Kornel Filipowicz, *Śmierć mojego antagonisty*, WL. 1972, str. 173.



się, że naprawdę i ostatecznie umarłem dopiero w dniu, w którym umarł on, mój antagonistą. Istniałem tak długo, póki istniało moje przeciwieństwo, dopóki istniał negatyw, którego forma i rysunek były wiernym odbiciem mojej osobowości”.

Należy do pisarzy, którzy nie zmieniają się, a tylko doskonałą swą twórczość. Przy lekturze Filipowicza mam uczucie wchodzenia w znaną wodę; ta sama klarowność, ta sama średnia głębia i ta sama ciepłota. Nie udało mi się sprawdzić, czy w tej jasności jest już cały człowiek i pisarz, czy też ukrył się za nią ktoś inny, tak jak można ukryć się w świetle. Jego twórczość jest doskonale kulista. Poza stylizatorami od wieków nikt tak nie pisze. Nikt z dwudziestowiecznych prozaików, jak on piszących o sobie. Filipowicz pisze w dodatku stylem, który jest powierzchniową uczuciem i prawdą powszechnie sprawdzalnych. A także ich ekstraktem.

2. Nowe opowiadania z ostatniego tomiku mają charakter na poły abstrakcyjny. „Przeszkody” są na przykład powiastką o pisaniu. O naturze przeszkod:

„Oto mija miesiąc jak utknąłem w połowie mojej pracy i po dziś dzień nie posunąłem się ani o krok naprzód. Są różne przeszkody, ta mogła wydawać się głupstwem, była czymś w rodzaju niewysokiej bariery, którą należało przeskoczyć. Rzecz polegała na tym, aby zbliżyć się do niej lekko i swobodnie — i po prostu przeskoczyć ją jednym skokiem, tak jak to robi zawodnik w czasie biegu przez płotki”.

Przeszkody porównuje kolejno do poprzeczki, gładkiego muru, przepaści, lekkiej cienkiej zasłony. Najtrudniejsza jest ta ostatnia:

„Nigdy w życiu, nawet we śnie, nie widziałem takiego nieba i ziemi, takich drzew, skał, zwierząt, nigdy nie słyszałem tak dziwnych rozmów, jak te, które prowadzą ludzie, żyjący po tamtej stronie... Męcę się, szukam słów i sposobów, którymi mógłbym wyrazić przynajmniej to, czego się domyślam, co przeczuwam — ale słowa i sposoby są także tam, po drugiej stronie”.

Powiedziane wprost i ze smutkiem. Poprzeczka, mur, przepaść i zasłona — jeśli zgaduję właściwie, nie za płytko i nie za głęboko — stanowią naturę pisarza. Naturę stylu, w który wprzął się, jak w dobrze dopasowane i niezbyt ciężkie jarzmo. Na jedną krótką chwilę odsunął je — przeszkody — w „Romanie prowincjonalnym”, we fragmentach „Jeńca i dziewczyny”, w opowiadaniach rybackich, jedynych w jego twórczości erotycznych i metafizycznych.

Jest to trochę tak, jak w tym motto z Przybosa, które postawił przed opowiadaniem „Krajobraz doskonały”: „Świat beze mnie się spełnia wolny i beczuły”. Jeśli to prawda, to prawda o sprzeczności. Bo Filipowicz jest przede wszystkim pisarzem-moralistą. Pisarzem który potępia, współczuje, broni. I pisarzem,

który nie splamił się ani jednym kłamstwem, ani jednym godnym pogardy czy zapomnienia słowem.

Z opowiadania „Krajobraz doskonały”:

„Miał rację nasz przyjaciel, nazywając to miejsce niezwykłym (chciał zapewne także powiedzieć, że było bardzo piękne). Ale nie wyjaśnił nam, na czym ta niezwykłość polegała. Próbowaliśmy to zrobić, nie sądzę jednak, aby mi się udało. Może powiedziałem za mało lub, co gorsza, za dużo? Być może zbyt wiele mówiłem o szczegółach. Dodam jeszcze tylko, że w pięknie tego miejsca było coś nad wyraz niepokojącego”.

Czym jest krajobraz doskonały? I skąd owo uczucie zagrożenia, o którym opowiada narrator, nad rzeką, wśród drzew, podczas łowienia ryb? Poczucie że niezależnie od nich bez przerwy dokonuje się zmiana krajobrazu:

„A może krajobraz nie był niczemu winien, może źródło niepokoju było w nas samych?... W naszych ambicjach, wspomnieniach, rozmowach, o których nic nie powiedziałem, gdyż wydawało mi się, że nie mają nic wspólnego z otaczającym nas krajobrazem?”

Potępi więc doskonałość, zmienną, bez skazy i groźną. Wyjazd z krajobrazu stanie się ulgą, zapowiedzią powrotu w zwyczajność, która wymaga znacznie mniej napięcia. Ale sama doskonałość nie została tu zaprzeczona i pisarz porzuca krajobraz jakby z rezygnacją i smutkiem.

Podobnie w „Co jest złączone”. Narrator od lat obserwuje nieznaną sobie parę ludzi. Zdumiewa go ich spoistość, niemal cielesne zrośnięcie mężczyzny i kobiety:

„Kiedy nareszcie przychodziło do płacenia i pakowania książek rozpoczął się za każdym razem ten sam skomplikowany rytuał manualny: on, nie odrywając ramienia od ramienia kobiety, sięgał do kieszeni, wyjmował portmonetkę, płacił, przyjmował resztę, wkładał ją do portmonetki, pakował książki do torby. Wszystko to czynił z niewiarygodną zręcznością. W podobny sposób opanowuje swoje kalectwo człowiek, który utraciłszy na wojnie rękę, zdobywa w ocalałej ręce sprawność obu kończyn, a nawet biegłość wirtuoza”.

Jest wojna. Narrator dostaje się do obozu, po wojnie wraca do kobiety, która na niego czekała. Znowu spotyka tych dwoje: również młodych, podobnie jak dawniej ubranych, tak samo przylegających do siebie. Ale pewnego dnia niewiarygodnie się spełnia: zaczynają chodzić osobno. Skąd wzięło się pęknięcie? Odpowiedź pisarza zbyt jest łatwa, zbyt gładka:

„Więc nie się nie stało, po prostu przyszedł dzień, w którym rozeszli się, i od tego dnia chodzili już osobno. Rozłączyli się i rozeszli prawdopodobnie dlatego, że byli zbyt mocno ze sobą złączeni. To co ich rozłączyło było więc w nich samych od początku”.

3. Jego obozowe opowiadania przypominają bardzo Borowskiemu; są również poza jakimkolwiek konceptem literackim,

przedstawiają obóz jako społeczność rządzącą się karykaturą praw normalnego życia. Ale obiektywizacja socjologiczna — i warta w niej refleksja nad moralno-biologiczną naturą człowieka — ma tu trochę odmienny wydźwięk uczuciowy. Świat Filipowicza nie jest światem aż tak kamiennym. Zmiękczenie gwarantuje jego własna obecność.

W opowiadaniu „Misja doktora Mayera”, Niemiec, jeden z więźniów, układa encyklopedię. Pracowita mrówka przygotowuje się do końca świata i ułatwia początek nowemu. Klerk doskonały, ze skrawków gazet, które od lat znoszą mu więźniowie i kapo, zebrał wszystkie konieczne hasła. Więźniowie przychodzą do Meyera, chcąc sobie przypomnieć wygląd rzeczy, znaczenie pojęć:

„— Ee, tam, krowy. Zobacz, co to jest miłość? — powiedział pewien robotnik z Hamburga.

— Miłość ojczyzny?

— W ogóle miłość.

Doktor Meyer wyciągnął prostokątną tekturkę z hasłem „Liebe”, na której przyklejone były wycinki z gazet, strzępy książek i kalendarzy, pojedyncze zdania i słowa. Komentarze i uzupełnienia wpisane były drobnym jak mak, ale czytelnym pismem, ręką doktora Meyera. Hasło było obszerne, nie mieściło się na jednej kartce, tekst przeniesiony był na następną stronę. Meyer trzymał kartę delikatnie w dwóch palcach i czytał:

— Według Platona: najwyższy afekt moralny...”

4. Przypomina kameleona; z łatwością przemienia się w urzędnika, który marzy o kupieniu wartburga. Opowiadanie nosi tytuł „Złe przeczucie”. Los uśmiecha się do narratora w postaci śmierci teściowej i odziedziczonej parceli. Następuje pierwsza wyprawa za miasto, z rodziną i psem Robby, kupionym do samochodu. Mężczyzna — odrębny i samotny, jak często w jego pisarstwie:

„Wysiedliśmy — stop! nie my wysiedliśmy, tylko najpierw (zgodnie zresztą z przewidywaniami Geni i moich dzieci — skąd oni mieli tę wiedzę o zachowaniu się psów?) wyskoczył jak z procy Robby, wysiadał się, okrążył nas kilka razy dziko ujadając, potem dał nura w krzaki. Genia rozejrzała się i powiedziała, że tutaj jest cudnie czy coś w tym rodzaju”.

Dzieci wrzeszczą, rzucają w wodę ciężkimi kamieniami:

„Wstałem i przesiadłem się do samochodu. Usiadłem za kierownicą, było wygodnie i miękko. To, co wyprawiały moje dzieci, przestało mnie zupełnie obchodzić. Myślałem o moim samochodzie, o jego pięknie i doskonałości, o jego cichym i posłusznym istnieniu”.

To, co w gruncie rzeczy mówi Filipowicz — nie mówiąc, a czuje — nie będąc zdolnym do nazwania swych uczuć — mężczyzną, jest historią o rekompensacie za zgiełk i nijakość życia. Praca, żona, dzieci to utajone i wrogie siły:

„Krzysztof był brudny i spocony, wyglądał jak szaleniec. Jolanta stała spokojnie, łamała suche gałązki na rozpałkę, ale i w jej oczach widziałem coś złego i wrogiego. W ciągu tych dwóch godzin, które przespałem w samochodzie, moje dzieci bardzo się zmieniły. Postarzały się i zdziżały”.

I ów moment, kiedy siedzą już z powrotem w wartburgu:

„Na szosie było teraz mniej pojazdów, można było rozwijać większą szybkość niż rano. Zresztą wszystkie samochody jechały teraz szybciej”.

Wszystkie. Z ulgą że znów jest tylko samochód. I z niepokojem, że po powrocie do domu, samochód przestanie być azylem. Zakończenie:

„Genia z dziećmi wynosiła z wozu nasz bagaż, ja siedziałem jeszcze chwilę za kierownicą. Zbliżała się godzina dziewiąta”.

5. *Śmierć mojego antagonisty* zamykają dwa opowiadania: „Światopogląd” i „Proszę o przyjemny wyraz twarzy”. Pierwsze — o psychologicznej naturze antysemityzmu — jest zakończeniem czy raczej przedłużeniem „Domu spokojnej starości”. Drugie, jako jedyne w zbiorze nosi pod spodem datę: grudzień 1966.

Mieczysław przyjeżdża w odwiedziny do Pawła. Paweł jest dygnitarzem, Mieczysław — dyrektorem technikum na prowincji. Nie widzieli się dwanaście lat. Mieczysław miał „jakieś kłopoty”. Siedział. Paweł:

„— Ja, jak wiesz, nie znam twoich spraw, tym zajmował się wtedy Romek. Powiedz, co to było? Cóż oni tam od ciebie chcieli?

— Oni — pomyślał Mieczysław. — My sami od siebie samych”.

Obydwaj są komunistami sprzed wojny. Oglądają stare fotografie z rewolucyjnej przeszłości:

„To, co widać na zdjęciu, to futerał od aparatu — ale czyjego? Masz chyba rację. To metafizyka. Słyszę przecież wyraźnie głos: 'Proszę o przyjemny wyraz twarzy'... — Tak. Nie. Ten ktoś powiedział coś trochę innego, mniej więcej coś takiego: 'Uśmiechnijcie się, niech wam się zdaje, że jesteście już w socjalizmie'”.

Paweł: mieszanina szczerej serdeczności plus manewry, żeby pozbyć się, być może kłopotliwego gościa. W pewnej chwili chce wprost zapytać, po co Mieczysław przyszedł:

„Ale Pawłowi udało się nie dopuścić do głosu siebie sprzed lat czterdziestu, pomyślał: Nie mogę nic dla niego zrobić, dopóki nie wiem, co on teraz gada, jak się zachowuje. Trzeba się będzie dowiedzieć. Kiedy ta Anna zadzwoni? Coś to za długo trwa, może u Winnickich nie ma nikogo i musiała zejść do budki.

W tej chwili rozległ się ostry sygnał telefonu”.

Rozmawiają o socjalizmie. Mieczysław, który nieraz chciał już wystąpić z partii:

„— Wiesz, czasem mi się zdaje, że jeśli my, starzy komuniści, moglibyśmy coś jeszcze dla socjalizmu zrobić, zanim z tego świata zejdziemy — to powinniśmy zrobić jeszcze jedną rewolucję...

— Co zrobić?

— Rewolucję...

— Przeciw komu?

— Przeciw takim różnym, wiesz, cynicznym bykom...

Pawłowi nie zadrżała nawet ręka. Pomyślał tylko: Wariat. Hamulce ma zupełnie nawalone. Miałem nosa. Nic nie można dla niego zrobić. Toż on by mógł narozrabiać jak pijany zajac!”

„Proszę o przyjemny wyraz twarzy” jest opowiadaniem głęboko politycznym (jednym z wielu zresztą, pisanych przez Filipowicza właśnie od roku 1966, opowiadań przeciwko starym „kombatantom”) i głęboko niewinnym. Polityczny jest temat i konkluzja ze zderzenia dwóch postaw. Niewinność polega na braku kamuflażu, aluzji, taktycznych nieodmówień. Jest to być może wyznaczenie politycznej wiary, a w każdym razie teoria jedyne go wyjścia. Nie jest to moja wiara; ci sami ludzie nigdy nie powinni robić dwa razy rewolucji. Ale mam dla niej atawistyczny szacunek. I chylę głowę przed Filipowicza odwagą, uczciwością, politycznym rozsądkiem. Tylko że nagle... ta nieprzyjemna myśl. Filipowicz wydaje rocznie co najmniej jeden zbiór opowiadań: „Proszę o przyjemny wyraz twarzy” ukazało się po raz pierwszy (a jeśli nawet nie, to po raz pierwszy ukazało się w roku ubiegłym). Jeśli właśnie teraz, mimo wcześniejszych prób, to zapewne dlatego, że przywłaszczono je sobie. Ideowo. Z konkluzją, że odbyła się już rewolucja i nie ma cynicznych byków.

Janina KATZ

## Nadesłane nowości wydawnicze

BRANDSTAETTER (Roman). *Jezus z Nazaretu*. Tom czwarty. Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1973, cena zł 50).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Spo-wiedź*. Str. 186 i 2 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1973).

*Rzeczpospolita Podchorążacka*. Nr 6, listopad 1973. Str. 40. (Wyd. Ko-ło S.P.P. Oxford, 1973).

*Zarys Historyczny — 1943-1973 — Historical Outline*. Str. 26. Wy-

dawnictwo w języku polskim i angielskim. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce poświęcony badaniu najnowszej historii Polski, New York, N.Y., 1973).

BUJNOWSKI (Józef). *Niektóre uwagi o tzw. IV systemie wersyfikacyjnym*. Str. 165-236. (Nadbitka z *Durch Contributions to the Seventh International Congress of Slavists*, Warsaw, August 21-27, 1973; red. André Van Holk, University of Groningen, Wyd. Mouton, The Hague-Paris, 1973).

FOOTE (E. J.). *Russian and Soviet Imperialism*. Str. 272 i 4 nlb. plus tablica The Romanov Family Tree. (Wyd. Foreign Affairs Publishing Co. Ltd., Richmond, Surrey, 1972).

SPIGLER (Iancu). *Economic Reform in Rumanian Industry*. Przedmowa Michael Kaser. Str. 176 i 2 nlb plus mapa Rumunii. (Wyd. Oxford University Press, seria: Economic Reforms in East European Industry, London-New York-Toronto, 1973, cena dol. 3,90).

ZIELINSKI (Janusz G.). *Economic Reforms in Polish Industry*. Str. 333 i 1 nlb. (Wyd. Oxford University Press, seria: Economic Reforms in East European Industry, London-New York-Toronto, 1973, cena dol. 6,50).

BJÖRKEGREN'S (Hans). *Biography of Aleksander Solzhenitsyn*. Str. 205 i 1 nlb. (Wyd. Aidan Ellis, England, Nuffield, 1973).

KULISH (Panteleimon). *The Black Council*. Str. 125 i 6 nlb. Tłumaczenie z ukraińskiego George S.N. i Moira Luckyj. Przedmowa Romana Bahrij Pikulyk, York University. (Wyd. Ukrainian Academic Press, seria: Ukrainian Classics in Translation, No. 2, Littleton, Colorado, 1973, cena dol. 7,50).

RUDZINSKI (Aleksander W.). *A Comparative Study of Polish Property Law*. Str. 57-108. (Nadbitka z *Polish Civil Law*, vol. I, wyd. D. Lasok „Law in Eastern Europe Nr 18”, Leyden, Sijthoff, 1973).

SZPORLUK (Roman). *Nationalities and the Russian Problem in the U.S.S.R.: an Historical Outline*. Str. 22-40. (Nadbitka z *Journal of International Affairs*, Vol. 27, No. 1, 1973).

*Memorandum to the Honorable Dr. Kurt Waldheim Secretary General of the United Nations. 40th Anniversary of the Man-Made Famine*. Str. 8. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, Inc., New York, N.Y., May 1973).

LIBERMANN (Conrad). *Deux françaises, reines de Pologne*. Str. 25-40. (Nadbitka z *Flammes et fumées*, Nr 2, 1973).

MOND (Georges). *Histoire et systemes actuels de l'information à l'étranger: les pays socialistes*. Str. 98 + 38 i 3 nlb (powielacz). (Wyd. Université de Droit, d'Economie et de Sciences Sociales de Paris (Paris 2) 1973).

HERBERT (Zbigniew). *Im Vaterland der Mythen*. Str. 218 i 8 nlb. Tłumaczenie z polskiego Karl Dedecius, Klaus Staemmler i Walter Tiel. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/Main, 1973).

SZYMBORSKA (Wisława). *Salz. Gedichte*. Str. 103 i 9 nlb. Tłumaczenie i opracowanie Karl Dedecius. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/Main, 1973, cena DM. 4,50).

*Polnische Lyrik der Gegenwart*. Str. 158 i 2 nlb. Opracowanie i tłumaczenie Karl Dedecius. (Wyd. Philipp Reclam jun., Stuttgart, 1973).

NASARSKI (Peter). *Bevor Gewinne erzielt werden, kommt es zu Verlusten. — Chancen und Schwierigkeiten im deutsch-polnischen Dialog*. Str. 302-308. (Nadbitka z *Deutsche Studien*, Nr 43, XI. Jahrgang — September 1973).

SZASZKEWYCZ (Markijan). *Azbu-ka i abecadło*. Peredruk z unikalnoho oryhyńału z 1936 roku. Słowo wstępne i komentarz w języku ukraińskim, tekst w języku polskim. Str. XVII i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka Szaszkewyczyjany cz. 3., Winnipeg, Kanada, 1969).

MAK (Olha). *Kaminnia pid kosoju. Powist'*. Str. 158 i 2 nlb. (Nakładem Wydawnictwa „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont., 1973).

STANKIEWYCZ (Jan). *Akańnie — Batckaja Rysa u mowie Wjalkalitouskaj*. Str. 391-421. (Nadbitka z *Studia T. 7 — Symbolae in Honorem Georgi Y. Shevelov*, Universitas Libera Ucrainensis, Facultas Philosophica, Monachium, 1971).

- HORODYŃKIJ (Orest). *Gen. Ivan W. Turczyn — osobysty przyjaciel prezydenta Lincoln*. Str. 16. (Wyd. „Czerwona Kałyna” Publishers, New York, N.Y., 1971).
- BIEŁOPOLSKI (A.). *SSSR na jonie prošlogo Rossiji. Oczerk ruskij istorii w nowom oświeżczeniu*. Str. 464 i 2 nlb. (Wyd. Nakładem Autora, Waszyngton, 1973).
- TERTZ (Abram). *Ljoebimov*. Tłumaczenie Marko Fondse. Str. 165 i 1 nlb. (Wyd. Van Gennep, Amsterdam, 1973).
- EDARI (Zeev). *Blood on Crest*. Str. 328 (w języku hebrajskim).
- (Wyd. I. L. Peretz Publishing House, Tel Aviv, 1973).
- USCHAKOW (Alexander). *Der neue Integrationsplan im Rat für gegenseitige Wirtschaftshilfe*. Str. 61-72. (Nadbitka z *Internationales Recht und Diplomatie*, Verlag Wissenschaft und Politik, Koeln).
- Historiska och Litteraturhistoriska Studier* 48. Str. 347 i 1 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsinki, 1973).
- Meddobje*. Splosznokulturna revija. Leto XII, 1972. Str. 80. (Wyd. Slovenska Kulturna Akcija, Buenos Aires).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

## 27-9-73

W Warszawie zmarła, w wieku 64 lat, Alicja de Barcza (znana przed wojną jako Lidka Liphardt-Romaszkan), autorka kilku powieści, które wydawała w U.S.A. pod pseudonimem Alexandra Orme. Jej książka pt. „Comes Comrade” stała się w 1950 roku ogólnonamerykańskim *best-seller*em. Alicja de Barcza wykładała języki polski, francuski i niemiecki najpierw w szkole wojskowej w Waszyngtonie, a następnie na University of Wisconsin w Oshkosh, gdzie przyznano jej *honorable citation* i nazwano jej imieniem czytelnicy języków obcych. Ostatnio wróciła do Polski i zamieszkała w Warszawie.

## 29-9-73

Stefan kardynał Wyszyński, Prymas Polski, wysłał do I sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edwarda Gierka następującą depezę: „Prasa stołeczna zapowiedziała na najbliższą niedzielę dzień pracy społecznej dla członków Partii przy budowie nowych arterii, porządkowaniu otoczenia zakładów, placów i ulic. Ma to objąć tysiące warszawian. Kierując się motywami religijnymi, humanitarnymi i społecznymi proszę bardzo o wgląd w tę inicjatywę i położenie kresu pozbawiania dnia wypoczynku ludzi całotygodniowej, wytężonej pracy. Wierzący członkowie Partii też mają prawo do modlitwy w świątyniach. Ich rodziny mają prawo do wspólnoty domowej przynajmniej raz w tygodniu. Ludzie utrudzeni całotygodniową pracą mają prawo do odmiany trybu życia, do wypoczynku fizycznego, psychicznego i społecznego. Wszyscy obywatele Miasta mają prawo do pokoju społecznego zakończonego przez pracę, do których mobilizuje się tysiące ludzi. Prosimy, by Miasto nie było zamieniane na obóz pracy ciągłej, co podrywa autorytet Partii w opinii robotników, społeczeństwa, narodu i świata całego. Robotnicy walczyli od pół wieku o godziwy odpoczynek po pracy. Niech Partia Robotnicza nie pozbawia tej zdobyczy społecznej świata pracy. Ufam, że ten apel będzie przyjęty z należytym zrozumieniem. ■ W Borejkowszczyźnie, pod Wilnem, z okazji 150-tych rocznic urodzin Władysława Syrokomli, otwarto muzeum związane z życiem i twórczością poety. Inicjatorami byli studenci z wydziału polonistyki Wileńskiego Państwowego Instytutu Pedagogicznego oraz kierowniczka miejscowej biblioteki Alicja Buniukiewicz. *Życie Literackie* z 28. 10 br., z którego czerpiemy tę informację, dokonało niezwyklej rewelacji historycznej podając, że w muzeum znajduje się „niezwykle ciekawy rękopis z 1764 roku sporządzony na polecenie W. Księcia Litewskiego, Karola Radziwiła”!

## 6-10-73

W Warszawie zmarł, w wieku 84 lat, Janusz Herlaine, poeta, tłumacz, w okresie międzywojennym popularny nauczyciel języka francuskiego w gimnazjum im. Zamoyskiego i innych. ■ Rekord popularności czytelniczej osiągnęła powieść E. Orzeszkowej „Nad Niemnem”. Książka ta była wznawiana po wojnie 20 razy, osiągając milionowy nakład.

## 9-10-73

W Moskwie został podpisany polsko-sowiecki protokół handlowy. Protokół ten przewiduje obroty w wysokości 3 miliardów rubli. W przyszłym roku ma zwiększyć się sowiecki eksport maszyn i urządzeń do Polski o 26 %. W szczególności ma nastąpić wzrost dostaw obrabiarek, samochodów i traktorów. PRL natomiast ma dostarczać statki i wyposażenia do nich, tabor

kolejowy, urzędzenia dla przemysłu spożywczego, lekkiego i chemicznego, maszyny rolnicze, węgiel i towary powszechnego użytku. ■ Pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego PZPR w Łodzi został mianowany Zbigniew Zieliński, dotychczasowy przewodniczący Prezydium WRN w Warszawie. Poprzedni sekretarz, Jerzy Muszyński, został mianowany ambasadorem PRL w Bułgarii.

#### 10-10-73

W ZSSR bardzo uroczysto obchodzono 100-lecie urodzin wybitnego pisarza rosyjskiego W. Szyszkowa, autora „Ugrium rieki” i „Pugaczowa”. ■ Według informacji *Słowa Powszechnego* na terenie PRL działa 42 męskich stowarzyszeń zakonnych. Liczą one 7.759 członków, w czym 4.692 kapłanów, 1.029 alumnów, 1.561 braci i 477 nowicjuszy. Najliczniejszymi zakonami są: Salezianie, Franciszkanie, oraz Jezuici. ■ W PRL obchodzono niezmiernie uroczysto 30-lecie powstania Ludowego Wojska Polskiego — przede wszystkim pod znakiem Związku Sowieckiego. Prasa podała, że w latach 1943-1945 w Wojsku Ludowym służyło 19.000 oficerów sowieckich i 13.000 specjalistów technicznych. 5.000 oficerów i żołnierzy polskich otrzymało ordery i medale sowieckie; 29 polskich jednostek otrzymało ordery Czerwonego Sztandaru, Kutuzowa, Czerwonej Gwiazdy i Aleksandra Newskiego. Naczelne Dowództwo sowieckie nadało nazwę „Warszawskich” 70 jednostkom sowieckim; 688 tysięcy sowieckich i polskich żołnierzy otrzymało medal „Za wyzwolenie Warszawy”. Z okazji tych uroczystości szereg sowieckich dowódców zostało odznaczonych „Za wybitne zasługi w rozbudowie polskich sił zbrojnych i za udział w walkach o wyzwolenie Polski”. Krzyże Komandorskie orderu Odrodzenia Polski otrzymali m.in.: naczelny dowódca sił zbrojnych Paktu Warszawskiego marszałek Jakubowski, i szef sowieckiego sztabu generalnego, gen. Wiktor Kulikow. Ponadto Rada Państwa PRL nadała najwyższe odznaczenia państwowe dla większości uczelni wojskowych ZSSR. Marszałek Greczko otrzymał Wielki Krzyż orderu *Virtuti Militari*. W rewanżu marszałek Greczko odznaczył orderem Rewolucji Październikowej ministra Obrony Narodowej W. Jaruzelskiego a orderami Przyjaźni Narodów, marszałka Rolę-Zymierskiego, generałów: Berlinga, Urbanowicza, Siwickiego, Sawczuka i innych. Wreszcie gen. W. Jaruzelski został mianowany generałem armii, stopień generała broni otrzymał gen. Józef Urbanowicz. Z okazji święta w całym szeregu miast i miasteczek postawiono pomniki lub wbudowano tablice ku czci armii sowieckiej.

#### 16-10-73

W Warszawie zmarł, w wieku 68 lat, Klemens Dunin-Kęplisz, b. współpracownik *Ilustrowanego Kuryera Codziennego* w Krakowie.

#### 20-10-73

Gen. Włodzimierz Sawczuk, szef Głównego Urzędu Politycznego WP PRL, został mianowany wiceministrem Obrony Narodowej. ■ Kielecka Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego skonstruowała i zbudowała samochód elektryczny, który był wystawiony na 35-tym salonie samochodowym we Frankfurcie (NRF). Samochód zabiera 2 osoby i 100 kg bagażu i rozwija szybkość 60-ciu km na godzinę. ■ Prezydium Centralnej Rady Związków Zawodowych podaje, że na Fundusz Ochrony Zdrowia wpłynęło dotąd 1.623 milionów złotych. „Połowa tej sumy pochodzi z bezpośrednich deklaracji zakładów pracy”. Jest to nowy podatek, tak jak w swoim czasie zbiórka na szkoły 1000-lecia, z którymi w tej chwili nie bardzo wiadomo co robić — po reformie gmin i wprowadzeniu szkół zbiorczych. ■ Wybitny ekonomista polski, prof. Edward Lipiński, obchodził 85-tą rocznicę urodzin. ■ Redaktor Stanisław Głabiński, b. korespondent PRL w Chinach i USA, otrzymał

nagrodę organu OKP *Widnogręgi* „Srebrny Globus” za książkę „Ameryka patrzy na Chiny”. ■ Ks. Prałat dr Jan Krucina został mianowany wikariuszem generalnym archidiecezji wrocławskiej.

#### 21-10-73

W przededniu I Krajowej Konferencji PZPR Zbigniew Załuski, I sekretarz organizacji partyjnej Związku Literatów Polskich, oświadczył: „Środowisko literackie... nową politykę partyjno-rządową przyjęło jako swoją i odniosło się do niej z pełnym zaufaniem. Ze swej strony nowe kierownictwo partyjne odrzuciło wszystkie uprzedzenia w stosunku do środowiska literackiego i jako aprioryczną zasadę przyjęło konstatację, że wszyscy pisarze chcą służyć socjalistycznej przyszłości kraju i jego kulturze. Ostatnie dwa lata były okresem szczególnie przyjaznych decyzji rządowych i aktów prawnych, które zagwarantowały normalne funkcjonowanie zarówno środowiska twórczego, jak i literatury przezeń produkowanej”.

#### 22-10-73

Na I Krajowej Konferencji PZPR Edward Gierek ogłosił utrzymanie w 1974 roku detalicznych cen podstawowych towarów żywnościowych na obecnym poziomie. Globalnie, w przyszłości będzie stosowana elastyczna polityka cen. Zostaną utworzone stanowiska naczelników powiatów i wojewodów, a pierwsi sekretarze Komitetów powiatowych i wojewódzkich będą powoływani na stanowiska przewodniczących Rad Narodowych. Ma być przeprowadzona wymiana legitymacji partyjnych.

#### 25-10-73

Edward Wychowaniec został mianowany ambasadorem PRL w Brazylii.

#### 26-10-73

Ciało studenta czeskiego Jana Palacha, który 16. 1. 1969 roku dokonał samospalenia, protestując przeciwko sowieckiej okupacji, zostało potajemnie ekshumowane. W kilkanaście dni później władze oświadczyły, że dokonano ekshumacji i spopielenia zwłok Palacha „na żądanie rodziny”.

#### 27-10-73

W Moskwie zmarł, w wieku 90 lat, sowiecki marszałek Siemion Budionnyj. Szczytowym punktem jego kariery było stworzenie słynnej „Pierwej konnoej”, która odegrała dużą rolę w wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku. ■ Z okazji obchodów 30-lecia Ludowego Wojska Polskiego z-ca szefa głównego zarządu politycznego WP, gen. Albin Żyto, udekorował kilkudziesięciu działaczy kulturalnych srebrnymi i brązowymi medalami „Za zasługi dla obronności kraju”. Wśród osób wyróżnionych znajdują się: Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Alojzy Sroga, Jan-Maria Gisges, Tadeusz Kubiak.

#### 28-10-73

Stan wkładów pieniężnych w PKO osiągnął w dniu 30. 9. br. 171.071 milionów złotych. We wrześniu wkłady wzrosły o 1 mld 566 milionów złotych, a od początku roku o 26 mld 485 milionów złotych. W ciągu 9-ciu miesięcy br. PKO udzieliło kredytu na sumę 8 mld złotych. Stan zadłużenia ludności wynosi 25,4 mld złotych.

#### 29-10-73

W Pradze rozpoczął się zjazd Paktu Warszawskiego z udziałem marszałka Jakubowskiego, szefów sztabów generalnych i wiceministrów obrony. ■ W czasie swej wizyty w PRL francuski minister Giscard d'Estaing podał do

wiadomości, że rząd francuski jest skłonny do podniesienia udzielonego PRL na lata 1973-75 kredytu inwestycyjnego z 1,5 do 2,25 mld franków. Ponadto Francja zgodziła się na obniżenie wyjściowej bazy transakcji, poczynając od której kredyt ten może być wykorzystywany. Umożliwia to finansowanie inwestycji zaplanowanych na mniejszą skalę, ale z możliwością następnego rozbudowania ich i ze średnim terminem realizacji. P. Margueritte z *Le Monde* podaje, że minister Giscard d'Estaing był niezmiernie zadowolony ze swego pobytu w PRL, gdyż „w czasie polowania w przepięknych okolicach Bieszczad zabił 4 jelenie, z których jeden był wyjątkowo duży, i jednego dzika”.

### 1-11-73

Wieża stacji nadawczej w Konstantynowie, pow. Gostynińskiego w Polsce ma już 530 m. wysokości. Za kilka miesięcy będzie miała 642 metry. Jest to najwyższa wieża świata. ■ Huty w PRL mają wyprodukować w r.b. 14 milionów ton stali. ■ PRL rozpoczęła współpracę z Bułgarią w dziedzinie przemysłu okrętowego. W ramach tej współpracy zostaną wybudowane w Warnie 24 stutysięczniki-tankowce, z tego 8 dla Polski. ■ Czechosłowacja, przy pomocy Związku Sowieckiego wybudowała elektrownię atomową w Jaslovskich Bohemicach w Słowacji. Budowa drugiej elektrowni jest już rozpoczęta, a trzecia jest w stadium projektowym. ■ Trzem intelektualistom czeskim: pisarzowi Ludvikowi Vaculikowi, fizykowi Frantiskowi Janouchowi i prof. Venek Silhanowi władze czechosłowackie zagroziły procesem za deklaracje złożone na BBC, które zostały uznane za oszczercze. Jednocześnie władze czeskie zaproponowały Vaculikowi wyemigrowanie z Czechosłowacji wraz z rodziną. Vaculik odpowiedział odmownie. ■ W Warszawie zmarł, w wieku lat 68, Adam Obarski, dziennikarz, przed wojną współpracownik prasy socjalistycznej, działacz ruchu oporu w czasie wojny, b. redaktor *Kuriera Polskiego*.

### 2-11-73

Piotr Jakir i Wiktor Krassin zostali zwolnieni z więzienia i znaleźli się na wolnej ziemi. ■ Rząd PRL uchwalił premiowanie eksportu osiągnięć naukowych i technicznych. Twórcy osiągnięć patentowanych będą otrzymywać do swej prywatnej dyspozycji 10 % zysku netto w dewizach, a w przypadku opracowań nieopatentowanych — 8 %. Placówki na terenie których powstały eksportowane osiągnięcia myśli naukowo-technicznej będą otrzymywać 30 % ceny netto sprzedaży dewizowej. 1/5 część tych kwot ma być przeznaczona na wyjazdy szkoleniowe za granicę.

### 3-11-73

Biurowo Polityczne KC PZPR i rząd PRL na prośbę sekretarza generalnego ONZ podjęły decyzję skierowania jednostki wojska polskiego do sił zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie. ■ Tygodnik *Przyjaźń*, organ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, obchodzi swoje 25-lecie. *Przyjaźni* drukuje się w 130 tys. egzemplarzy. ■ W Warszawie odbyło się spotkanie okrągłego stołu przedstawicieli Polski i NRF. Tematem spotkania jest zagadnienie normalizacji stosunków między obu krajami. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 77 lat, prof. dr Stanisław Arnold, historyk, wieloletni profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

### 5-11-73

W Warszawie zmarł, w wieku lat 80, Oskar Bartel, emerytowany profesor teologii historycznej, dziekan wydziału Teologii Ewangelicko-Augsburskiej UW a następnie Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

### 8-11-73

Narodowy Bank Polski w PRL zamieszcza obecnie tabele kursu walut obcych w *Życiu Warszawy* zamiast — jak dotychczas — w *Monitorze Polskim*, który ukazuje się zbyt rzadko.

### 12-11-73

Zarząd Okręgu Warszawskiego ZASPu ustanowił coroczną nagrodę im. Jana Cybis. Fundusz powstał z darów przyjaciół J. Cybisa i wielbicieli jego twórczości.

### 13-11-73

Sąd Apelacyjny w Moskwie zamienił A. Amalrikowi karę więzienia na 3 lata przymusowego osiedlenia. Jest to pierwszy wypadek w historii ZSSR, że Sąd Apelacyjny zmniejsza karę więźniowi politycznemu, który nie przyznał się do winy. Jednocześnie anulowano karę 5 lat więzienia wymierzoną Iwanowi Dziubie, ukraińskiemu krytykowi literackiemu, za „agitację i propagandę antysowiecką”. Powodem zniesienia wyroku było przyznanie się Dziuby do winy i złożenie samokrytyki. ■ Nowoorski *National Review* podaje, iż KGB ma nowe zmartwienie: mianowicie w Związku Sowieckim rozprzestrzenia się prawdziwa epidemia radiostacji pirackich, nazywanych „radia chuli-gańskie”. Radia te istniejące w Kazaniu, Baku, Moskwie i nawet na Syberii są organizowane przez ludzi wyspecjalizowanych w elektronice. Nadają one głównie pop-musique lub parodie sądów nad „krwawymi reakcjonistami”.

### 14-11-73

Zostały przyznane paxowskie nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. Nagrody literackie otrzymali: Jerzy Jędrzejewicz „za zasługi w pracy przekładowej z zakresu literatury rosyjskiej i radzieckiej” (zapewne za przekład artykułu podpisanego nazwiskiem Niemojowski, zamieszczonym w WTK), T. Kudliński i Wojciech Natanson. Nagrodę specjalną otrzymał kapelan Dywizji Kościuszkowskiej ks. płk Wilhelm Kubisz.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

### 15-9-73

Związek Osadników Polskich w Afryce Południowej obchodzi 25 lat swego istnienia. ■ W Szwajcarii ukazał się tom wierszy Jana Twardowskiego pt. „Ich bitte um Prosa”. Autorem przekładu jest Alfred Loepfe.

### 10-10-73

Na czele papieskiej Komisji do Spraw Środków Masowego Przekazu stanął Polak, ks. prałat Andrzej Deskur.

### 11-10-73

25-te Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie nad Menem otwarte zostały przez kanclerza Brandta. 3814 wydawców (w tym 887 NRF i 44 z NRD) wystawiło ponad 248 tysięcy tytułów, z czego 79 tysięcy najnowszych wydawnictw. Reprezentowanych było 59 krajów, wśród których po raz pierwszy wystawiały swe książki: Bangladesz, Burma, Costa Rica, Guatemala, Liberia i Senegal. Duże stoisko 'Ars Polona' oraz kilka pomniejszych stoisk polskich cieszyły się dużą frekwencją wśród zwiedzających. Wydawnictwa emigracyjne reprezentowane były przez trzy stoiska rosyjskie i jedno chorwackie. Zwraca uwagę brak polskiego stoiska z wydawnictwami emigracyjnymi (poza kilkoma tytułami wystawionymi przez Overseas Publication Interchange w Londynie).

**12-10-73**

Zmarł w Bochum (NRF) Marian Grajewski, prezes proreżymowego Związku Towarzystw Polskich w Niemczech „Zgoda”. ■ W sali Ogniska Polskiego w Londynie odbył się literacki „wieczór nagrodzonych”. O twórczości tegorocznych laureatów Związku Pisarzy: Bronisława Przytuckiego, Pawła Moskwy, Karola Wędrzickiego i Franciszka Wysloucha — mówili: Marian Bohusz-Szysko, Mieczysław Lisiewicz, Kazimierz Sowiński i Wiesław Wahnout.

**13-10-73**

Ostatnio w Londynie odbył się szereg imprez i odczytów krajowych, mianowicie: 26. 9. br. koncert pianisty Palecznego i recital skrzypka Konstantego Kulki, 4. 10. br. odczyt Jacka Woźniakowskiego, zorganizowany przez „Veritas” w Instytucie Polskim, 13. 10. br. — mówili redaktor Turowicz o Maritain’ie, a 12. 10. br. miał miejsce w Royal Festival Hall koncert Filharmonii Warszawskiej pod batutą Rowickiego.

**15-10-73**

Ukazał się podwójny numer *The Polish Review*, kwartalnika Polskiego Instytutu Naukowego w USA, poświęcony w całości twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza.

**18-10-73**

Nagroda literacka im. Anny Godlewskiej na rok 1974 została przyznana polskiej publicystyce emigracyjnej. Jury przyznało trzy równorzędne nagrody. Otrzymali je: Kazimierz Okulicz, Aleksander Janta i Jan Kowalik. Każda nagroda wynosi po 5.000 franków szwajcarskich.

**19-10-73**

Staraniem Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Monachium odbyły się w salach Haus der Begegnung uroczystości poświęcone 500-leciu urodzin Kopernika. Odczyty wygłosili: prof. dr Juliusz Stroynowski w języku niemieckim i p. Wiktor Trościanko po polsku.

**21-10-73**

Na Southern Cemetery w Manchesterze, przy dużym udziale publiczności, odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia na grobie Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Aktu poświęcenia dokonał ks. prał. Jan Bas. Następnie w Domu Kombatanta odbył się wieczór uczczenia pamięci poetki. O twórczości Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej mówił Kazimierz Sowiński. Teodozja Lisiewicz podzieliła się ze słuchaczami wspomnieniami z licznych spotkań z poetką; jej opowieść przeplatana była recytacją wierszy autorki „Karnetu balowego”.

**22-10-73**

W Sydney zmarł Tadeusz Saryusz-Bielski, były prezes SPK - Oddział Australia wielokrotnie wiceprezes Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii.

**25-10-73**

W Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie odbył się odczyt dr. Al. Bluma pt. „Religia i cerkiew w Rosji Sowieckiej”. ■ Nakładem rzymskiego wydawnictwa Bulzoni ukazała się *Guida alla moderna letteratura polacca* Jerzego Pomianowskiego. Książka składa się z dwóch części: w pierwszej Pomianowski szkicuje obraz współczesnej literatury polskiej (nie pomijając, co warto podkreślić, prozaików i poetów emigracyjnych); druga przynosi

małą antologię współczesnej poezji polskiej od Staffa do Herberta (tłumacze: Statuti, Verdiani, Ripellino, Cini, Marina Bersano Begey). W Florencji wyszła równocześnie, w znanym wydawnictwie *La Nuova Italia*, książeczka Pomianowskiego o Bablu: wzór miniatury krytycznej.

**26-10-73**

W Centre d'Etudes de Politique Etrangère w Paryżu odbył się odczyt b. ambasadora PRL, Henryka Bireckiego, pt. „Les pays du Pacte de Varsovie et la négociation de Vienne”. ■ Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich w Paryżu zorganizowało wieczór z odczytem red. Jerzego Jankowskiego pt. „Wczoraj czy jutro — Kopernik czy Helsinki”. ■ Staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, Związku Inżynierów i Techników Polskich we Francji i innych organizacji odbyła się w Lens wystawa poświęcona 500-leciu urodzin Mikołaja Kopernika. W czasie wystawy dr Irena Gałęzowska wygłosiła odczyt pt. „Copernic — pionnier de l'univers”.

**29-10-73**

Zmarł w Sztokholmie, w wieku lat 82, Wacław Przesmycki, ostatni poseł RP w Estonii. ■ W londyńskim *Dzienniku Polskim* stan. bal. w felietonie „Rozmaitości” ujawnił nieznaną dotąd rewelację historyczną, a mianowicie że: ... „Arabowie korzystali z tych wszystkich wynalazków, sami niewiele co wkładając do kultury światowej — jeżeli pominąć Sfinksa, piramidy i grobowce faraonów”...

**1-11-73**

Zmarł w Maison de Repos w Lailly-en-Val (Francja), w wieku lat 81, Kajetan Morawski, ostatni ambasador RP we Francji. ■ Firma Loeb, Rhoades and Co. pośredniczyła w udzieleniu 10-cioletniej pożyczki Bankowi Handlowemu w Warszawie w wysokości 60 milionów dolarów. W jej pokryciu bierze udział 16 banków japońskich.

**3-11-73**

W roku 1972 deportowano z Australii 558 osób, w tym 278 marynarzy, którzy zeszli ze statków.

**7-11-73**

W Monachium zmarł nagle, w wieku 63 lat, Czesław Kazimierz Dobek, literat, kapitan Wojsk Polskich. Jego książka pt. „Drugi rzut i inne opowiadania” ukazała się w „Bibliotece Kultury”.

**8-11-73**

Do Rzymu przybył min. spraw zagr. PRL, Stefan Olszowski. W czasie swego pobytu będzie on przyjął przez papieża. Jest to pierwsza wizyta w Watykanie oficjalnego przedstawiciela PRL. Należy przypomnieć, że już w 1966 roku był u papieża Gromyko, a później Podgorny, Tito, Ceausescu i węgierski min. spraw zagr. ■ W końcu listopada kanclerz NRF Brandt udaje się do Pragi. Wizyta była odkładana na skutek sprzeciwu Czechosłowacji by przysłała ambasada NRF reprezentowała również Berlin Zachodni. Kompromis znaleziono w Moskwie. ■ 25.000 obywateli czeskich pochodzenia niemieckiego chciałoby wyemigrować do Niemiec Zachodnich.

**10-11-73**

Zamieszczając w październikowej *Kulturze* wywiad Al. Solżenicyna, udzielony redakcji *Le Monde* zaznaczyliśmy, że nie mogliśmy uzyskać z redakcji pełne-

go tekstu. Jak się okazuje, w wywiadzie poczyniono znaczne skróty. Uzupełnienia te zostaną zamieszczone w jednym z najbliższych numerów *Kultury*. List Al. Sołżenicyna do norweskiego pisma *Aftenposten*, który zamieściliśmy w broszurze „Przeciw niewolnictwu” („Dokumenty”, zeszyt 41-y) był przeznaczony dla redakcji *Le Monde*, która odmówiła jego zamieszczenia. ■ W Antwerpii został otwarty nowy Dom Polski z inicjatywy władz PRL i kilku organizacji polonijnych współpracujących z Warszawą.

#### 11-11-73

W Paryżu Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie i Oddział SPK - Francja zorganizowały z okazji Święta Niepodległości Akademię w Bibliotece Polskiej. Akademię zagał p. Marian Czarnecki, a referat pt. „Żołnierze przedwziesniowy” wygłosił p. M. Jurkiewicz.

#### 12-11-73

W czasie dyskusji w parlamencie francuskim nad budżetem resortu Spraw Zagranicznych p. Marette, poseł U.D.R. z Paryża, przedstawił „poważny incydent, który wydarzył się wiosną tego roku w jednej z naszych ambasad w kraju Europy Wschodniej” (dotyczy to Polski, aczkolwiek p. Marette nie sprecyzował kraju, o którym mowa). „Kupiliśmy” — oświadczył p. Marette — „w stolicy kraju Europy Wschodniej, który jest odwiecznym przyjacielem i aliantem Francji, budynek mieszczący wszystkie służby naszej ambasady. Ambasada, całkowicie nowa, kosztowała 17 milionów franków. Jakież było zdumienie naszych przedstawicieli kiedy wiosną br., w czasie okresowej kontroli radio-elektrycznej, odkryto, wmontowaną w podstawową konstrukcję budynku, wspaniałą sieć podsłuchów. Jest to największa operacja szpiegowska jaką kiedykolwiek przedsięwzięto, przekraczająca nawet zasięg afery mikrofonów odkrytych w ambasadzie amerykańskiej w Moskwie w roku 1964”. „Decyzja tego rodzaju operacji mogła być powzięta jedynie na szczycie” — mówił dalej p. Marette. Odkryto 42 mikrofony, niektóre z nich pozwalały na podsłuch stereofoniczny; trzeba było zrywać podłogi i sufity, demontować główne piony budynku w tym akurat momencie, kiedy francuski Minister Spraw Zagranicznych składał przyjacielską wizytę kierownikom tego kraju. „Czyżby to państwo w ten sposób rozumiało odprężenie i współpracę?” — zapytał w konkluzji p. Marette. ■ Władze NRF zamknęły radiostacje „Swobodna Rossija” prowadzoną od 25 lat przez emigrantów rosyjskich z organizacji NTS. Zamknięcie zostało spowodowane naciskiem władz sowieckich.

#### 14-11-73

W Galerie René Drouet została otwarta wystawa malarska Renée Halpern.

#### 15-11-73

Ks. A. M. Stopa, O.M.I. wygłosił w sekcji polskiej Y.M.C.A. - U.C.J.G. odczyt pt. „Avec nos frères chrétiens de l'Est”.

### KRONIKA AMERYKAŃSKA

24. 9. br. amerykańska straż nadbrzeżna na Pacyfiku zatrzymała i przeprowadziła rewizję na polskim statku rybackim, który połowiął na wodach terytorialnych U.S.A. ■ W Waszyngtonie ogłoszono, że Bank Importowo-Eksportowy USA przyznał PRL nowy kredyt w wysokości 2,6 milionów dolarów na zakup maszyn dla przemysłu tekstylnego. ■ Kongres USA uchwalił ustawę o zmniejszeniu rocznej kwoty emigrantów do USA o 20 tysięcy,

tj. o około 8 %. Prasa polonijna publikuje ostatnio skargi swych czytelników na amerykańskie urzędy konsularne w PRL, które od pewnego czasu stosują duże utrudnienia wizowe wobec osób zapraszanych na wizyty przez rodziny zamieszkałe w Stanach Zjednoczonych. ■ 30. 9. br. W Detroit odbyły się uroczystości 100-lecia istnienia Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego. W uroczystościach wziął udział Kardynał J. Król z Filadelfii. Z.P.R.K. liczy około 130 tysięcy członków. W sprawozdaniu podano, że Z.P.R.K. „pomogło założyć w USA ponad 500 polskich parafii i wiele szkół parafialnych dla nauki języka polskiego”. ■ 4. 10. br. Polski Klub Artystyczny w Chicago zorganizował doroczny konkurs literacki dla młodzieży polonijnej, uczęszczającej do szkół amerykańskich, na utwór w języku polskim lub angielskim związany z tematyką polską. Nagrody wynoszą 1.000 dolarów. ■ 9. 10. br. Ks. Infułat Piotr Adamski, proboszcz parafii Św. Stanisława w Buffalo, ofiarował 100 tysięcy dolarów na fundusz stypendialny dla młodzieży polonijnej. ■ 6. 11. br. odbył się w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku odczyt Tadeusza Konwickiego pt.: „Podobieństwa literatury i filmu współczesnej Polski”. ■ 10. 10. br. Amerykańska Komisja Nadzoru nad Programami Stacji Radiowych i Telewizyjnych w USA odrzuciła protest Kongresu Polonii Amerykańskiej, w którym domagano się zakazania nadawania przez rozgłośnie radiowe i TV audycji tzw. „Polish jokes”, ośmieszających polską grupę etniczną. Komisja orzekła, że nikt nie był krytykowany *ad personam* i że ośrodki masowego przekazu nie przekroczyły dozwolonej granicy satyrycznej krytyki różnych środowisk, z których składa się społeczność amerykańska. K.P.A. zapowiedział apelację. ■ 13. 10. br. PRL próbuje od dawna penetrować Polonię Amerykańską. Niestety, lub na szczęście, cała ta akcja jest znakomicie paraliżowana przez biurokrację i bałagan. Typową ilustracją jest list p. L. Dudarewa-Ossetyńskiego z Kalifornii, zamieszczony w *Życiu Warszawy* z 13. 10. br., którego tekst wraz z komentarzem *Życia Warszawy* podajemy: — „Podczas pobytu w Polsce — pierwszy raz po blisko trzydziestu latach, za honorarium otrzymane z Filmu Polskiego, zakupiłem w księgarniach i antykwarciatach kilkaset książek, które miały służyć krzewieniu kultury polskiej na drugiej półkuli. — Na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie skierowano mnie do przedstawicielki 'Ars Polona' pani S., która zobowiązała się wysłać książki do USA. — Od tego czasu minęło 7 lat a książki, mimo wielokrotnych interwencji nie dotarły do Kalifornii. Pani S. poinformowała mnie w pierwszym liście, że pomyłkowo zostały wysłane przez 'Ars Polona' do Australii. Po roku zapewniła mnie, że przesyłka znajduje się już w Kanadzie. Zwróciłem się o pomoc do konsula PRL w Chicago. Pani S. oświadczyła mi w Warszawie, że wszystkie książki znajdują się w jej posiadaniu i że wyda je każdej upoważnionej przeze mnie osobie. W rezultacie zwróciła kilkanaście książek — najtańszych wydań. — Czy naprawdę nie ma żadnego sposobu, żebym odzyskał wszystkie książki mające dla mnie nieocenioną wartość? — L. Dudarew-Ossetyński, Kalifornia”. — Sprawę poruszoną w liście p. Ossetyńskiego — aktora, reżysera, pedagoga, założyciela polonijnego klubu kulturalnego im. Heleny Modrzejewskiej, usiłowaliśmy wyjaśnić w „Ars Polona”. Jak się okazuje pani S. cieszy się tam doskonałą opinią. Nigdy jednak nie była etatowym pracownikiem tej instytucji, zatrudniano ją corocznie podczas Międzynarodowych Targów Książki. Dłatego, zdaniem dyrekcji — wszelkie pretensje pod adresem „Ars Polona” są nieuzasadnione. Trudno nam podzielać w pełni tę opinię. (wd). ■ 18. 10. br. Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku zorganizowała wystawę rzeźb Mariana Owcarskiego. ■ 15. 10. br. Kardynał Jan Król, arcybiskup Filadelfii, otrzymał nagrodę „Heritage Award” przyznaną przez Kongres Polonii Amerykańskiej i Fundację Kopernikowską. Kardynał Król ma 12 honorowych doktoratów wyższych uczelni amerykańskich i zagranicznych.



## KRONIKA KANADYJSKA

12. 9. br. Poseł John Diefenbaker, b. premier rządu konserwatywnego, złożył nadzwyczajny wniosek zzywający premiera do wystosowania protestu do ZSSR z powodu nieludzkich stosunków, panujących na obszarze państw bałtyckich i Ukrainy. We wniosku domagano się również protestu wobec terroru stosowanego wobec A. Sacharowa i A. Sołżenicyna. Z powodu braku jednomyślności wniosek nie został postawiony na porządek dzienny. Poseł Diefenbaker zaprotestował przeciwko postępowaniu się rygorystycznymi przepisami regulamina. Premier Trudeau odpowiadając na zarzut Diefenbakera iż jego rząd jest negatywnie nastawiony do obywateli pochodzących z krajów bałtyckich i Ukrainy oświadczył, że znacznie więcej dla nich zdziałał poprzez bezpośrednie interwencje w ZSSR, niż uczyniłyby to wnioski parlamentarne.

■ W dwóch dziennikach: *Globe and Mail* (Toronto) i w *Le Devoir* (Montreal) zamieszczono list otwarty do rządu sowieckiego w obronie Sacharowa i Sołżenicyna — jako płatne ogłoszenie. List ten został podpisany przez czołowych przedstawicieli nauki i kultury kanadyjskiej. Zwraca uwagę, że wśród podpisów nie ma ani jednego podpisu profesorów polskiego pochodzenia, których jest w Kanadzie znaczna ilość. Zabrakło też — z wyjątkiem dr. B. Bociurkiwa z Uniwersytetu Carleton w Ottawie — ukraińskich profesorów i działaczy. ■ P. Irena Unger, znana działaczka polonijna, została sędzią do spraw obywatelskich w Toronto. Do jej obowiązków należy badanie podań o obywatelstwo, przeprowadzanie rozmów z wnoszącymi podania i podejmowanie decyzji w sprawie przyznawania obywatelstwa. ■ Walny Zjazd Związku Polaków w Kanadzie wybrał ponownie na prezesa p. Tadeusza Glistę. Skład Zarządu Głównego został znacznie rozszerzony i liczy m.in. aż 7 wiceprezesów. W skład członków zarządu weszli m.in. Prof. Adam Bromke i dr Bolesław Morcinek z Ottawy. Prof. Bromke wygłosił na tym Zjeździe zasadnicze przemówienie charakteryzujące przemiany w Polsce „Na półmetku diaspory”. W uchwalonych rezolucjach Zjazd podtrzymał stanowisko Zarządu Głównego w sprawie wystąpienia z Kongresu, niemniej jednak pozostawiono furtkę dla prowadzenia rozmów na temat ewentualnego powrotu. ■ Z udziałem ponad 300 osób odbył się w Ottawie w dniach 14-16. 10 br. pierwszy zjazd na temat wielokulturowości. Obrady toczyły się na plenum i w 6 komisjach. Zadania konferencji oraz podstawowe tezy polityki wielokulturowości przedstawił minister stanu, dr Stanley Haidasz. Obok członków Komisji Doradczej (100 osób) dla spraw wielokulturowości uczestniczyły w tych obradach osoby zaproszone przez departament dla spraw wielokulturowości. Z Polonii w tej ostatniej grupie znaleźli się profesorowie: Danuta Bierkowska z uniwersytetu w Toronto, Bogdan Czaykowski z uniwersytetu British Columbia w Vancouver; adw. Kazimierz Bielski, prezes Zarządu Głównego KPK, red. Benedykt Heydenkorn, M. Rybikowski (Montreal), Leszek Wawrow, redaktor pisma młodzieżowego *Echo*, p. Flora Zielińska (Biblioteka Narodowa w Ottawie). Konferencja miała charakter informacyjny. ■ W University of Waterloo (Kitchener, Ontario) odbyła się w dniach 17-20. 10 br. konferencja Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego (*International Sociological Association*) — komisji badawczej w sprawach emigracji na temat: „Polityka i badania problemów migracyjnych — Kanadyjczycy i perspektywy światowe”. W pracach tej konferencji brało m.in. udział kilku uczonych polskiego pochodzenia, w tym profesorowie: Karol Krótki (Edmonton) i Jerzy Zubrzycki z Australii, obecnie wykładający jako *visiting professor* w Carleton University w Ottawie. W obradach uczestniczyła też, przewodnicząc jednej sesji, dr Sheila Patterson-Horko. Była ona następnie zaproszona na wykład do York University w Toronto. ■ W Toronto w dniach 26-28. 10. br. odbyła się konferencja na temat

„Kultura kanadyjska i etniczne grupy w Kanadzie” zorganizowana przez *Canadian Ethnic Studies Association*. Dwaj polscy socjologowie: prof. Aleksander Matejko i prof. Jerzy Zubrzycki wzięli w niej udział. ■ Październik obfitował w walne zjazdy organizacji polonijnych oraz konferencje naukowe na tematy emigracyjne i etniczne. Walny Zjazd, określany jako sejm Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie, dokonał wyboru nowych władz na okres dwuletni. Wybrano zarząd w dotychczasowym składzie z p. K. Mytkowskim na czele. Delegaci Gminy 1 z Toronto — najliczniejszej — opuścili salę obrad i w głosowaniu nie brali udziału. Trwający od ponad roku konflikt między Gminą 1 a Zarządem Głównym doprowadził do starcia na zjeździe. Jest to jednocześnie zatarg między dyrekcją prasową *Głosu Polskiego* i red. Zygmuntem Rusinkiem z jednej strony a Zarządem Głównym z p. Mytkowskim z drugiej. Gmina 1 jest faktycznym właścicielem czy też posiada większość udziałów wydawnictwa *Głos Polski*, organu prasowego Zw. Narodowego. Sejm odmówił uznania mandatów Dyrekcji Prasowej, a mianowicie jej przewodniczącą p. Wasągą i członka p. Malatyńskiego. Zabrakło też na sejmie redaktora Rusinka. ■ Na zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie przewodniczącą została wybrana p. Zofia Halek. ■ Przewodniczącym Zarządu Głównego Stowarzyszenia Techników Polskich został, na miejsce dr. inż. Zdzisława Przygody, dotychczasowy wiceprzewodniczący inż. Wojciech Strok. Należy on do średniego pokolenia, wykształconego poza Polską. Inż. Strok jest wybitnym specjalistą, konsultantem władz państwowych i samorządowych w sprawach ruchu miejskiego. ■ 31. 10. br. przybył do Kanady Stefan Kisielewski. 2. 11. br. wygłosił on prelekcję w University of Toronto, a następnego dnia miał wieczór autorski zorganizowany staraniem Polskiego Klubu Dyskusyjnego w London, Ontario. W dniach 5, 6, i 7. 11. br. Stefan Kisielewski bawił w Ottawie, gdzie spotkał się zarówno z Polonią jak i z kanadyjskimi przedstawicielami świata muzycznego. Z Ottawy udał się do Montrealu gdzie 8 listopada br. wygłosił odczyt „Polska między Wschodem a Zachodem” i miał spotkania z kompozytorami. Po powrocie do Toronto, 12. 11. br., miał odczyt zorganizowany przez stowarzyszenie Techników Polskich. ■ 12. 11. br. w Montrealu zmarł, w wieku lat 79, gen. dyw. Wacław Stachiewicz, żołnierz 1-ej Brygady Legionów, Szef Sztabu Naczelnego Wodza.

## Z OSTATNIEJ CHWILI

Z dniem 1 stycznia 1974 roku przestanie wychodzić *Na Antenie*, miesięcznik wydawany przez Polską Sekcję Free Europe oraz miesięcznik *Ameryka*, wydawany przez USIA (*United State Information Agency*). ■ Z ZSSR wemigrował Naum Korżawin (Mandel) wraz z rodziną. Korżawin jest jednym z wybitnych współczesnych poetów rosyjskich. Korżawin przebywa chwilowo w Rzymie. ■ Spodziewany jest w najbliższym czasie przyjazd Pawła Litwinowa (syna Maksyma Litwinowa) jednego z czołowych kontestatorów sowieckich. ■ W wyniku wizyty u Papieża min. Olszewskiego z PRL, został zaproszony do Polski mgn. Casaroli. Mgn. Casaroli będzie gościem rządu PRL. Gesty normalizacji stosunków Kościół-państwo są obliczone na użytek zewnętrzny. W kraju szykany wobec katolików pogłębiają się. Ostatnio władze zamknęły wydawnictwo katolickie VERUM, którego dyrektorem był znany publicysta i historyk Andrzej Micewski. ■ Przed Kongresem Pokoju, który niedawno się odbył w Moskwie, w Warszawie zorganizowano odprawę dla polskich uczestników. J. Iwaszkiewicz miał podobno na niej nazwać opozycjonistów rosyjskich „czarnoseńcami” i określił ich literaturę jako trzeciorzędą. Polemizował z nim min. Szlachcic mówiąc m.in. że nie jest to bynajmniej literatura trzeciorzędą. Okazuje się że w PRL szef



## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Reading, W. Brytania.

Będę wdzięczny za wydrukowanie tego listu albowiem chciałbym publicznie podziękować Panu Adamowi Czerniawskiemu za to, że w swej recenzji mojej książki (opierając się na autorytecie swej rozległej wiedzy) zwrócił mi uwagę na niskie estetyczne walory mego nazwiska. Szczególnie cenna jest jego rada, abym zmienił Andreski na Andrews, albowiem w rzeczywistości afiszowanie się polskim pochodzeniem w karierze nie pomaga. Szczególnie niemile widziane jest jeżeli emigrant z zacofanego kraju mądruje się na ogólne tematy, zamiast pozostawić takie sprawy do roztrząsania członkom narodów bardziej rozwiniętych, i ograniczyć się do naglących problemów własnego ludu. Lecz, niestety, mam pewne trudności w zastosowaniu się do dobrej rady p. Czerniawskiego, ponieważ mój akcent nadal wzbudzałby podejrzenia, że urodziłem się gdzieś we Wschodniej Europie. Niemniej objawiło mi się szczęśliwe rozwiązanie, które pozwoli na zatuszowanie mego pochodzenia z upośledzonego narodu, bez narażania się na podejrzenia, że bezpodstawnie podszywam się pod angielskość: a mianowicie przyszło mi na myśl zmienić Andreski na Andreyev. Więc jeżeli kiedyś wpadnie panu Czerniawskiemu do ręki książka pod nazwiskiem Leonid F (iofiłowicz) Andreyev — to niech pamięta, że autorem jej jest jego niżej podpisany rodak Stanisław Leonard Andrzejewski alias Stanislav Andreski.

Łączę wyrazy poważania,

Stanisław Leonard ANDRZEJEWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

4 listopada 1973.

Do książki Marii Hirszowicz pt. „Komunistyczny Lewiatan” wkradł się przykry lapsus. Na stronie 45 tej książki czytamy:

„Jak na te sprawy patrzyła rewolucyjna lewica na Zachodzie, o tym świadczy najlepiej stanowisko Róży Luksemburg, należącej skądinąd do największych sympatyków rewolucji rosyjskiej. W roku 1920 pisała ona: ...”.

Dalej przytacza Autorka obszerny cytat.

Róża Luksemburg została, jak wiadomo, zamordowana wraz z Karolem Liebknechtem w styczniu 1919 roku, nie mogła więc przytoczonych przez p. Hirszowicz słów napisać w 1920 roku.

Autorka nie podaje odnośnika, skąd zaczerpnęła wspomniany cytat. Z treści jego wnosić można, że pochodzi z broszury napisanej we wrześniu-październiku 1918 roku w czasie jej pobytu w więzieniu w Berlinie. Tytuł

tej broszury „Rewolucja rosyjska. Ocena krytyczna” (*Die russische Revolution. Eine kritische Würdigung*). Broszura ta była reakcją Róży Luksemburg na „niedemokratyczną” politykę władz sowieckich i „czerwony terror”.

Czy Róża Luksemburg była konsekwentna w swym stanowisku krytycznym? Czy należała do „największych sympatyków rewolucji rosyjskiej”?

Tak głosi historiografia komunistyczna. Należała ona niewątpliwie do sympatyków rewolucji rosyjskiej. Ale czy była sympatykiem bezkrytycznym?

Po wyjściu z więzienia Róża Luksemburg nie chciała wspomnianej broszury ogłosić drukiem. Mogła bowiem być rozumiana jako pamflet na Rosję Sowiecką. Uczyniła to niewątpliwie pod naciskiem współtowarzyszy, ale decyzję ostateczną podjęła sama. Gdyby była konsekwentna w krytycyzmie, niewątpliwie broszurę by opublikowała. Broszury tej po jej śmierci nie chcieli opublikować jej współtowarzysze. Oddał do druku w 1922 roku jeden z „dydydentów” ruchu komunistycznego Paul Levi, wbrew współtowarzyszom Róży Luksemburg.

Nie była ona jednak bezkrytyczna. Ze szczytków informacji, np. z rozmów Róży Luksemburg w grudniu 1918 - styczniu 1919 z przedstawicielami SDKPiL - KPRP można wnosić, że nie odnosiła się bezkrytycznie do rewolucji rosyjskiej, nie akceptowała metod niedemokratycznych rządu sowieckiego i terroru, nie uważała Rosji za kraj przykładowy dla zachodu Europy. Jej bowiem zdaniem właściwą rewolucję europejską zapoczątkuje „proletariat niemiecki”.

Takie było zresztą także stanowisko Lenina. To głosiła też SDKPiL. O tym mówił otwarcie przedstawiciel SDKPiL Stanisław Budzyński na moskiewskiej naradzie partii „krajów okupowanych” w październiku 1918 roku w Ludowym Komisariacie d/s Narodowościowych. Podobne było stanowisko „Spartakusa” - KPD w latach 1919-1923, gdy podejmowały próby powstań zbroynych.

Czy tak patrzyła „rewolucyjna lewica” na Zachodzie na wydarzenia Rosji? Czy zgadzała się ze stanowiskiem Róży Luksemburg, wyrażonym we wspomnianej broszurze?

Pojęcie „rewolucyjna lewica” jest zbyt ogólnikowe, by je skonkretyzować, zwłaszcza w latach 1918-1923. Stwierdzić można rzeczy niewątpliwe. Spartakus - KPD nie godziły się na drukowanie broszury Róży Luksemburg; może nie akceptowały niedemokratycznej polityki władzy sowieckiej i jej straszliwych zbrodni, ale publicznie tego nie wypowiedziały, nie zaprotestowały, broniły i usprawiedliwiały politykę władzy sowieckiej „w imię rewolucji”. KPRP również milczała na temat polityki terroru władzy sowieckiej, choć nie ze wszystkim się zgadzała, ale publicznie i w cichej propagandzie usprawiedliwiała wszystkie głupstwa polityki sowieckiej, jej świnstwa i zbrodnie. To wtedy komunistyczna „rewolucyjna lewica” wstąpiła na fatalną drogę usprawiedliwiania wszystkiego co sowieckie w imię „rewolucyjnych” celów, co stało się podstawą jej moralnego załamania się i odrażającej obłudy politycznej.

Aleksander LITWIN

Orlando, Florida, 16 października 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Wypowiedzi p. Zawadzkiej-Wetz (lipiec-sierpień) oraz ciekawy i słuszny list p. Görlicha (wrześniowa *Kultura*) poruszyły wspomnienia, które nakażają mi dla sprawiedliwości — wtrącić moje „trzy grosze” z, że tak powiem

trzeciego, już nie zaangażowanego punktu widzenia. Upoważnia mnie do tego, jak się wydaje, fakt iż mieszkalam w Bawarii przez kilkanaście lat jako uciekinierka. Tam przeżyłam ostatnie miesiące wojny, okres powojennej okupacji, narodzenie Republiki Federalnej, a do USA wyjechałam w okresie zakwitającego *Wirtschaftswunder*. Przy czym muszę podkreślić że nigdy, ani przez sekundę, nie uchodziłam za nic innego niż Polkę, egzystując wpięrow na zwykłej Kennkarcie z GG, potem na dipisowskim paszporcie. W owych latach zaznałam bez porównania więcej dobra, życzliwości, ciepła i bezinteresownej przyjaźni ludzkiej, od obcych, właśnie „tubyłców”, niż rozczarowań czy złościwości. Zawarłam przyjaźnie, które przetrwały po dziś dzień, przez 18 bez mała lat kontaktu wyłącznie korespondencyjnego. Zatrzymałam serdeczne wspomnienia o kraju (i ludziach), który się prawie stał moją „ojczyzną z wyboru”, w którym mi nikt nie wytykał ani akcentu ani pochodzenia, jeśli sama do tego nie prowokowałam. (Co się zdarzało). Nie mogę uwierzyć aby się wszystko tak skrajnie mogło zmienić.

P. Zawadzka-Wetz powołuje się, w przeciwstawieniu do warunków panujących w Niemczech Zachodnich, na precedens stosunków w USA i Kanadzie. Tak jakby tutaj każdy natychmiast świetnie się czuł (i nie narzekał), bo ma do wyboru narodowe getto\*, lub możliwość integracji, *nota-bene* często zwolnionej nieco przez fakt istnienia gett. Wszystko ma dwie strony! A przede wszystkim zależy od nas samych, od naszej wewnętrznej postawy. Jeśli z emigracji próbuje się wyciągać tylko zyski materialne, odrzucając inność kraju osiedlenia, a co gorsze, pragnąc narzucić własną inność autochtonom, bez prób dostosowania się, to raczej należałoby przyjeżdżać z wizytą, aby zaspokoić tęsknoty rodzinne, czy ciągoty materialne (jak to czyni pewien odsetek krewnych z kraju, odwiedzających rodziny w USA), by wyjechać tak jak było z góry zaplanowane.

Ale p. Zawadzka-Wetz porusza inny problem i trudno uwierzyć że jest to problem ogólny, a nie odosobnione wypadki. Rzecz polega na tym że większość ludzi jednak opuszcza swe stare śmieci ze względów ideologicznych. Bądź to w poszukiwaniu osobistej, bądź ekonomicznej lub światopoglądowej WOLNOŚCI (właśnie pisanej przez wielkie litery), a dopiero na drugim planie wszystkiego innego: jak zobaczenie ciotki, czy posiadanie dodatkowej pary pończoch, czy też nowego samochodu, i po prostu wielu ludzi przechodzi normalne bóle transplantacji i adaptacji. W Ameryce to się nazywa „blues”. Nie ma się czym przejmować. A załamywać ręk w ogóle nie ma o co.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Barbara SZUBSKA

\* Używam zwrotu „getto” jako skrótu pojęciowego, a nie w znaczeniu derogatywnym.

## Indeks autorów i tematów rocznika «Kultura» za rok 1973

### Spis autorów

ACHMATOWA Anna, ANDERS Jerzy, ANDRZEJEWSKI Stanisław L. — BAGDUR Kazimierz, BĄCZKOWSKI Włodzimierz, BEŁCH Stanisław, Ks., BERLIŃCZYK, BIELIŃSKI Konrad, BNIŃSKI W. H., BOHOMOLEC Andrzej, BOROWICZ Bogusław, BOROWSKI Edward, BREYER Richard, BRODZIŃSKI Bohdan, BROMBERG Adam, BRONSKI M., BRUCKBERGER R. P., BRUKSELCZYK. — CELICHOWSKI Zygmunt, CHCIUK Andrzej, CHILECKI Andrzej, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZECH Roman, CZERNIAWSKI Adam, CZUMA Lubow. — DANILEWICZOWA Maria, DAROWSKI Jan, DĄBROWSKI Krzysztof, DILLON Edward, DOBEK Czesław, DOBRANOWSKI J., DUNAJEWSKI Henryk, DWORZECKA Jolanta. — FRYLING Jan. — GIDYŃSKI Józef, GŁOGOCZOWSKI Marek, GOLCZYŃSKI Z., GOMBROWICZ Rita, GOMBROWICZ Witold, GORBATOWICZ Rafał, GÖRLICH Joachim G., GRYNBERG Henryk, GUTOWSKI Antoni. — HALAK Irena, HALL Marie J., HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HORZELSKI Jerzy P., HULEWICZ Edmund, HUSSOWSKI Jan. — IWAŃSKA Alicja. — JACOB Alain, JELEŃSKI Konstanty A., J.T. — KALINOWSKI Jerzy, KALISKI Józef, KAŁUSKI Marian, KARST Roman, KATZ Janina, KAZAKOW Władimir, KIELSKI Łukasz, KLATOVSKY Karel, KOŁAKOWSKI Leszek, KORASZEWSKI Andrzej, KOZŁOWSKI S. W., KRAJEWSKI Stanisław, KRAUSE Andreas, KRUCZEK Adam. — L., LAKS Szymon, LASKOWSKI Janusz, LAUB Gabriel, LEWANDOWSKI Józef, LEWICKI St. L., LEWYCKYJ Borys, LITWIN Aleksander, LONDYŃCZYK, LUBELSKI Andrzej. — ŁOZORAITIS Wincenta, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MACKIEWICZ Józef, MAKOWSKI W., MERŁO Stanisław, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEROSZEWSKI

Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI Józef, MOCHA Frank, MORAWSKI Dominik. — NAMIEŚNIEWSKI Conrad F., NASIELSKI Adam, N.N., NOWAK Grażyna, NOWAKOWSKI Tadeusz. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OKULICZ Kazimierz, ORWELL George. — PALESTER Roman, PELIKAN, PISZCZKOWSKI Tadeusz, PRZYBOROWSKI Henryk, PUACZ Edward. — RAPACZYŃSKI Andrzej, RAWICZ-SZCZERBO Antoni, REDAKTOR „KULTURY”, ROSTAFIŃSKI Wojciech. — SACHAROW Andrej, SANTORSKI Jacek, SCHENKER Aleksander M., SIEMASZKO Zbigniew S., SMOLAŃSKI Ludwik, SOŁZENICYN Aleksander, STRZEMIECZNY Jacek, SZABUNIEWICZ Maria, SZANDRUK Pawło, SZAWIEL Tadeusz, SZUBSKA Barbara, SZWEDOWICZ Karol. — VACULIK Ludvik, VENCLOVA Tomas, VINCENZ Andrzej. — WACOWSKA Ewa, WALCZAK Szymon, WAT Aleksander, WEBER Jerzy, WESTFAL Stanisław, WIERZYŃSKA Halina, WIRPSZA Witold, WÓYCICKI Kazimierz, W. S., WYGODZKI Stanisław, — X. Prof. Dr XYZ. — ZAHORSKI Witold, ZAKOPIAŃCZYK, ZAREMBA Paweł, ZAWADZKA-WETZ Alicja, ZBYSZEWSKI W. A. — ŻAGIELL E., ŻAK Andrzej.

#### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BAGDUR Kazimierz: *Czytając „Zarys dziejów socjalizmu polskiego”* (7/310-8/311).  
 BOROWICZ Bogusław, — N.N.: *Dwa listy z Chile* (11/314).  
 BRUKSELCZYK: *Widziane z Brukseli* (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 5/308, 6/309, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 12/315).  
 BYRSKI Zbigniew: *Przemiany Polaków w PRL* (11/314).  
 CHILECKI Andrzej: *Na linii Warszawa-Bonn* (12/315).  
 DWORZECKA Jolanta: *Metternich w Białym Domu* (1/304-2/305).  
 GORBANOWICZ Rafał: *Obowiązki* (3/306).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wszystko* (3/306).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (tłumacz), ob. ORWELL George.  
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Sprawa polska* (4/307).  
 KOZŁOWSKI S. W.: *7-my Bundestag w Bonn* (1/304-2/305).  
 L.: *Notatka informacyjna* (12/315).  
 LITWIN Aleksander: *„Przodująca rola klasy robotniczej”* (12/315).  
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (10/313).  
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Futurologia Chin* (5/308).  
 — *Kordian i cham* (1/304-2/305).  
 — *Lekcja wietnamska dla Europy* (3/306).  
 — *Materiały do refleksji i zadumy* (7/310-8/311).  
 — *Milczenie nie jest złotem* (11/314).  
 — *Polska „Ostpolitik”* (6/309).  
 — *Polska „Westpolitik”* (9/312).  
 — *Technologiczne pojmowanie dziejów* (4/307).  
 — *Temat: Konflikty* (12/315).

MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu* (5/308, 9/312).  
 — *Kościół po rewolucji grudniowej* (4/307).  
 OKULICZ Kazimierz: *Gabriel Narutowicz* (1/304-2/305).  
 ORWELL George: *O wolności prasy* (5/308) przeł. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.  
 PELIKAN: *Drzewo szczepione patosem* (4/307).  
 — *Szyfr* (3/306).  
 WIRPSZA Witold: *Tour d'horizon z Polską pośrodku* (12/315).  
*Wydarzenia miesiąca*: (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 5/308, 6/309, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 11/314, 12/315).  
 XYZ: *Nocne Polaków rozmowy* (6/309).

#### Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BRONSKI M.: *George Orwell* (10/313).  
 DAROWSKI Jan: *Z notatnika* (10/313, 12/315).  
 GŁOGOCZOWSKI Marek: *Kuracja antyszokowa (I)* (7/310-8/311).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/304-2/305, 4/307, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 11/314).  
 MIŁOSZ Czesław: *Język, narody* (9/312).  
 WESTFAL Stanisław: *Radziecki czy sowiecki* (7/310-8/311).  
 WÓYCICKI Kazimierz: *Poezja i fakty* (7/310-8/311).

#### Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BRONSKI M.: (tłumacz) ob. KAZAKOW Władimir.  
 HAUPT Zygmunt: *Inwokacja do powiatu latyczowskiego* (7/310-8/311).  
 — *Ptaki* (1/304-2/305).  
 IWAŃSKA Alicja: *Wielkie rozchełstanie* (1/304-2/305).  
 KARST Roman: *Blokada* (1/304-2/305).  
 KAZAKOW Władimir: *Moje spotkania z Władimirem Kazakowem* (7/310-8/311), przeł. M. BRONSKI.  
 LAUB Gabriel: *Największy proces w historii* (7/310-8/311), przeł. z czeskiego Autor.  
 LEWICKI St. L.: *Jaś i Małgosia* (4/307).  
 LUBELSKI Andrzej: *Strach* (1/304-2/305).  
 — *Towarzysz broni* (1/304-2/305).  
 MIŁOSZ Czesław: (opracował) ob. WAT Aleksander.  
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Buon giorno Roma* (6/309).  
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Podróż* (5/308).  
 WAT Aleksander: *Aleksander Wat opowiada* (1/304-2/305) opracował MIŁOSZ Czesław.  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Sikorski* (9/312).

## Utwory poetyckie

- ACHMATOWA Anna: *U samego morza* (7/310-8/311), przeł. z rosyjskiego Bogdan CZAYKOWSKI.  
 CZAYKOWSKI Bogdan: (tłumacz) ob. ACHMATOWA Anna.  
 DĄBROWSKI Krzysztof: *Do Zofii* (4/307).  
 — *Jak to jest* (4/307).  
 — *W Paryżu nad ranem* (4/307).  
 KORASZEWSKI Andrzej: *Modlitwa* (4/307).  
 MIŁOSZ Czesław: *Dzwony w zimie* (11/314).  
 — *Mała pauza* (6/309).  
 — (tłumacz) ob. VENCLOVA Tomas.  
 VENCLOVA Tomas: *Rozmowa w zimie* (5/308), przełożył z litewskiego Czesław MIŁOSZ.  
 WIRPSZA Witold: *Dawne, bardzo dawne* (3/306).  
 — *Lato 1970* (3/306).  
 — *Początek roku (1970)* (3/306).  
 WYGODZKI Stanisław: *Dałem ci sznur na drogę...* (3/306).

## Sprawy krajowe

- BIELIŃSKI Konrad, KRAJEWSKI Stanisław: *Wobec zjednoczenia* (3/306).  
 BIELIŃSKI Konrad, KRAJEWSKI Stanisław, STRZEMIECZNY Jacek: *Integracja a zjednoczenie* (3/306).  
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Dwa lata Gierka* (4/307).  
 CZUMA Lubow: *Apel do Rady Państwa* (5/308).  
 GUTOWSKI Antoni: *Otwieranie zamkniętej gospodarki* (11/314).  
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (4/307, 5/308, 9/312, 10/313).  
 HALAK I., BIELIŃSKI K., SANTORSKI J., SZAWIEL T.: *Jeszcze o organizacjach studenckich* (10/313).  
 HUSSOWSKI Jan: *VII Kongres Związków Zawodowych* (1/304-2/305).  
 KALISKI Józef: *Glossy do wydarzeń* (11/314).  
 KIELSKI Łukasz: *Jeszcze o wydarzeniach marcowych* (11/314).  
 Komitet PAN do spraw imperializmu (4/307).  
 LEWANDOWSKI Józef: *Glossy do historii współczesnej* (12/315).  
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Ekonomiści krajowi o spożyciu w PRL* (6/309).  
 PRL a „Kultura” (1/304-2/305).  
 REDAKTOR „KULTURY”: *List do literatów w kraju* (12/315).  
 Sprawa braci Kowalczyków (3/306).  
 Uchwała studentów U.W. (3/306).  
 WACOWSKA Ewa: *Ile Polskę kosztuje PZPR* (9/312).  
 WALCZAK Szymon: *Rocznicowe refleksje* (4/307).  
 WIRPSZA Witold: *List otwarty do Związku Literatów Polskich* (3/306).

- X. Prof. Dr: *Polska Rzeczpospolita Wewnętrzna od A do E* (1/304-2/305).  
 ZAKOPIAŃCZYK: *Palenie książek w PRL* (9/312).  
 ŻAK Andrzej: *Oświata w Polsce* (9/312).

## Sąsiedzi

- HULEWICZ Edmund: *Komentarz do Memoriału* (5/308).  
*Jubileusz T-wa Naukowego Szewczenki* (10/313).  
 KRUCZEK Adam: *Sułtan Galijew po 50-ciu latach* (9/312).  
 — *W sowieckiej prasie* (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 5/308, 6/309, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 11/314, 12/315).  
 LEWANDOWSKI Józef: *Krajowe ukrainica* (1/304-2/305).  
 LEWICKIYJ Borys: *Kronika ukraińska* (4/307).  
*Litewskie skargi* (4/307).  
*Memoriał ukraiński do VI Zjazdu PZPR* (5/308).  
 MIRSKI J.: *Wrażenia z ZSSR 1970-1973* (11/314).  
 OKULICZ Kazimierz: *Colloquium w Lindenfels* (1/304-2/305).  
 SMOLAŃSKI Ludwik: *Byłem* (4/307).  
 SZWEDOWICZ Karol: *Kronika czeska i słowacka* (3/306, 4/307, 5/308, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 11/314, 12/315).  
 VACULIK Ludwik: *Uskarżać się nie mogę...* (3/306), przeł. WIRPSZA Witold.  
 WIRPSZA Witold: (tłumacz) ob. VACULIK Ludwik.  
 W. S.: *Lituanus* (7/310-8/311).  
*Z Nowogródka i Oszmiany* (4/307).  
 ŻAGIELL E.: *Litwa* (12/315).  
 — *Na Litwie* (7/310-8/311).  
 — *Władysław Komaras* (4/307).

## Głos wolnej Rosji

- A. Siniawski popiera kandydaturę Sacharowa do nagrody Nobla (10/313).  
 BRUCKBERGER R. P.: *List do Papieża* (10/313), przeł. z francuskiego Zofia HERTZ.  
 DILLON Edward: *Wywiad z A. Sacharowem* (10/313), przeł. z francuskiego Zofia HERTZ.  
 HERTZ Zofia: (tłumacz) ob. BRUCKBERGER R. P., DILLON Edward, JACOB Alain.  
 JACOB Alain: *Wywiad z Aleksandrem Sołżenicynem* (10/313), przeł. z francuskiego Zofia HERTZ.  
 KRUCZEK Adam: *Niewolnik zawsze mówi „tak”* (10/313).  
*Kto jest wariatem?* (10/313).  
*Sacharow kandydatem do nagrody pokoju Nobla* (10/313).

## Sprawy i troski

- Apel Twa Opieki nad polskimi zabytkami i grobami we Francji (4/307).  
 BOHOMOLEC Andrzej: *Dal* — 1973 (4/307).  
 — *Kaplica Matki Boskiej Dalekich Mórz* (5/308).  
 BYRSKI Zbigniew: *Polska, PRL i Polonia Amerykańska* (10/313).  
*Fundatorzy POSK'u* (1/304-2/305).  
 GŁOGOCZOWSKI Marek: *Widziane z plaży* (11/314).  
 HUSSOWSKI Jan: *Zaolzie* (1/304-2/305).  
 NOWAK Grażyna: *List z Londynu* (4/307, 5/308, 6/309, 12/315).  
 PUACZ Edward: *Jeszcze o Muzeum polonijnym w Chicago* (7/310-8/311).  
 — *Polonia w ostatnich wyborach amerykańskich* (1/304-2/305).  
 ZAWADZKA-WETZ Alicja: *Spełnione marzenia?* (7/310-8/311).  
 ZAGIELL E.: *Korespondencja z Australii* (7/310-8/311).

## Kronika kulturalna

- Ankieta „Literatury” (4/307).  
 BROŃSKI M.: *O strukturalizmie* (7/310-8/311).  
 — (tłumacz) ob. GOMBROWICZ Witold.  
 CZAPSKI Józef: *Jan Cybis* (7/310-8/311).  
 — *Konieczność i taska* (1/304-2/305).  
 — *Turkiewicz* (3/306).  
 — *Zapomniany malarz* (4/307).  
*Emigracyjne nagrody pisarskie* (1/304-2/305).  
 GŁOGOCZOWSKI Marek: *Słowo o przyjacielu* (1/304-2/305).  
 GOMBROWICZ Witold: *Byłem pierwszym strukturalistą* (7/310-8/311), przeł. z francuskiego M. BROŃSKI.  
 IWĄNSKA Alicja: *Terenowe badania socjologiczne* (11/314).  
 JELEŃSKI K. A.: *Lebenstein — mitotwórca ludzkiej natury* (10/313).  
 LASKOWSKI Janusz: *Tadeusz Święcicki* (5/308).  
 MOCHA Frank: *Zjazd amerykańskich slawistów* (3/306).  
 NAMIEŚNIEWSKI Conrad F.: *Admirał Unrug* (7/310-8/311).  
 OKULICZ Kazimierz: *Tadeusz Święcicki* (11/314).  
 PALESTER Roman: *Antoni Szałowski* (6/309).  
 SZWEDOWICZ Karol: *30-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego w New Yorku* (12/315).  
*Sp. płk dypl. Leon Mitkiewicz* (3/306).  
*Uzupełnienia nagród literackich* (3/306, 4/307, 7/310-8/311, 11/314).  
 WIRPSZA Witold: *Śmierć wygnańca* (1/304-2/305).  
 — *Wystawa Teresy Lewandowskiej* (12/315).  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Kajetan Morawski* (12/315).  
 — *Stulecie urodzin Adama Krzyżanowskiego* (3/306).  
*40-lecie torontońskiego „Związkowca”* (12/315).

## Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Ukraińcy na Dalekim Wschodzie* (11/314).  
 BERLIŃCZYK: *Dziennik Bertolda Brechta* (6/309).  
 BOROWSKI Edward: *Smutna historia miłosna ostatniej Piastówny* (7/310-8/311).  
 BROŃSKI M.: *Bilard* (9/312).  
 — *O felietonach Kisiela* (3/306).  
 — *Późny wnuk* (11/314).  
 — *Tractaculum mythologico-philosophicum* (1/304-2/305).  
 CZAPSKA Maria: *Zygmunt Waliszewski (1897-1936)* (6/309).  
 CZAPSKI Józef — VINCENZ Andrzej: *Dwugłós o Dankowiczu* (11/314).  
 CZECH Roman: *Czytając Tyrmanda* (1/304-2/305).  
 CZERNIAWSKI Adam: *Janusza Ichnatowicza „Wiersze wybrane”* (11/314).  
 — *Na marginesie wykładów amerykańskich M. Ossowskiej* (7/310-8/311).  
 — *Prof. Andr(z)ewski wśród czarownic* (10/313).  
 — *R. Ingardena przedmioty intencjonalne* (4/307).  
 DANILEWICZOWA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/304-2/305, 5/308).  
 DOBEK Czesław: *Jeszcze o „Cudownej melinie”* (9/312).  
 DWORZECKA Jolanta: *Jarmark pełen pomarańczy* (3/306).  
*„Dywiersanci”* (4/307).  
 FRYLING Jan: *Poeta na ustroniu* (11/314).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Kanadyjska problematyka etniczna: polonica* (5/308).  
 KALINOWSKI Jerzy: *O logice norm* (1/304-2/305).  
 KATZ Janina: *Antynostalgia* (10/313).  
 — *Literacka prasa krajowa — marzec 1973* (5/308).  
 — *Oczyść to miejsce w którym żyjesz* (7/310-8/311).  
 — *„Świat beze mnie się spełnia...”* (12/315).  
 KLATOVSKY Karel: *Czeskie i słowackie nowości wydawnicze* (12/315).  
 KRUCZEK Adam: *Uwagi czytelnika* (7/310-8/311).  
 LEWANDOWSKI Józef: *„Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego* (1/304-2/305).  
*„Listy do Polaków”* (3/306).  
 MIECZKOWSKI Bogdan: *O ziemiach zachodnich* (10/313).  
*Nadesłane nowości wydawnicze* (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 5/308, 6/309, 7/310-8/311, 9/312, 10/313, 11/314, 12/315).  
 NASIELSKI Adam: *Eksperyment z Pahiatua* (4/307).  
 SCHENKER Aleksander M.: *Antologia Baudouin de Courtenay* (1/304-2/305).  
 WIRPSZA Witold: *Gogolowskie składniki* (4/307).  
 — *Układy oligarchiczne* (7/310-8/311).

ZAHORSKI Witold: *Dwa wcielenia Strumpha* (9/312).  
 ZAREMBA Paweł: „*Dzieje Polski*” A. Krzyżanowskiego (7/310-8/311).

### Sprawy (nie tylko) wydawnicze

BROMBERG Adam: *Catch-as-catch-can i łaskotanie czytelnika* (12/315).  
 — *Encyklopedyści (I)* (7/310-8/311).  
 — *Encyklopedyści (3)* (10/313).  
 — *Encyklopedyści (2) oraz o „kulturze otwartej”* (9/312).  
 — *Na bezdrożach prawa* (11/314).  
 — „*Przełom*” w polskim ruchu wydawniczym (6/309).  
 — *ZSSR a Konwencja Genewska* (5/308).

### Z teki informacyjnej

HORZELSKI Jerzy P.: *Przedwczesność, serendypizm a twórczość naukowa* (12/315).  
 — *Świat nietrwałego firmamentu* (5/308).  
 — *Towarzystwo transportowe pod egidą bogów olimpijskich* (3/306).

### Polemiki

KATZ Janina: *W obronie własnej* (7/310-8/311).  
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Siła filozofii czy filozofia siłacza* (9/312).  
 LEWANDOWSKI Józef: *O krytyce* (7/310-8/311).  
 MORAWSKI Dominik: *Metody polemiczne Wolnej Europy* (10/313).  
 MACKIEWICZ Józef: *Literatura contra faktologia* (7/310-8/311).  
 WIRPSZA WITOLD: *Notatki polemiczne* (9/312).

### Wolna trybuna

BYRSKI Zbigniew: *O amerykańskim i sowieckim globalizmie i historycznych analogiach* (1/304-2/305).  
 RAPACZYŃSKI Andrzej: *Niemoc filozofii czy filozofia niemocy* (6/309).

### Tłumaczenia

Z języka angielskiego  
 ORWELL George: *O wolności prasy* (5/308), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

### Z języka czeskiego

LAUB Gabriel: *Największy proces w historii* (7/310-8/311), przeł. Autor.

### Z języka francuskiego

BRUCKBERGER R. P.: *List do Papieża* (10/313), przeł. Zofia Hertz.  
 DILLON Edward: *Wywiad z A. Sacharowem* (10/313), przeł. Zofia Hertz.  
 GOMBROWICZ Witold: *Byłem pierwszym strukturalistą* (7/310-8/311), przeł. M. Broński.  
 JACOB Alain: *Wywiad z Aleksandrem Sołżenicynem* (10/313), przeł. Zofia Hertz.

### Z języka litewskiego

VENCLOVA Tomas: *Rozmowa w zimie* (5/308), przeł. Czesław Miłosz.

### Z języka niemieckiego

VACULIK Ludwik: *Uskarżać się nie mogę...* (3/306), przeł. Witold Wirpsza.

### Z języka rosyjskiego

ACHMATOWA Anna: *U samego morza* (7/310-8/311), przeł. Bogdan Czaykowski.  
 KAZAKOW Władimir: *Moje spotkania z Władimirem Kazakowem* (7/310-8/311), przeł. M. Broński.

### Listy do Redakcji

ANDERS Jerzy (10/313). ANDRZEJEWSKI Stanisław L. (12/315). BEŁCH Stanisław Ks. (4/307). BNIŃSKI W. H. (9/312). BREYER Richard (4/307). CELICHOWSKI Zygmunt (9/312). CHCIUK Andrzej (10/313). CZERNIAWSKI Adam (4/307, 7/310-8/311). DEPTA Z. (3/306). DOBRANOWSKI J. (1/304-2/305). DUNAJEWSKI Henryk (5/308). GIDYŃSKI Józef (1/304-2/305). GŁOGOCZOWSKI Marek (6/309). GOLCZYŃSKI Z. (6/309). GOMBROWICZ Rita (3/306). GÖRLICH Joachim G. (9/312). GRYNBERG Henryk (1/304-2/305). HALL Marie J. (10/313). HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (5/308). J.T. (10/313). KAŁUSKI Marian (7/310-8/311). KRAUSE Andreas (11/314). LAKS Szymon (9/312). LITWIN Aleksander (7/310-8/311, 12/315). ŁOZORAITAS Wincenta (7/310-8/311). ŁUKOMSKI Kazimierz (10/313). MACKIEWICZ Józef (1/304-2/305). MAKOWSKI W. (3/306). MERŁO Stanisław (1/304-2/305). MORAWSKI Dominik (7/310-8/311). NOWAK Grażyna (6/309). ODOJEWSKI Włodzimierz (9/312). OKULICZ Kazimierz (4/307). PISZCZKOWSKI Tadeusz (1/304-2/305). PRZYBOROWSKI Henryk (9/312). RAWICZ-SZCZERBO Antoni (3/306). ROSTAFIŃSKI



Wojciech (4/307). SIEMASZKO Zbigniew S. (3/306). SZABUNIEWICZ Maria (3/306). SZANDRUK Pawło (9/312). SZUBSKA Barbara (12/315). WEBER Jerzy (11/314). WIERZYŃSKA Halina (3/306).

### Odpowiedzi Redakcji

BOROWSKI Stefan (Liège) (9/312). B. R. Kosmopolka z wyboru (3/306). DĄBROWSKI Z. K. (Afryka Południowa) (9/312). DEP-TA Z. (3/306). G. M. (Mentona) (1/304-2/305). GNIATCZYŃSKI Wojciech (Monachium) (11/314). KRZECZUNOWICZ Kornel (7/310-8/311). MOCZULSKI Leszek (Warszawa) (9/312). St. P. (Wenezuela) (7/310-8/311). STEBELSKI A. (Afryka Połudn.) (11/314). SZYGOWSKI Juliusz (Chicago) (9/312). T. T. (Hadelslider, Szwecja) (7/310-8/311). Wanda J. (W. Brytania) 7/310-8/311). WITT Eugene (4/307). Z. J. W. (Vancouver) (1/304-2/305).

### Komunikaty

Do prenumeratorów (3/306).  
Komunikat Polonia Technica, Inc. (11/314).  
Konkurs Instytutu J. Piłsudskiego (9/312).  
Liceum Polskie nad Marną (6/309).  
O „Aneksie” (7/310-8/311).  
Podziękowanie Teresy Szałowskiej (6/309).  
Stypendia Polonia Technica, Inc., (6/309).

### Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1973 (12/315).

### Noty biograficzne

DĄBROWSKI Krzysztof (4/307).  
KÓRASZEWSKI Andrzej (4/307).  
LAUB Gabriel (7/310-8/311).  
MORAWSKI Dominik (4/307).  
ODOJEWSKI Włodzimierz (5/308).  
WOYCICKI Kazimierz (7/310-8/311).

### Różne

Nekrolog Antoniego Józefa Zielińskiego (7/310-8/311).

Sprostowania nadesłane przez St. Gombińskiego z Paryża i A. Wasunga z Londynu (11/314).  
Sprostowanie Redakcji (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 6/309, 11/314).  
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/304-2/305, 3/306, 4/307, 5/308, 6/309, 7/310-8/3011, 9/312, 10/313, 11/314, 12/315).  
Wznowienia fotograficzne książek (6/309).  
Zeszyty Historyczne — kwartalnikiem (1/304-2/305).

### Wydawnictwa książkowe w roku 1973

#### Biblioteka „Kultura”

- Tom 225 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 23-ci), str. 240.  
Tom 226 — Krzyżanowski Adam: *Dzieje Polski*, str. 456.  
Tom 227 — Orłowski Kazimierz: *Cudowna melina*, str. 180.  
Tom 228 — Sołżenicyn Aleksander: *Oddział chorych na raka* (wyd. II), str. 480.  
Tom 229 — *Wymiar sprawiedliwości w PRL* (Seria „Dokumenty”, zeszyt 40-ty), str. 60.  
Tom 230 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 24-ty), str. 240.  
Tom 231 — Herling-Grudziński Gustaw: *Dziennik pisany nocą*, str. 192.  
Tom 232 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 25-ty), str. 240.  
Tom 233 — Żeleński Władysław: *Zabójstwo Ministra Pierackiego*, str. 104.  
Tom 234 — Hirszowicz Maria: *Komunistyczny Lewiatan*, str. 132.  
Tom 235 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 26-ty), str. 240.  
Tom 236 — *Przeciw niewolnictwu. Głos wolnej Rosji*, str. 64.  
Tom 237 — Hłasko Marek: *Cmentarze. Następny do raju* (wznowienie fotograficzne), str. 258.  
Tom 238 — Hłasko Marek: *Opowiadania* (wznowienie fotograficzne), str. 192.  
Tom 239 — Gombrowicz Witold: *Varia* (Tom X „Dzieł Zebraanych”), str. 544.  
Tom 240 — Odojewski Włodzimierz: *Zasypie, wszystko zawieje*, str. 484.

Październikowy zeszyt *Kultury* Nr 10/313, zawierał str. 192 (zamiast 160).

## Nowość

TOM 239 — BIBLIOTEKI „KULTURY”  
WITOLD GOMBROWICZ

# VARIA

OSTATNI X TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”

zawiera całą przedwojenną twórczość W. Gombrowicza wraz  
z dużą powieścią pt. „OPĘTANI”.

Str. 544.

Cena F. 50,00

ZE WZGLĘDU NA OGRANICZONY NAKŁAD  
PROSIMY O NADSYŁANIE ZAMÓWIEŃ

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Dépôt Légal: 4<sup>e</sup> Trimestre 1973.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria .....	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 480,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23 .....	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rue Guira 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523 .....	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl.o. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	L.M. 65,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 ..	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshaw St., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 .....	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.  
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

**TOM 235 — ZESZYTY HISTORYCZNE**

### **ZESZYT DWUDZIESTY SZÓSTY**

zawiera m.in. Zb. Brzezińskiego: *Współzawodnictwo*; St. Kirkora: *Rola Benesa w sprawie polskiej w 1944 roku*; W. Sukiennickiego: *Amerykański Memoriał Paderewskiego*; W. Babińskiego: *Wymiana depeš między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej 1943-1944 (Dokończenie)*; J. Michalewskiego: *Relacja oraz Z Archiwów Polskich Komunistów*; *Gospodarka pieniężna polskich władz w Londynie w latach 1944-1946 i in.*

Str. 240.

Cena F. 20,00

**TOM 236**

### **PRZECIW NIEWOLNICTWU GŁOS WOLNEJ ROSJI**

zawiera:

A. Kruczek: *Słowa prawdy*; Al. Sołżenicyn: *Morderczy bieg historii nie jest nieodwracalny*; Al. Sołżenicyn: *Pokój i przemoc*; Wywiad z A. Sacharowem; Lidia Czukowska: *List do szarego obywatela sowieckiego*; *Z życia nauczyciela sowieckiego*.  
Wstęp Leszka Kotakowskiego.

Str. 64.

Cena F. 10,00

**TOM 237 — MAREK HŁASKO**

### **CMENTARZE NASTĘPNY DO RAJU**

Wznowienie fotograficzne

Str. 258.

Cena F. 25,00.

**TOM 238 — MAREK HŁASKO**

### **OPOWIADANIA**

Wznowienie fotograficzne

Str. 192.

Cena F. 22,00.

**Cena 9F**

Nowe wydawnictwa

Tom 101 - JERZY KORNATOWSKI

WYBORY WYKONAWCZYCH

Wydawnictwo Literackie, Warszawa, 1984, 160 str., 12 zł.

Tom 102

WYBORY WYKONAWCZYCH

WYBORY WYKONAWCZYCH

Wydawnictwo Literackie, Warszawa, 1984, 160 str., 12 zł.

Tom 103 - MAREK HAJDUK

ORIENTALIS

WYBORY WYKONAWCZYCH

Tom 104

Tom 105 - MAREK HAJDUK

ORIENTALIS

Wydawnictwo Literackie, Warszawa, 1984, 160 str., 12 zł.

Coś 97

